

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



4

(64) 2010

W numerze czwartym jak zwykle o wojnach, walkach, deportacjach i przesiedleniach ♦ Czy młodzież z RP powinna odwiedzać kresy? ♦ Rozmowa z pp. Opalkami ♦ Wspomnienie z dawnego Jaremca ♦ Opowiadanie wigilijne M. Żuławskiego ♦ Krakowski „Sokół” wierny tradycji

KOLEJNY ROK MIJA

Kończymy szesnasty rok wydawania naszego kwartalnika. Na wstępie jak zwykle krótkie sprawozdanie: ukazały się przez te lata 64 numery, ale 68 zeszytów (licząc z „S”-ami), a dodatkowo 9 książeczek (ściślej broszurek) na różne tematy. Nasi Czytelnicy przyznają, że dajemy im ogromną porcję wiedzy o naszych utraconych stronach rodzinnych, poczynając od geografii, poprzez najważniejsze – historię i kulturę (w czym mieści się nauka, literatura, sztuka), aż do ludzi pojedynczych i całych rodzin. Ludzi – ważnych dla wszystkich wymienionych dziedzin; rodzin jako ciągłości przez pokolenia i miejsce, zbiorową pracę rąk i umysłów, obronę, utrzymanie zbiorowej tożsamości...

Nasz kwartalnik nie ma charakteru naukowego, jest pismem „dla każdego”. Nie opieramy się tylko na tekstach oryginalnych, specjalnie dla nas pisanych, chętnie sięgamy po stare i nowe materiały, które mogą nas czegoś nauczyć, zaciekawić, coś wyjaśnić. Dzięki temu mamy szanse docierać do szerokich kręgów społecznych. Ale czy nam się to udaje?

Jest dziś taka sytuacja, że ludzie niewiele czytają. Główną tego przyczyną jest brak zainteresowań w ogóle, stawianie na niewybredną rozrywkę (także w czytaniu). Są i pomniejsze powody: koszty, brak miejsca na domowe księgozbiory. Ale w przypadku naszej tematyki – także jej rosnąca w skali społecznej obcość, bo problematyka ziem wschodnich odpyływa gdzieś w *siną dal*...

Pozostają więc jakieś garstki zainteresowanych. Pierwsza to ekspatrianci, coraz starsi i coraz mniej liczni. Druga to specjaliści, przede wszystkim historycy, którzy z setek możliwych tematów wybierają właśnie ten.

* * *

Powiedziało się, że „Cracovia–Leopolis” nie jest pismem naukowym*, jednak trzeba zwrócić uwagę, że na naszych łamach pojawia się sporo wspomnień, relacji, wiadomości, które utrwala się, a inaczej by przepadły. Stają się więc – mówiąc szumnie – swego rodzaju źródłami, które ktoś kiedyś może wykorzystać. I jeszcze jedna zaleta owych nadsyłanych nam tekstów wspomnieniowych: czytając je, ludzie rozpoznają i zaczynają kojarzyć sobie znane skądinąd fakty, ludzi, miejsca pamiętane. Teraz układają się one w bardziej zwarte obrazy. W wielu listach Czytelnicy donoszą o takich zdarzeniach, prosząc o skontaktowanie z autorami nowych dla siebie wiadomości.

* * *

Co znajdziemy w niniejszym numerze? Zwykle ten jesienny, ostatni w roku numer – z uwagi na szczególne nagromadzenie ważnych dat – poświęcamy (nie w całości oczywiście) wspomnieniom niepodległościowym, wojennym, martyrologii. Mamy więc przede wszystkim Święto Zmarłych oraz rocznicę Obrony Lwowa 1918 r. Potem seria *okrągłych* rocznic: na początku roku przypadła 70. rocznica zbrodni katyńskiej i taka sama rocznica pierwszych wywózek na *nieludzką ziemię*, potem następnych. Przez kolejne miesiące roku przeżywamy niewyjaśniony dotąd dramat katastrofy smoleńskiej i śmierć kilkudziesięciu osób elity politycznej, wojskowej i kulturalnej naszego narodu.

Nie wszystkie rocznice mają wymiar tak tragiczny. Oto w tym roku przypadła 200. rocznica urodzin wybitnego polityka lwowskiego Franciszka Smolki. Za pośrednictwem krakowskiego „Sokoła” obchodziliśmy setną rocznicę Ogólnopolskiego Złotu Grunwaldzkiego Sokołów i odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego, zorganizowanych w 1910 r. (jeszcze w warunkach zaborów) w 500. rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. W uroczystościach pod Wawelem przed 100 laty brali udział liczni Sokoli lwowscy, a wstrząsające kazanie wygłosił ks. biskup Władysław Bandurski. ▶

do kończenia na III s. okładki

Stacja I. Jezus skazany na śmierć

Chrystus miał dopiero trzydzieści parę lat. Przekupili fałszywych świadków, podburzyli tłum, zastraszyli rzymskiego namiestnika, żeby tylko uzyskać wyrok śmierci. Ież w tym było nienawiści i krzywdy.

W 1936 roku Polacy z terenów wschodnich zostali pojmani – często nocą, jak Chrystus. Bez sądu, bez winy, bez najmniejszych powodów otrzymali wyrok: zesłanie na wschód. Na dożywocie...

Jak trudno tak z przymusu zostawić wszystko! Chryste! Jak trudno niezawiniony i niesprawiedliwy wyrok przyjąć tylko dlatego, że jest to wola Boga, który nigdy się nie myli. Nie tylko pogodzić się z losem, lecz odkryć w nim Boży plan i powtarzać z Tobą: *właśnie na tę godzinę przyszedłem...* (J 12,27)

Stacja II. Jezus obarczony krzyżem

Chrystus nie przygotował dla siebie krzyża, ale bez sprzeciwu przyjął ten, który zrobili dla Niego inni.

Zesłanie to okrutny i niezawiniony krzyż, zwalony na barki tyłu Polaków. Nie mieli innego wyjścia. Trzeba go było przyjąć i dźwigać aż po śmierć. Bóg jeden wie, ile było buntu, zwątpienia, załamania, a ile łaski w przyjęciu tego krzyża.

Jezu, dziś pokornie przyjmuję wszystkie moje krzyże, lecz chcę je dźwigać razem z Tobą. A gdybym kiedyś nie zrozumiał zesłanego na mnie krzyża, przypomnij mi, jak cenny jest jego ciężar, jak zbawienna to łaska.

Stacja XIII. Bolejąca Matka

Nikt z ludzi nie miłował tak jak Ona, więc też i nikt nie cierpiał tak jak Ona. Jak objąć miłością tyle okrucieństwa? Jej serce pękające z bólu nie znalazło ukojenia w śmierci. Z rozdartym sercem musiała dalek żyć.

Ież to matek płakało po śmierci swoich dzieci... Jedne nie przeżyły dalekiej podróży na wschód: bezimienne, porzucone na przejezdnych stacjach... Inne zmarły od chorób, z nędzy, zimna i głodu... Wydarte matczynej miłości.

Serca tych matek złączone w bólu z Matką Chrystusową niech wyproszą u Boga opamiętanie dla świata, który woła dzisiaj o prawo do zabijania dzieci. Niech niewinna, przedwczesna śmierć tych dzieci powstrzymuje nas od grzechu dzieciobójstwa.

Stacja XIV. Jezus złożony w grobie

W pośpiechu, zanim nastanie szabat, Józef i Nikodem złożyli ciało Chrystusa w grobie. Grób otulił ciało Pana jedynie na trzy dni, bo spoczął w nim Dawca Życia i niemożliwe, by śmierć nad nim panowała.

Dzisiaj nie wiemy nawet, jak wiele mogił kryje tamta ziemia... O wielu nikt już nie pamięta: opuszczone, zaniedbane... A iluż Polaków pochowano bezimiennie... Ale o wszystkich upomni się kiedyś Dawca Życia, bo dla wszystkich przygotowane są mieszkania w niebie... Każdego zawezwie po imieniu Chrystus Zbawiciel.

Modłę się za wszystkich Rodaków, których mogiły rozsiane są po szerokim świecie: Jezu, Zbawicielu! Przez Twoją mękę, śmierć i grób i przez Twoje Zmartwychwstanie daj im odpoczynek wieczny, daj im radość nieba!

Danuta Lenik, *Ze Wschodu na Zachód*. Biblioteka *Wołanie z Wołynia*, Biały Dunajec – Ostróg, 2009 (fragmenty)

ODEZWA RZĄDU RZECZYPOSPOLITEJ DO NARODU POLSKIEGO

Rząd polski w Londynie wydał w 1945 r. odezwę treści następującej:

Polacy!

Wbrew wszelkim oczekiwaniom przy rozstrzygnięciu sprawy polskiej zwyciężyły nie zasady słuszności i zobowiązania wynikające z umów międzynarodowych, lecz fakty dokonane i narzucone. Samozwańczy twór polityczny, złożony z komunistów i agentów obcych, ma stać się „rządem polskim”. Znalezione paru Polaków, którzy uznali za możliwe przyłożyć do tego rękę. Uczynili to w chwili, gdy całe polityczne i wojskowe kierownictwo po przeszło pięcioletniej bohaterkiej walce w Kraju z Niemcami postawiono w Moskwie przed sądem i proces przeprowadzono wedle dobrze znanych metod.

Rządy sojusznicze Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ten „rząd tymczasowy”, mieniący się – jakby na urągowisko – „rządem jedności narodowej”, mają uznać za rząd polski i mają cofnąć uznanie prawowitemu rządowi Rzeczypospolitej, wiernemu towarzyszowi pięcioletniej walki o wolność narodów. W takiej chwili jest naszym obowiązkiem raz jeszcze rozpatrzyć drogę, którą szliśmy dotychczas – i tę, którą musimy iść w przyszłości.

Naród polski w ciągu całej obecnej wojny postępował w sposób wyjątkowo czynny i ofiarny. Postawa jego była świadoma i dobrowolna – zmierzała do jednego celu. Tym celem jest przywrócenie Polsce pełnej niepodległości w ramach jej nieuszczerpionego terytorium państwowego. Dla Polaka bowiem najwyższym dobrem na ziemi jest życie w wolności. Dążyliśmy do złamania tyranii, zagrażającej nam i całemu światu. Za świadomie podejmowane decyzje naród polski zapłacił cenę najwyższą. Żaden inny ze zjednoczonych narodów w stosunku do swych możliwości i zasobów nie wniósł tak wiele do wspólnej sprawy i nie poniósł tak wielkich ofiar.

Według zasad naszej cywilizacji rząd jest wyrazicielem i wykonawcą woli narodu. Prze-

staje być rządem, gdy popada w sprzeczność z wolą narodu w zakresie samych podstaw życia zbiorowego. Zgodnie z tym każdy rząd polski musi popadać w sprzeczność z własnym społeczeństwem, jeśli nie broni: niepodległości, terytorium stanowiącego rękojmię tej niepodległości oraz zasad cywilizacyjnych i moralnych, które naród ukształtowały i utrzymują go przy życiu. Istnieje w tym zakresie pewne minimum, którego żaden rząd wyrzec się nie może. Wskazywano nam konieczność coraz dalej idących ustępstw – oskarżano nas o brak politycznego rozsądku i nierozumny upór. Niepodobna jednak oczekiwać, by naród polski w imię rzekomego rozsądku popełnił samobójstwo i na domiar słamał się hańbą.

Obecny rząd polski powstał 29 listopada 1944 roku, w chwili gdy polityka polska doszła do kresu swych ustępstw i gdy każdy dalszy krok w tym kierunku groził stoczeniem się po równi pochyłej w przepaść. W rządzie tym czołowe stanowiska objęli wybitni przywódcy polskiego ruchu podziemnego, będący najlepszymi wyrazicielami woli i dążeń walczącego w Kraju społeczeństwa. Rząd ten ma również za sobą zaufanie i poparcie Polskich Sił Zbrojnych, które tak piękną i krwawą kartę zapisały w dziejach wojny obecnej. Rząd wie, że może przemawiać zarówno w ich imieniu, jak i w imieniu szerokich rzesz Polaków rozsianych po świecie.

Obecny rząd polski próbowano niekiedy nazywać szyderczo rządem oporu. Tak, jest on rządem oporu. Oporu przeciwko zamachom zmierzającym do zagłady niepodległości Polski.

Rząd polski nie mógł zgodzić się na zabór połowy terytorium Rzeczypospolitej wraz z tak drogimi dla całego narodu miastami jak Lwów i Wilno. Rząd polski nie mógł zgodzić się na narzucenie Polsce ustroju społecznego obcego jej pojęciu wolności, ładu prawnego i tradycji moralnych. Rząd polski nie mógł zgodzić się na udzielenie jakichkolwiek uprawnień samozwańczemu komitetowi, składającemu się z członków nielicznej

w Polsce partii komunistycznej, zależnej od czynników obcych. Rząd polski nie mógł zgodzić się na przekreślenie porządku prawnego, na którym opiera się byt państwa. Rząd polski nie mógł zgodzić się na rozerwanie tysiącletnich związków polskich ze światem cywilizacji i kultury zachodniej.

Decyzje te rząd polski podejmował z pełnym poczuciem ciężkiej na nim odpowiedzialności. Gdyby nawet w chwili ich podejmowania mógł znać obecny bieg wydarzeń, nie wolno by mu było postąpić inaczej. Rząd polski nie po to został powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej, by miał przykładać rękę do likwidacji niepodległości Polski.

Polska pierwsza wystąpiła zbrojnie przeciw dążeniu Niemiec do panowania nad światem. Pragnąc przyjaznego współżycia z Rosją oparła się wszystkim namowom niemieckim wspólnego uderzenia na związek sowiecki. Walczyła wtedy, gdy inni jeszcze paktowali z Hitlerem. Nie zachwiała się ani na chwilę w wierności sojuszniczej, a w przełomowych dniach 1940 roku stała u boku Wielkiej Brytanii, samotnej w walce. W wielkiej bitwie powietrznej, która przechyliła szalę wojny, lotnicy polscy przyczynili się do zwycięstwa. Polacy nie nadużyli życzliwej gościny i przyjaźni, okazanej im przez naród brytyjski. W ciągu długich i ciężkich lat wojny naród polski trwał, walczył i wierzył.

Dziś na strzępach Rzeczypospolitej ma powstać twór zupełnie nowy: bez należnych Polsce granic, bez ciągłości prawnej i ustrojowej, bez tradycji cywilizacyjnej, w której Polska żyła przez lat tysiąc.

Prawowite władze Rzeczypospolitej nie uznają takiego narzuconego rozwiązania. Prezydent i Rząd Rzeczypospolitej są mandatariuszami woli narodu do chwili przeprowadzenia w Polsce wolnych i uczciwych wyborów. Koła kierownicze zachodu zdają się pokładać wielkie nadzieje w ustalonej w Jałcie zapowiedzi przeprowadzenia w Polsce wyborów „wolnych i nieskrępowanych”. Jest jednak rzeczą jasną, że o wyborach takich mowy być nie może, póki w kraju pozostaje wojsko sowieckie i sowiecka policja polityczna, póki nie ma swobody życia politycznego, wolności prasy i zgromadzeń oraz póki z granic Polski nie zostanie zdjęta żelazna kurtyna, oddzielająca ją od reszty świata.

Rząd polski nawet w razie cofnięcia mu uznania nie przestanie być prawowitym rzą-

dem. Wywodzi on bowiem swoje istnienie nie z uznania innych, lecz z woli swojego narodu oraz z praw Rzeczypospolitej.

Składając tę zapowiedź, niewiele wam możemy obiecać na czas najbliższy. Pamięć przywodzi słowa Churchilla z czasu, kiedy jego ojczyzna znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niczego nie możemy wam obiecać na dziś i na jutro oprócz trudu, cierpień i wysiłku. Lecz trud nie będzie daremny. PODEPTANE OBECNIE WARTOŚCI MORALNE NASZEJ CYWILIZACJI ODRODZĄ SIĘ I ZWYCIĘŻĄ. Do odrodzenia tego przyczynić się musimy wszystkimi siłami i nadejście jego przyspieszyć. Polaków w tym okresie czekają zadania szczególne. Ich naczelnym obowiązkiem jest zachowanie godności narodowej przez karność i opanowanie, solidarność oraz nieskazitelność postępowania w życiu osobistym i zbiorowym. Na każdym posterunku i na każdym dostępnym im polu winni dawać przykład wytężonej pracy i twórczego celowego wysiłku.

Pamiętamy, że słowa nasze przeznaczone są dla ludzi ciężko doświadczonych i wyczerpanych. Los Polaków nie będzie jednakowy. Jedni borykać się będą w kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego, inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych.

Droga nasza jest trudna, lecz u jej kresu spełni się Polska naszych żarliwych pragnień: wolna i niepodległa, Polska swobody i sprawiedliwości, Polska miłości Boga i ludzi.

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

„Biuletyn Obozowy”,
wydanie wieczorne z dn. 2 VII 1945

Prezydent RP na Emigracji
Władysław Raczkiewicz 1885-1947



Teresa Konopka

Po 10 kwietnia 2010 r.

Tragedia katyńska z 1940 r. nie odejdzie w niepamięć wraz z pokoleniem „Rodzin katyńskich”

Po raz kolejny straciliśmy polityczną, wojskową elitę – zginęli w służbie Polsce. Prezydentowi Polski, który zginął przed zakończeniem swojej misji, w której tak ważne było przywracanie pamięci polskim Bohaterom – Bóg dał śmierć przepelnioną symboliką. Media przedstawiły sylwetki ludzi, których życie tragicznie zostało przerwane rankiem 10 kwietnia 2010 r.

Ta lista ofiar jest kompletna. Tamta, z 1940 r., niestety nadal nie. Odeszły wdowy, którym nie dane było poznać daty śmierci i miejsca pochówku ich mężów. Starzeją się dzieci, które liczą na otwarcie archiwów, ujawnienie „listy białoruskiej”, moralne zadośćuczynienie za śmierć ich OJCÓW. Młodzież niewiele wie o TAMTYCH OFIARACH. Kto zna losy Wdów Katyńskich? Kto wie, ilu Kawalerów Orderu Virtuti Militari spoczywa w mogiłach katyńskich? Trzystu dwudziestu sześciu – najdzielniejszych z dzielnych, dla których honor i ojczyzna były dewizą życia. Tamten ból dla Rodzin nigdy nie był zakończonym, jawnym przeżyciem żałoby, związanym z uczestnictwem w pogrzebie, odwiedzinami mogił 1 listopada. Rodziny z Kresów były wywożone na Syberię i do Kazachstanu. Nieliczni ocaleni nie mogli przez dziesięciolecia mówić o losie swych bliskich. Pozbawiani pracy, możliwości studiów, borykali się z losem samotnie walcząc o prawdę. W 1990 r. mogli otrzymać oficjalne potwierdzenie zgonu – po 50 latach od zbrodni! Powstały „Rodziny Katyńskie”. Nasi zachodni sojusznicy nie składali kondolencji – taili prawdę broniąc własnych interesów. Proces norymberski nie objął tej zbrodni. Nie potwierdzono prawnie niewinności ofiar.

Zabrakło elit w powojennej Polsce – czy tylko tych 22 tysięcy? Mój rachunek jest inny. Dodajmy Ich Bliskich, którzy nie wrócili z deportacji. Zginęli młodzi ludzie, gdyby przeżyli,

mieliby dzieci, które wychowaliby w duchu umiłowania ojczyzny – teraz już dorosłe byłoby ich wnuki. Ilu? 60–80 tysięcy?

PTSD – to w psychologii nazwa tzw. zespołu przewlekłego stresu. Bliscy zamordowanych w 1940 r. żyli z tym do śmierci. Smutek, milczenie, koszmarne sny, oczekiwanie – obserwowałam to wiele lat.

Moja śp. Mamusia została wdową mając 24 lata. Jej mąż por. Jan Łańcucki, jeniec Starobielska, został zamordowany w Charkowie w wieku 28 lat. Był kierownikiem szkoły w Barszczowicach pod Lwowem. Wg opinii przełożonych wojskowych, rokował szybką karierę (akta CAW). Mamusia ocalała życie i 2 kartki od Niego z niewoli oraz 2 fotografie. Zmarła w 1979 r. – nie mając możliwości odwiedzenia grobu Męża. Może lepiej, niż gdyby wiedziała, że jeszcze 30 lat po tej zbrodni starano się zatrzeć jej ślady mieląc ICH szczątki geologicznymi wiertłami! Tu już nie było rozkazu Stalina. Mocodawcy żyją.

A dziś? Rosjanie oglądają film A. Wajdy *Katyń*. Ilu pozna prawdę po 70 latach? Czas najwyższy!



Na zdjęciu: Jadwiga z Samkiewiczów i Jan Łańcucki po ślubie w kościele św. Marii Magdaleny we Lwowie, 1937 r.

Danuta Nespiaik

Janusz Kurtyka

Kanclerz Narodowej Pamięci

W sobotę 10 kwietnia 2010 roku Janusz Kurtyka, prezes Instytutu Pamięci Narodowej, ledwo zdążył na samolot do Smoleńska. W poniedziałek, 12 kwietnia, miał brać udział w konferencji na Uniwersytecie Wrocławskim – temat: Polska. Może w dyskusji dłużej zająłby się Podolem, bo to był temat, który go interesował. Tak miało być, ale już nie będzie.

Wiosną 2006 r., w czasie debaty poświęconej polskiej polityce historycznej, Janusz Kurtyka powiedział: ***Jako historyk (nie mówię teraz jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej) sądzę, że nasza polityka historyczna powinna być formułowana w bardzo głębokim planie: to nie może być tylko XX wiek. Ten wiek potoczył się tak, a nie inaczej w odniesieniu do narodu polskiego właśnie dlatego, że był głęboki plan sięgający XV–XVI w., a więc okresu, kiedy kształtowały się formy obecności polskiej w Europie, a zatem wszystkie główne zręby cywilizacyjne, które zadecydowały o tym, że cywilizacja zachodnia oparła się – w formie państwowej Rzeczypospolitej – o Berezynę i Dniepr. Oparła się w sposób przyjazny*** (cytat za Biuletynem IPN, numer specjalny 112–113, 2010).

Trzy lata później stwierdził: ***Musimy też jednak pamiętać, że mamy prawo do pamięci. Nie można dopuścić do tego, żeby odmawiano nam prawa do pamiętania o Wilnie, Grodnie, Lwowie, Żółkwi, Krzemieńcu, Kamieńcu Podolskim itd. O tym, że Polska ma prawo uznawać tamtejsze symboliczne zabytki za swoje, bo są to dzieła wytworzone przez naszą cywilizację z czasów Rzeczypospolitej, i mamy prawo domagać się, żeby ten fakt był uznawany*** (cytat za Biuletynem IPN nr 1–2, 2009).

Janusz Kurtyka (1960–2010) urodził się w Krakowie-Nowej Hucie, gdzie pracował

jego ojciec, absolwent krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego im. J. Kochanowskiego w latach 1979–1983 odbył studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był jednym z założycieli Niezależnego Związku Studentów, a w czasie stanu wojennego – wykładowcą solidarnościowego podziemia. Stopień doktora nauk humanistycznych otrzymał w 1995 r. za dysertację *Tęczyńscy. Studia z dziejów monarchii małopolskiej w średniowieczu*. Habilitację na UJ uzyskał w 2000 r. Opublikowana rozprawa pt. *Latyfundium Tęczyńskie. Dobra i właściciele XIV–XVII w.* uzyskała znakomite recenzje za warsztat badawczy i wielokierunkowy zakres badań.

Akademicki tok kariery naukowej (pracował w Instytucie Historii Krakowskiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk) zamienił – kierując się poczuciem misji społecznej historyka – na działalność badawczą w Instytucie Pamięci Narodowej. 10 lat jego pracy na stanowisku prezesa tego Instytutu (2000–2010), do której miał niekwestionowane przygotowanie intelektualne, przyniosło mu wielkie uznanie dla jego wiedzy i walorów charakteru, ale też gorzkie oszczerstw, których nie oszczędzili mu ideowi przeciwnicy. Dorobek naukowy Janusza Kurtyki – około 140 pozycji – w większości dotyczy polskiego średniowiecza i sytuuje go wśród wybitnych polskich mediewistów. Praca w IPN pogłębiła też jego zainteresowania badawcze ziemiami wschodnimi I RP, a zwłaszcza Podolem. Jeszcze jako asystent Instytutu Historii PAN rozpoczął sam pracę nad słownikiem historyczno-geograficznym Podola i przygotowywał kartotekę miejscowości. Kwerenda literatury przedmiotu i źródeł do historii Podola uświadomiła mu potrzebę organizacji badań na tym polu, kiedy otworzyły się częściowo dla polskich historyków archiwa Lwowa i Kijowa. Jego projekt badawczy *Zaginione pomniki cywilizacji europejskiej. Zespoły sądowych szlacheckich i miejskich z czasów I RP XV–XVIII w.* (którego realizacja wiązała się z inwentaryzacją w Centralnym Archiwum Historycznym w Kijowie) otrzymał w 2003 r. grant z Ministerstwa Nauki. Dzięki temu zespół polskich historyków sporządził inwentarze archiwalne ponad 2200 tych ksiąg, będących tak ważnymi źródłami dla badań polskiego dziedzictwa narodowego. ►

Momentem sprzyjającym organizacji takich badań przez Instytut kierowany przez Janusza Kurtykę było stanowisko władz Polskiej Akademii Nauk, dzięki któremu włączył się on w prace przygotowujące otwarcie Stacji Naukowej PAN w Kijowie dla badań nad ziemią kresowymi RP.

Syntezą badań wschodnich Janusza Kurtyki miała być monografia Podola jego autorstwa. Przygotowywał się do niej sumiennie, o czym świadczą opublikowane prace: 1. *Arcybiskup lwowski Jan Rzeszowski (1436–1446)*, 1992; 2. wstęp do książki *Urzednicy podolscy XV–XVIII w. Spisy*, 1998; 3. *Podole między Polską a Litwą w I połowie XV w.*, 2000; 4. *Najstarsze dokumenty dla francisz-*

kanów kamienieckich z lat 1400–1402, 2001; 5. *Podolia: the „Rotating Borderland” at the Crossroads of Civilizations in the Middle Ages and in the Modern Period*, 2004; 6. *Nadanie starostwa podolskiego Teoderykowi z Buczcza z r. 1442 (z dziejów królestw na Podolu w XV i XVI w.)*, 2004; 7. *Repertorium podolskie. Dokumenty do 1430 r.*, 2004; 8. *Zapomniane pomniki cywilizacji europejskiej. Zespoły ksiąg sądowych, szlacheckich i miejskich z czasów I Rzeczypospolitej (XV–XVIII w.) w Kijowie*, 2005; 9. *Z dziejów królestw na Podolu i organizacji militarnej na Podolu*, 2007; 10. *Wierność i zdrada na pograniczu. Walki o Braclaw w latach 1430–1437*, 2008.

Kto będzie kontynuował jego podolskie dzieło?

Anna Potoczek

Czy polska młodzież powinna odwiedzać Kresy

Kresy to w dzisiejszym rozumieniu wschodnie tereny odrodzonej po 123 latach zaborów II Rzeczypospolitej, które po II wojnie światowej znalazły się w granicach związkowych republik Litwy, Białorusi i Ukrainy, zaś po rozpadzie ZSRR stały się częścią tych niepodległych już państw. Czy ziemię tę powinny być odwiedzane dziś przez młodych Polaków i jaką mogłoby to mieć dla nich wartość? Na kształt mojej opinii, dotyczącej poznawania ziem należących niegdyś do Polski, ogromny wpływ miała tegoroczna wycieczka na teren dzisiejszej Ukrainy. Niezależnie od wrażenia, jakie wywarł na mnie ten kraj, mogę dziś z czystym sumieniem powiedzieć – było warto.

Gdy próbuję zrekonstruować swoją opinię o Ukrainie sprzed naszej podróży, widzę, jak bardzo się myliłam. Państwo to traktowałam jako równorzędne z Polską, jeśli chodzi o rozwój gospodarczy i społeczny, nie wierzyłam również w pozostanie na tych ziemiach wyraźnych śladów polskości. Tymczasem zaskoczyło mnie niemalże wszystko – zaczynając od niegrzeczności zachowania sprzedawczyń w sklepie spożywczym, kończąc na podejściu Ukraińców do sprawy renowacji zabytków.

Kresy, chociaż administracyjnie powiązane już z innym krajem, historycznie i kul-

turowo wciąż są częścią Polski. Przykładem tego może być Lwów – jedno z głównych miast I i II Rzeczypospolitej, stolica jednego ze znajdujących się aż do 1939 roku w Polsce województw, wreszcie ważny ośrodek polskiej kultury, nauki i oświaty trwający w naszym kraju przez niemalże sześćset lat. Nie znać tego miasta, to jak nie znać Krakowa, wraz z którym był Lwów jednym z dwóch najważniejszych ośrodków intelektualnych zamieszkiwanym przez wybitnych Polaków, takich jak Aleksander Fredro, Władysław Bełza, Andrzej Małkowski, Leopold Staff czy Gabriela Zapolska. Szczególne wrażenie wywarł na mnie Cmentarz Łyczakowski – w tej zabytkowej nekropolii oglądać można znajdujące się naprzemiennie obok siebie nagrobki z inskrypcjami wyrytymi w alfabecie łacińskim i cyrylicy, dzięki czemu szczególnie zauważalny jest synkretizm kultur polskiej i ukraińskiej. Miejscem, które jednak najbardziej zapadło mi w pamięć z całej podróży po Kresach, była część Cmentarza Łyczakowskiego – Cmentarz Orłąt Lwowskich. Przejmujące wrażenie wywarł na mnie las białych krzyży, tabliczki, na których widniał młody wiek poległych, a także puste miejsca na tablicach pamiątkowych, w które władze ukraińskie nie pozwalają nawet wpisać na-

Marian Hemar

Wola Polski (fragment)

Ach, nie musi być Polska od morza do morza,
Musí być sprawiedliwa i musi być Boża.
Nie musi robotnicza być ani włościańska,
Lecz musi być rozumna, musi być chrześcijańska.

I nie musi być Polska z tej mocy i męstwa,
Które tylko na klęski stać, nie na zwycięstwa.

Nie musi mieć zamorskich dzierżaw ni kolonii,
Ani kopalni złota, ani fabryk broni,
Ale musi być wolna – u siebie. Ogromna
Wolnością, i czym wielka, tym musi być skromna.

Nie musi być od wschodów Polska, od zachodów,
Winkelriedem Narodów! Chrystusem Narodów!
I nie musi całego świata sobą zadziwiać,
Cierpieniem okupywać, cnotą uszczęśliwiać.

I wciąż krzyżem się kajać, wciąż dźwigać trud trudów
I Pana Boga błagać wciąż o wojnę ludów,
By z nich coraz Feniksem ulatać z popiołów,
Już wreszcie doskonała i już idealna –

– Lecz musi być zwyczajna. Musi być normalna.
I powszednia: dla ludzi, a nie dla aniołów.

*Drukowane po raz pierwszy: „Tydzień Polski”
(Londyn) nr 15/161 z dn. 11 kwietnia 1943*

zwy otrzymanego pośmiertnie przez polskich obrońców Lwowa orderu. W tym miejscu poczułam, że spoczywający tam ludzie walczyli nie o obce (jakimi były dotychczas w moim odczuciu) ziemie, ale o miejsca, które uważali za swoją ojczyznę i z którymi zaczęłam się przez to utożsamiać.

Kolejnym zjawiskiem, wywołującym duże zaskoczenie, był brak jakiegokolwiek dbałości ze strony Ukraińców o znajdujące się na ich ziemiach zabytki. Widok rozsypujących się zamku w Żółkwi czy Wielkiej Synagogi w Drohobyczu na stałe wrył się w moją pamięć, podobnie jak XVII-wieczne freski z kościoła w Zbarażu zamalowywane białą farbą czy odrapane kamienice w Stryju, przy oglądaniu których użyć trzeba sporo wyobraźni, aby uwierzyć w ich niegdyś istniejącą świetność. Problem konserwacji zabytków, a raczej jej braku, jest w dużej mierze spowodowany panującą na Ukrainie biedą. Od ludzi, którym z trudem wystarcza na jedzenie, ciężko oczekiwać łożenia na renowację świątyń i twierdz, w związku z czym ich stan jest opłakany, a wygląd wróży rychłe zawalenie.

Zjawisko biedy na Ukrainie jest motorem większości problemów państwa. Wysokie ceny żywności, niskie płace, zły stan infrastruktury wywołują w społeczeństwie frustracje i marazm, które przekładają się negatywnie na codzienne kontakty: ludzie na ulicach rzadko się uśmiechają, nie wspominając o używaniu jakichkolwiek zwrotów

grzecznościowych. Z niedowierzaniem patrzyłam na ponure kasjerki posługujące się liczydłem, ceny mięsa w sklepie czy znaki drogowe z ograniczeniem prędkości do 5 km/h.

Kresy to jednak miejsce, gdzie rozgrywały się losy Polaków, wydarzyły się ważne bitwy, zapadały kluczowe dla Polski decyzje. Odwiedzenie miejsc, które zawsze funkcjonowały w mojej świadomości jako „nasze”, „polskie”, takich jak Kamieniec Podolski, Brzeżany czy Zbaraż, na terenie innego kraju było dla mnie dziwnym i często przykrym – w związku ze stanem, w jakim znajdowały się tamtejsze zabytki – doświadczeniem.

Ostatecznie pamiętać należy również, że Kresy to nie tylko Ukraina, ale także tereny obecnej Białorusi, gdzie urodził się nasz narodowy wieszcz – Adam Mickiewicz, czy Litwy, z którą Polska była złączona unią przez setki lat. Na bazie własnych przeżyć odpowiem więc na postawione wcześniej pytanie: polska młodzież powinna odwiedzać tereny dawnej Rzeczypospolitej, gdyż są to miejsca nierozdzielnie złączone z polską historią, kulturą i państwowością. Powinna poznać ukraińską kulturę i religię, by zauważyć, jak odmienne są od naszej, a także po to, by – jak ja – móc docenić rozwój gospodarczy i kulturalny naszej ojczyzny.

ANNA POTOCZEK, ur. 1992, uczennica III klasy
V Liceum Ogólnokształcące w Krakowie

Adam Jerzy Chowaniec

TAK BYŁO W JAREMCZU

Wspomnienie wygłoszone na spotkaniu członków TMLiKPW w Klubie „Zaufek” w Krakowie 2 III 2010

Pośród moich wielu wspomnień z dawnych, odległych lat wybrałem te z Jaremcza, uroczej miejscowości na Huculszczyźnie. Przebywali tam na wakacjach m.in. lwowianie, z którymi wraz z siostrą się zaprzyjaźniłiśmy. W imię tej właśnie przyjaźni chciałbym opowiedzieć o znanych mi losach, wojennych czy powojennych, niektórych z tych osób, z którymi wiążą mnie młodzieńcze wspomnienia. Początki naszych znajomości sięgają w zasadzie roku 1935.

Najpierw jednak trochę o sobie.

Urodziłem się w Stanisławowie

i tam spędziłem bardzo radosne i szczęśliwe dzieciństwo. W 1935 roku ukończyłem sześcioletnią szkołę – ćwiczeniówkę. Pamiętam naszych nauczycieli, zwłaszcza przemilego dyrektora Drabika, który miał wszechstronne zdolności wychowawcze. Wszyscy oni, z tej i innych szkół, padli ofiarą ludobójstwa w Czarnym Lesie, z rąk niemiecko-ukraińskich.

W tymże 1935 roku przenieśliśmy się do Lwowa, tzn. moi rodzice i moja starsza o dwa lata siostra. Pierwsze mieszkanie to była ul. Mochnickiego 38, a drugie w willi prof. Edelmana przy ul. Szymonowiczów 21, naprzeciw kortów tenisowych „Pogoni”. Muszę przyznać, że czułem się dosyć obco po przyjeździe do Lwowa, bo przecież to obce miasto, znacznie większe, nikogo nie znałem, a już prawdziwym szokiem było dla mnie przekroczenie progów I Gimnazjum im. M. Kopernika, do którego ojciec mnie zapisał na zasadzie tradycji, bo i on i jego młodszy bracia chodzili też do I Gimnazjum – w Stanisławowie.

Ze strachem przekraczałem progi gimnazjum na pierwszy egzamin. Wprowadzono nas – 80 chłopaków – do auli. Tam naprzód katecheta ks. Huet miał modlitwę, później przemówił dyr. Zimnowicz, a wreszcie polecono nam zająć

miejsca. W momencie jak siadałem, moje krzesło rozleciało się i znalazłem się na podłodze, wśród szalonego śmiechu wszystkich uczniów. Byłem zupełnie rozstrzęsiony, bo tak strasznie mnie to wszystko dotknęło. Egzamin rozpoczął się od zadania z matematyki. W moim ówczesnym stanie sprawił mi trudność, choć był łatwy, ale dałem sobie jakoś radę. Następne przedmioty poszły lepiej. Obiektywnie trzeba stwierdzić, że w gimnazjum tym był wysoki poziom nauczania, lecz niektórzy profesorowie – nazbyt surowi pomimo naszej wzorowej, powiedziałbym, wzorcowej dyscypliny.

Po wspomnieniach natury osobistej

powrócę do moich lwowskich znajomych. We Lwowie mieszkali, zaprzyjaźnieni od dawna z moimi rodzicami, państwo Domaszewiczowie. On był profesorem – neurochirurgiem – i prowadził specjalistyczną klinikę (o ile mnie pamięć nie myli, przy ul. Piekarskiej). Jego fachowość i umiejętność znalezienia wspólnego języka z trudnymi, bo także i niekiedy niepełnosprawnymi umysłowo pacjentami, znalazły wyraz w poświęconej mu książce pt. *Pałac połamanych lalek*. Domaszewiczowie mieli czwórkę latorośli. Najstarszy Lech w owym czasie miał ok. 26–27 lat, młodszy Roman – 17, zaś dwie siostry bliźniaczki – Ewa i Wanda – 14. Wraz z moją siostrą od razu zaprzyjaźniliśmy się z nimi. Rodzice nasi zaprosili całą rodzinę Domaszewiczów na wakacje do naszej willi w Jaremczu (w lipcu 1935 r.). Od tego czasu zaczęły się niezwykle miłe, powiedziałbym: lwowskie wakacje w Jaremczu. Mówiąc o pięknych wakacjach nie sposób pominąć uroków Jaremcza, miejscowości nie tak powszechnie znanej. Wprawdzie wszystkie górskie miejscowości Huculszczyzny odznaczały się niepowtarzalnym charakterem pod względem walorów wypoczynkowo-uzdrowiskowych (klimat, niemal gwarantowana pogoda, widoki, trasy wycieczkowe, idealnie czysta woda), to jednak Jaremcze – uroczą miejscowość na wysokości 650 m n.p.m. – miało szczególne atrakcje, głównie widokowe, ale także łatwy dostęp kolejowy i drogowy oraz dobre zaopatrzenie w sezonowych sklepach, kawiarniach i restauracjach.

Pierwsza niezwykle osobliwość to wodosпад wzbudzający podziw; u jego podstawy utworzyło się jakby jezioro, w zarysie prawie koliste, o średnicy ok. 50 m, a głębokości ponad 20 m. Miejsce to otoczo-

ne było pionowymi ścianami zboczy, zaś z jednej strony, blisko wody, znajdowały się łatwo dostępne ogromne głązy, które były wymarzone miejscem do opalania. Ten piękny, wysoki wodospad można obejrzeć już jedynie na fotografiach, ponieważ zbudowano nad nim kładkę widokową, przez co został wybitnie spłaszczony i w rzeczywistości zniszczony.

Drugą atrakcją Jaremcza stanowił kamienny most kolejowy, prawdziwy ewenement końca XIX wieku. Łuk mostu miał 65 m długości, zaś cały most ponad 100 m. Powstał on w krótkim czasie, choć nie dysponowano wówczas takimi urządzeniami, jakie są dzisiaj. I tu kolejny przykład niszczenia – przez zaborców – tego co piękne i wartościowe. Most został wysadzony podczas wojny, choć nie jest ustalone, czy zrobili to Niemcy czy sowieci. Zniszczony most zastąpiono zwykłym, brzydkim, żelaznym. Dawny most stanowił ozdobę okładki 2. numeru kwartalnika „Cracovia–Leopolis” 2010.

Trzecia atrakcja to piękna, drewniana atrapa sarenki, usytuowana blisko zalesionego szczytu Makowicy, wznoszącej się nad Prutem, w środkowej części Jaremcza. Skały w obrębie dolnej, niezalesionej części góry przybrały kształt słonia, w związku z czym mówiło się o kąpieli pod słoniem. Naturalnie te atrakcje były obiektem zainteresowania licznych fotografów.

Wśród jaremczańskich atrakcji

nie sposób pominąć Żydów, tamtych przedwojennych. Otóż pasażerów każdego pociągu odjeżdżającego w głąb kraju żegnano na dworcu okrzykami: Hules, Hules, Hules. Legenda głosi, że było to nazwisko małżeństwa żydowskiego, w którym mąż przyjął nową towarzyszkę życia i z nią opuszczał Jaremcze. Zrozpaczona, porzucona żona biegła za pociągiem, wołając go, by powrócił. W miesiącach wakacyjnych na całej Huculszczyźnie, bez przesady, roiło się od Żydów. Dowcip głosił, że w tym czasie Palestyna zostaje wyludniona, gdyż wszyscy tu przyjeżdżają. Żydzi stworzyli specyficzną atmosferę, w sumie bardzo wesołą, bo sami też byli dowcipni.

Nie bez przyczyny przytoczyłem obraz tego dawnego Jaremcza, obraz już nieistniejący i niepowtarzalny. Uważam bowiem, że Jaremcze stało się tłem historii poznanych

tam lwowian, spędzanych z nimi wakacji oraz różnych ich dalszych losów. Przechodzę zatem do tych znajomości, począwszy od pamiętnego 1935 roku.

Może pierwszymi byli bracia Dobrzańscy – o rok ode mnie starszy Władysław, choć używający wyłącznie imienia Tomasz, i o rok młodszy jego brat – Zdziszek. Ich ojciec prowadził aptekę przy ul. Akademickiej, w gmachu hotelu George'a. Ich przyjacielem, przebywającym stale z nimi na wakacjach, był młody lekarz Stasio Frenkiel. Dobrzańscy posiadali pensjonat „Bajka” – na wzgórzu, w pobliżu mostu kolejowego. Niedaleko „Bajki”, w kotlinie, znajdowała się droga biegnąca równoległe do rzeczki Żinki, tj. Żonki (dopływu Prutu). Właśnie tam po jednej stronie, na zboczu, było kilka willi, przeważnie należących do lwowian, a wśród nich willa państwa Steusingów (p. Steusing był profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza). W rodzinie było troje dzieci: najstarsza Hanka – ok. 20 lat, młodszy Andrzej – 16 i Janek – 15. Wielkim, stałym przyjacielem całej trójki był ktoś, o kim można powiedzieć *człowiek-historia*: doskonały narciarz, równie dobry tenisista, szalenie wysportowany. Jego charakter i zalety wskazywały na wzorcową postać. Był to Leszek Chlipalski, kończący wtedy studia medyczne. W całym naszym gronie miał opinię człowieka serdecznego, otwartego i zawsze bezpośrednio. Będąc starszym ode mnie o jakieś 8 lat, nie pozwalał do siebie mówić „per pan”, twierdząc, że przynajmniej tu, na wakacjach, wszyscy jesteście kolegami. ▶



Willi rodziny Chowańców w Jaremczu

Obaj bracia Steusingowie kochali sport narciarski. W rezultacie, wraz z Leszkiem, przywozili ze sobą w lecie – właśnie narty. Wzbudzało to niemalą sensację, gdy o świącie szusowali po stromych zboczach pokrytych szronem. W innej części Jaremcza, na odległym od centrum wzgórzu, była nasza willa, a kilkaset metrów powyżej – willa państwa Szumskich. Mieli oni syna Tadeusza, zwanego Dzikusiem. Poznaliśmy go kilka lat wcześniej. Chłopiec bardzo dobrze wychowany, kulturalny, był świetnym gimnastykiem. Obok willi miał specjalne urządzenie do gimnastyki (2 słupki z wysoko umieszczoną poprzeczką). Z sąsiednich domów podziwiano jego gimnastyczne wyczyny. Wraz ze swoim kuzynem Zdziszkiem Gergowiczem włączył się do naszego towarzystwa. Znaleźli się w nim także: nasza kuzynka, rówieśnica mojej siostry, Antonina (Dzidka) Solecka, bracia Roman i Janusz Karasińscy, Zdziszek Ostrowski i Janek Kochanowski. Okresowo przebywali tu także Lech i Roman Domaszewicowie. Ich siostry bliźniaczki, Ewa i Wanda, wnosiły do tego towarzystwa wiele ożywienia i humoru. Program naszych spotkań był bardzo urozmaicony. Przed południem – obowiązkowa kąpiel i opalanie pod „wodosikiem” (wodospadem); po południu albo mecze siatkówki (były 3 „kluby”), albo spaceru połączone nieraz ze śpiewem, albo five „u Lankosza”. Był to przemity lokal, usytuowany na wzgórzu nad wodospadem. Między innymi tutaj, podczas tańców, uwidoczniły się stałe pary, spośród których najbardziej wzruszającą byli Ewa Domaszewicz i Jasiek Steusing. Coś między nimi „iskrzyło”, bo siadywali na osobności koło wodospadu – widać mieli sobie coś do powiedzenia; od tego momentu warto o tym pamiętać... Przemity były wakacje tego roku. Powtórzyły się one w roku następnym.

Pod koniec roku 1936

urządziliśmy w naszym pierwszym mieszkaniu, przy ul. Mochnackiego, młodzieżowy bal, w którym uczestniczyła większość jaremczańskiego grona. Moja siostra miała zwyczaj podawania gościom do wpisów swój pamiętnik. Janek Kochanowski, po serdecznym wpisie (należał do adoratorów siostry), podpisał się: *Nie poetyczny Jan, nie z Czarnolasu pan*. Natomiast tekst Andrzeja Steusinga zawierał wręcz niesamowity podpis.

Brzmiał on: *Tu spoczywa Andrzej Steusing...* Zabawa odbyła się w drugiej połowie grudnia. Kilka dni później na narty pod Howerlę wybrała się cała trójka Steusingów, naturalnie z Leszkiem Chlipalskim i jeszcze kilkoma innymi osobami. Wszyscy zamieszkali w schronisku na Zaroślaku. Warunki narciarskie były tam wręcz wymienione, tyle tylko, że przy słonecznej pogodzie istniało zagrożenie lawinowe. Któregoś dnia nasze towarzystwo znalazło się na szczycie góry nad Kotłem Breskulem; istniały tam możliwości zjazdów z kilku stron. Poza najlepszymi narciarzami z tego grona – Leszkiem Chlipalskim i Andrzejem Steusingiem, nikt inny nie zdecydował się na zjazd do Kotła. Natomiast ci dwaj, najlepsi, długo szukali możliwie najbezpieczniejszego miejsca do zjazdu, i to szusem. W końcu ruszyli, a wtedy błyskawicznie pojawiła się lawina. Te zbocza są bardzo kamieniste i lawinaniosła ze sobą także jakieś mniejsze głazy. Obaj narciarze od razu zorientowali się, co im grozi, i próbowali zmienić kierunek. Niestety były to próby już bezskuteczne. Janek później opowiadał o prawdopodobnym ich zamiarze odpięcia nart, gdyż to ułatwiłoby wydostanie się spod zwałów śniegu. Obaj jednak zniknęli pod tą ogromną lawiną. Pierwszy z tego strasznego wstrząsu ocknął się Janek, brat Andrzeja, i szybko zjechał do schroniska w poszukiwaniu pomocy. W miejscu, w którym zniknęli, nikogo nie odnaleziono, chociaż posłużono się specjalnym sprzętem do poszukiwań. Dopiero, chyba drugiego dnia po tragedii, przybył na miejsce pluton 48. Pułku Piechoty ze Stanisławowa. Bez ustanku, w licznej grupie, poszukiwano ciał naszych przyjaciół.



Transport zwłok obu narciarzy na sankach. Zdjęcie z „IKC” (11.01.1937)

I – o ironio – znaleziono ich w zupełnie innym, odległym miejscu, tuż obok ogniska, przy którym ogrzewali się ratownicy. To przerażające zdarzenie odbiło się echem w całym kraju. W radiu i w prasie podawano komunikaty o poszukiwaniach, a komunikaty te miały tytuł: *Biała śmierć lwowskich narciarzy*. Po nabożeństwie żałobnym w kościele oo. Bernardynów kondukt pogrzebowy ruszył na Cmentarz Łyczakowski. Podążało w nim kilka tysięcy osób, na czele zaś szła kompania honorowa z orkiestrą, gdyż Leszek Chlipalski odslugiwał wówczas służbę wojskową. Tragicznie zmarłych narciarzy pochowano we wspólnym grobie.

Nie muszę chyba opisywać smutku, jaki ten straszny wypadek wywołał w naszym gronie. Wielokrotnie wszyscy zastanawialiśmy się, co mógł oznaczać nieszczęsny podpis Andrzeja w pamiętniku mojej siostry.

Są zdarzenia, o których niepodobna zapomnieć, i dlatego wakacje 1937 roku miały już inny charakter, gdyż wciąż nam brakowało kogoś lub czegoś. Jedyną może radość sprawiło nam przyjęcie Zdziszka Ostrowskiego do szkoły podchorążych kawalerii w Grudziądzu; była to bowiem szkoła elitarna, przyjmująca synów osób mających znaczącą pozycję z racji stanowisk, tytułów itp. Zdziszek był sierotą, bez ojca, wobec czego komisja była zdziwiona jego stawieniem. Gdy już miał odejść, zerwał się któryś z oficerów, członków komisji, i zawołał: *Panowie, to byłby skandal, gdyby nie przyjęć do kawalerii tak dorodnego kandydata* i wobec takiej reakcji został przyjęty.

Pewnego lipcowego dnia w małej grupie udaliśmy się na Zaroślak, aby obejrzeć miejsce tragedii. O ile dobrze pamiętam, w miejscu odnalezienia ciała stał krzyż. Jak się później okazało, został on postawiony z inicjatywy obu Rodzin. Prawdopodobnie krzyż ten zniknął podczas okupacji sowieckich, podobnie jak symbole w wielu innych polskich miejscach, wymagających szczególnego kultu.

Wakacje w Jaremczu w 1938 roku

przebiegały w wybitnie zmniejszonym gronie. Przebywali tam jedynie bracia Dobrzańscy i Tadzik Szumski. Pozostałe osoby z naszego grona wyjechały gdzie indziej, a np. Zdziszek Ostrowski, po ukończeniu podchorążówki, otrzymał przydział do 6. Pułku Uła-

nów Kaniowskich w Stanisławowie i był na manewrach. Domaszewiczowie z Jankiem Steusingiem spędzali wakacje w Tatrach, a Romek Karasiński pojechał do Iwonicza, gdzie rodzice Dzikki Soleckiej mieli wille. Do Jaremcza zaś przyjechało kilka znajomych osób ze Lwowa i Warszawy, nie byliśmy więc wraz z siostrą osamotnieni.

Nadeszły ostatnie – jak się okazało – wakacje w Jaremczu w 1939 roku. Zabrakło tu już naszych dawnych współtowarzyszy wakacyjnych zabaw. Zjawił się jedynie Janek Steusing, lecz nieco później, po odbyciu ćwiczeń w Legii Akademickiej, do której należał jako student I roku Politechniki Lwowskiej. My gościliśmy Tadzia Korsaka, syna zaprzyjaźnionych z rodzicami państwa Korsaków. Przyjeżdżał do nas też codziennie z Kamienia Dobosza Zbyszek Przeździecki (syn dyrektora XI Gimnazjum we Lwowie) – ówczesna sympatia mojej siostry. Lipiec był jeszcze w miarę spokojny. W Jaremczu znajdowało się też wielu letników. Diametralnie wszystko zaczęło się zmieniać w sierpniu. Radio i prasa donosiły o nasilonych, granicznych prowokacjach niemieckich. Wśród letników obserwowano się jakieś napięcie i zdenerwowanie. Rozpoczęły się wcześniejsze wyjazdy. Prawdziwy, paniczny exodus rozpoczął się około 20 sierpnia. O szczegółach zagrożenia wojennegoowiedzieliśmy się po telefonie p. Korsaka – wiceministra spraw wewnętrznych, wzywającym syna do natychmiastowego powrotu. Trudno zapomnieć, co działo się wtedy w Jaremczu. Pociągi były szalenie przepełnione, ludzie wchodzili przez okna, inni zaś stali na stopniach wagonów. Szczególne zmartwienie wywołała sytuacja większych psów (dobermanów, wilczurów, itp.), które z braku miejsca w pociągach musiały być pozostawione w Jaremczu. Właściciele nawet płakali, psy wyrwały się – nie można było na to patrzeć bez żalu. Udało się nam uratować jednego psa, zabierając go do naszego samochodu i później odstawić we Lwowie pod wskazany adres. Błagała nas o to jakaś pani ze łzami w oczach. W samochodzie, na szczęście dużym i pojemnym, mieliśmy już naszego psiaka. I co ciekawe – nie było między nimi żadnej awantury, choć oba były „rodzaju męskiego”. Może wyczuwały tę wyjątkową atmosferę? Działo się to 25 sierpnia, bo właśnie wtedy opuszczaliśmy Jaremcze. Stały



nasz dozorca solennie obiecał zapewnienie naszemu domowi jak najlepszej opieki i z góry został za to wynagrodzony. Przed zajęciem miejsca w samochodzie ze łzami w oczach dwukrotnie obchodziłem dom. Spędzałem w nim wakacje, najpierw 3-miesięczne, potem 2-miesięczne – w sumie przez 17 lat! Było zatem czego żałować.

Wybuch II wojny światowej

w tym samym stopniu spowodował zmianę życia, co i zerwanie wszelkich kontaktów z przyjaciółmi czy znajomymi. Każdy musiał zająć się sobą i walczyć o przetrwanie. W miarę upływu czasu zaczęły jednak dochodzić jakieś wieści o losie naszych przyjaciół – wojenne i powojenne. O nich chciałbym, choć w skrócie, opowiedzieć.

Zdziszek Ostrowski – wraz ze swoim pułkiem ułanów ze Stanisławowa, wchodzącym w skład 6 Podolskiej Brygady Kawalerii oraz przynależnymi do niej – 14 pułkiem Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa i 9 pułkiem Ułanów Małopolskich z Trembowli (dowództwo tej brygady było w Stanisławowie) – pojechał na wojnę 1 września. Brygada ta stanowiła skrzydło armii Poznań gen. Kutrzeby. Walczyła nad Bzurą, w Puszczy Kampinoskiej i w obronie Warszawy, ponosząc, podobnie jak inne jednostki, ogromne straty. Zdziszek poległ 19 września w walkach pod Laskami. Mogiła jego nie została odnaleziona, bowiem większość żołnierzy najczęściej chowano bezimiennie, a ich tzw. medaliki, zwane śmiertelnikami, masowo ginęły. Mój Boże! A jakże on 2 lata wcześniej cieszył się z przyjęcia do kawalerii. Janek

Steusing – mówiłem poprzednio, że przyjechał do Jaremcza po odbyciu ćwiczeń w Legii Akademickiej. Pozostał tu pomimo wojny. Gdy przez Jaremcze wycofywała się brygada pancerna gen. Maczka, przyłączył się do niej, znalazł się na Zachodzie i w końcu – w Anglii. Wstąpił na stałe do tej brygady, przekształconej w I dywizję pancerną, i w jej szeregach walczył do końca wojny. Powiem o nim przy okazji wspomnienia Domaszewiczów.

Janek Kochanowski – wywieziony z rodziną do ZSRR, przedostał się następnie do tworzonych tam przez gen. Andersa polskich oddziałów, podejmując służbę w pułku pancernym. Po latach otrzymał szlify oficerskie. Melchior Wańkowicz w poszerzonym wydaniu książki „Monte Cassino” opisał bohaterski czyn Janka. Podejmując ogromne ryzyko wywrotki w przepaść, wjechał czołgiem wążutką ścieżką na tę górę od strony, z której Niemcy nie przewidzieli ataku, i otworzył w ich kierunku ogień. Niestety w kolejnej walce, pod Anconą, stracił nogę. Pomimo kalectwa kierował samochodem i motocyklem, oczywiście mając protezę. Któregoś dnia podczas jazdy motocyklem ulicami Londynu miał jakąś stłuczkę i wtedy oderwała się proteza. Przechodnie myśleli, że to noga, co wywołało ich przerażenie, nawet jakaś kobieta zemdląła. Janek doczołgał się do protezy, wziął ją pod pachę i pojechał dalej. Taki też był Jaremczu – pełen rycerskości i fantazji. Lech Domaszewicz – poślknął przysłowiowego „bakcyła wojskowego” jeszcze w marynarce. Naturę miał wręcz wojowniczą i często realizował swoje niemal wariackie pomysły. W początkach wojny przedostał się za granicę, aż do Anglii, i został „cichociemnym”, zrzuconym później na Bałkany. Dawał sobie radę. Przeżył wojnę i zamieszkał w Ameryce Południowej. Roman Domaszewicz – młodszy brat Lecha; jako podchorąży broni pancernej brał czynny udział w kampanii wrześniowej. Uniknął niewoli, lecz nie mógł pozostawać w rodzinnym Lwowie, gdyż nie zarejestro-

wał się jako były wojskowy (ani u Rosjan, ani u Niemców). Groziłoby to różnymi konsekwencjami. Dlatego wraz z żoną (córką prof. Zielskiego z Politechniki Lwowskiej) przeniósł się gdzieś w południowe rejony Polski. Oboje po wojnie zamieszkali w Krakowie, gdzie Roman kontynuował studia na Akademii Ekonomicznej; po latach został tam profesorem.

Przedstawiłem powyżej historię przyjaciół, czynnie walczących z wrogami.

A jak potoczyły się losy innych wakacyjnych znajomych z Jaremczu?

Zbyszek Przeździecki – wraz ze swoimi rodzicami przebywał we Lwowie w czasie pierwszej okupacji sowieckiej. W połowie roku 1941 na podstawie donosu Ukraińca był aresztowany i siedział w Brygidkach. Przed opuszczeniem Lwowa przez Sowietów został, wraz z innymi więźniami, tak bestialsko zamordowany, że nawet nie rozpoznano jego zwłok. Roman Karasiński – przedostał się we wrześniu 1939 roku do Francji, lecz wstąpienie tam do polskiego wojska uniemożliwiła mu długotrwała, poważna choroba. Ukończył studia politechniczne i później założył w Paryżu własne biuro inżynierskie. Jego brat Janusz podobno zaginął, lecz co do tego nie ma pewności. Słazek Frenkiel – lekarz już przedwojenny. Nie miałem o nim żadnych wiadomości. Dopiero w latach gdzieś chyba siedemdziesiątych spotkałem go w Zakopanem. Był wówczas dyrektorem tamtejszego szpitala. Tomasz i Zdziszek Dobrzańscy – mieszkali we Lwowie, w czasie okupacji niemieckiej byli przejściowo aresztowani. Chodziło tu o absurdalną, ukraińską prowokację. Szczegóły jej były znane zamieszkałemu w domu Dobrzańskich oficerowi niemieckiemu i ten uratował ich z więzienia. We Lwowie studiowali medycynę w konspiracyjnych warunkach. Przenieśli się do Krakowa przed ponownym nadejściem armii sowieckiej i tu kontynuowali studia. Po wojnie zamieszkali w Warszawie. Tam, po latach, Tomasz został profesorem i pracował naukowo w Polskiej Akademii Nauk, Zdziszek zaś, doktor medycyny, podjął pracę w Wojskowej Akademii Medycznej. Tadzik Szumski – podczas wojny przebywał przeważnie we Lwowie. W ramach tzw. repatriacji osiadł w Bytomiu. Pracował w różnych miejscach, aż w końcu założył własne, duże przedsiębiorstwo. Był

znany i szanowany. Do maszewiczowie – rodzice i dwie córki – Ewa i Wanda. Za czasów sowieckich i mniej więcej do połowy okresu okupacji niemieckiej, mieszkali we Lwowie. Następnie przenieśli się do Warszawy. Wiadomo było, że wtedy Ukraińcy „polowali” na Polaków z wyższymi stopniami naukowymi (dłatego m.in. prof. Gruca zdecydował się opuścić Lwów). Po przeprowadzce pp. Domaszewiczów rodziny nasze utrzymywały kontakt. Nieraz ktoś z nich do nas przyjeżdżał. Po wybuchu Powstania profesor Domaszewicz przejął jakiś prowizoryczny szpital AK, zaś obie dziewczyny brały udział w Powstaniu, częściowo jako sanitariuszki. Szczęśliwie wszyscy przeżyli. Ewa jednak dostała się do niewoli i znalazła się w kobiecym obozie AK w Niemczech. Niebawem rodzice z córką Wandą zamieszkali w Krakowie, gdzie wkrótce przyjechał Roman z żoną. Zamieszkali tu także teściowie Romana – pp. Zielscy, bardzo zaprzyjaźnieni z Domaszewiczami. Wanda kontynuowała po wojnie studia medyczne z zakresu okulistyki, a po uzyskaniu dyplomu krótko przebywała w Krakowie, po czym przeniósła się w północne rejony kraju. Tam pracowała i wyszła za mąż. Ewa Domaszewicz i Janek Steusing – ich historia nadawałaby się do jakiegoś scenariusza.

Osobiście mi o tym opowiedzieli podczas pierwszego pobytu w Krakowie, wiosną chyba 1960 roku. Od dnia wybuchu wojny niczego o sobie nie wiedzieli. Pod koniec wojny I pancerna dywizja gen. Maczka znalazła się na terenie Niemiec. Dotarła tu elektryzująca wiadomość o niedaleko zlokalizowanym obozie dziewcząt polskich z Powstania Warszawskiego. Pancerniaków ogarnęła wręcz gorączka, bowiem byli świadomi ówczesnych zagrożeń w obozach, zwłaszcza polskich. Zapadła błyskawiczna decyzja uwolnienia dziewcząt. Najbliżej znajdujący się pułk, w którym przypadkowo służył Janek, ruszył „co koń wyskoczy” w kierunku wskazanego czy prawdopodobnego miejsca obozu. Szybko został on odnaleziony. Z pełnym impetem zaatakowali kompletnie zaskoczonych Niemców i po chwili żołnierze wbiegli do środka. Nie do opisanego była obustronna radość. W tym szale, krzykach i tumulcie, zupełnie przypadkowo, spotkali się Ewa z Jaśkiem. A przecież nikt z nich tego się nie spodziewał. Bez żadnego już „przypadku” zostali razem na zawsze. O tym „zawsze” zapewne nie myśleli jeszcze w Jaremczu. Ewę, jako sanitariuszkę, przyjęto do dywizji. ►

Pobrali się po wojnie, zamieszkując najpierw w Anglii. Następnie przenieśli się do Kanady (na obrzeża Vancouver) i tam mieszkali do końca życia. Kilkakrotnie odwiedzali Polskę, zwłaszcza Kraków, gdzie byli ich Najbliżsi. I to jest *happy end* historii potwierdzającej, że w życiu nieprawdopodobne wydarzenia mają często znaczenie decydujące o czymś – to są po prostu cuda!

Wspominani przeze mnie wszyscy ci ludzie,

bez wyjątku, odeszli z tego świata. Rodzi się z tego powodu podwójny żal, bowiem po pierwsze nie ma już między nami tych szczególnie wartościowych jednostek, a po drugie – żal, że tak wyróżniające się cechy charakteru tych osób (wiarygodność, mądrość, życzliwość, serdeczność, gorący patriotyzm, rozumienie miłości, etc.) nie znajdują dzisiaj powszechnego naśladownictwa. Będąc osobiście jakby epigonem tych najdawniejszych lat, łatwo mi porównywać owe fakty. Na szczęście żyją nadal ludzie, wcześniej czy później *ulepieni z gliny* minionej epoki, którzy mają względnie odziedziczyli wymienione powyżej cechy charakteru. Wśród nich znajdują się tzw. *Wschodniacy*, z natury życzliwi i z reguły pozbawieni jakiegokolwiek egoizmu, a przeżywający wciąż gorącą miłość do utraconych Polskich Ziemi. Niech to im się chwali!

Tekst przygotowały do druku
Anna Madej i Anna Stengl

ERRATA

W CL 3/10 na III str. okładki znalazł się błąd w nazwisku Pana Janusza **Wasylikowskiego**, za co przepraszamy, ale okazało się, że to wina komputera. Nawet przy pisaniu niniejszej erraty komputer dwa razy „poprawił” na *Wasilkowski*. Podobne „poprawki” zdarzają się nam niezrędko, więc częściej ich poszukujemy niż błędów zawinionych przez ludzi.

Ktoś zapyta – dlaczego, przecież dotąd tego nie było. No właśnie – teraz, odkąd zepsuł się dotychczasowy program, mamy nowy, „ulepszony”. Ale go pokonamy!

Mieczysław Limanowski

TEŚKNIĘ DO LWOWA

Przebywającemu w Wilnie przed wojną lwowiakowi, znakomitemu uczonemu prof. M. Limanowskiemu – tęsknota podyktowała fantastyczny opis przechadzki po Ryнку lwowskim. Ilustrujemy go fotografiami czterech studni, zdobiących naroża rynku; resztę dopowie każdemu Czytelnikowi własna fantazja rodem ze wspomnień i... kolorowych snów!

W Wilnie na Ryнку rośnie trawa. Są ławeczki do siedzenia. Od 150 lat przestał Rynek wileński być targiem. Zbudzi się na pewno – tymczasem jest letarg. W Wilnie *mol*, we Lwowie za to mocne *dur*, bo plac targowy żyje, a z nim ratusz, który jest na środku.

Fala wspomnień mnie ogarnia i uśmiecham się, przypominając sobie dzień w dzień wiosną, zimą, jesienią i latem – hałas, rwetes – po prostu targi. Chodzisz po rynku i z dumą twierdzisz, że tak samo jest we Włoszech. Że w Weronie plac targowy, który nazywa się Piazza del'Erbe, jest tak samo ujęty w proste linie. Jak w Weronie masz takie same czerwone wielkie parasole na słońcu i wszędzie w rzeźbie zwierzę królewskie, lwa.

Po co nam jechać nad morze Śródziemne, skoro wycieczka do Lwowa otwiera przed nami cuda!

Rynek jest kwadratowy. Na każdym rogu hałasuje studnia. Na każdej studni sterczy figura i za darmo uczysz się mitologii. Przyszleń na Rynek, aby kupić masło, powidło lub szcztokę i o wszystkim zapominasz widząc boginię Wenus rozebraną, schodzącą



Posąg Adonisa na studni na Ryнку lwowskim



do zimnej, perlącej się wody. Wenus na górze, na dole zaś niezmordowane lewki. Jakżeż ślicznie otwierają pyszczki i leją wodę, aby basen był pełny. Delektujesz się boskim ciałem, nieznaną skazy i nie irytujesz się na babę, która w tym basenie pietruszkę moczy. Jesteś wesół, jesteś niefrasobliwy i jeśli na co spojłdasz, to na muszlę, na której sunie ciało, ręką wstydlawie zasłaniając piersi.

Kilka kroków i masz drugą studnię, idąc do Dominikanów. Kosze z jarzyną i stopy pomidorów zastępują ci drogę. Musisz uważać, bo jest ślisko, lupin na ziemi co niemiara. Tam miałeś Wenus, tu masz Apolla, o którym Słowacki powiedział, że stracił w morzu koszulkę.

Powiedzcie Lwowianie, powiedzcie serdecznie, czy się mylę i czy może to nie jest bóg śpiewu, tańca, słońca i radości?... Wróble tu robią sejmik. Może to jest Orfeusz, który zaklina ptaki?... Oczywiście osłepione przez blask słońca. Do światła słońca dodane są połyski czarno lakierowanych tłustych bakłażanów na straganach, które się uginają od tego specjału. Rozsypały się melony soczyste, a w Twojej głowie jest kasa, bo nie rozumiesz, co robi pies u nóg Apollona ...

Jest godzina trzecia i rynek zamiatają. Z okropnym łoskotem wał się deski i podpórki. Wszyscy nerwowo pakują owoce do skrzyń, a magistrackie miotły, sunąc zamasyście, spychają przechodniów. Cofasz się na chodnik pod Kamienicę Królewską. Burkniesz, że jest takie czyszczenie siarczyste. Mówisz: – *Cóż to, oni nie chcą, aby na tym placu nawet przez mikroskop widać było pyłek?* – Jesteś jednak wdzięczny za to szorowanie i mycie, bo znowu rozmyślasz nad Apollonem, któremu jakieś dziecko lwowskie zdmuchnęło harfę, jakby to była bańka mydlana. Ze zdumieniem widzisz, że dziecko wzięło za psa i że figura to może nie Apollo, nie Orfeusz, a Meleager...

Podróż po lwowskim rynku to jest odkrycie pałaców renesansowych, w których się kiedyś ugiwały stoły. Jadło masz na placu, w głębi domu zastał serwety i śliczną służbę... niestety jeszcze tylko w obrazach. Jest jedna kamieniczka, na którą się zezem patrzysz, bo w niej król pofolgował sobie dobrze, skoro już na trzeci dzień był pogrzeb.

Nie znaczy to, aby serce ci nie rosło, widząc monumentalną fasadę. Lwów się cudownie zawsze bronił i na znak radości, że się przegnało Tatarów, widzisz z kamienia rzeźbione girlandy. Kiedyś był złoty wiek we Lwowie. To znaczy, że do słodyczy miodu dodawano szczyptę niepokojąco małą pieprzu, bez której jednak piernik nic nie jest warty. Pyszne są artystyczne domy. Było dzielne mieszczaństwo, dostrzegasz armaty. Tam, gdzie jest ulica Krakowska i gdzie się przyjeżdża z Warszawy, jest Wenus, a tu gdzie jest kąpiel wojenny – na pewno śpiewa Apollo.

Marszruta nie jest skończona, skoro przychodzi trzecia studnia – znak na rynku, że trzeba skupić się i milczeć. Bogini Diana, do której idziemy, ma psy. Cynika który by ją zaczepił, rozedrą te psy. Zasłania się swoim płaszczem. Każda zawoalowana dama – powiedz najmiłszy – czy nie intryguje? Chcesz widzieć twarz. Bogini Diana, księżycowa Pani, musi mieć chyba twarzyczkę, którą ma najpiękniejsza lwowianka. Niebezpiecznie jest nawet z boku zerknąć, bo psy podniosły głowę i wężą natręta. Pod tym welonem jest cała młodość miasta, ukryte oblicze, które



widząc nieprzyjaciela zdolne jest oczami nawet sypać zatrute strzały. Od strony ulicy Ruskiej, od furty, nad którą siadła twierdza klasztoru Karmelitów, było zawsze we Lwowie gorąco. Teraz już się nie dziwisz, że musisz być donżuanem i że wracając w stronę katedry, musisz pokłonić się nisko obu wielkim lwom, które dobrodusznie się do ciebie łaszą.

Ostatnia studnia. Ostatnia strofa z bożkiem Neptuna... Delfin i trójząb, długa broda, drżenie ziemi. Lewki, które tu wyrzucają wodę, mają obtłuczone pyszczki. Z czym wyjdiesz z tego rynku? – Powiew wiatru od strony bramy Halickiej rozbija wodę na mgiełkę. Patrz, krople lecą niby kwiaty. W cieniu tych kropel aż do pięknej Wenus jest wymarzona galeria pączków, kielichów i płatków. Na rynku we Lwowie z wody, która leje się pod nogami Neptuna, zrywa się tęcza i możesz kwiaty kupić, jakich nigdzie nie znajdziesz na świecie. W tych lwowskich kwiatkach są cztery świata strony. Południe skwarne jest jeszcze nieśmiałe. Północ przestaje już warzyć mrozem kwiaty. Wschód ma pędzelek, jakim malowała się Szeherazada z tysiąca i jednej nocy. Wreszcie zachód – to on dostarcza te wilgocie, które odbijają się od Bernardynów, zbijając się w pachnącą rosę...

Na czterech rogach rynku są studnie we Lwowie. Osiem lwich paszcz wyrzuca wodę. Jeśli wrócisz po tej całej podróży jeszcze raz do Wenus, to zdumiesz się, jaką wodą kryształową napelnia się basen. Masz w rękę kwiaty. Jesteś mądrzejszy o jedną uncję soli, niż kiedyś zaczął godzinę temu całą podróż.

Trójzębem huknął na mnie Neptun, abym się skupił. Apollo zaczął śpiewać. Diana zasłoniła się głęboko szalem, bo jak kiedyś we Florencji zefir z zapachem kwiatów zaczął wiać w stronę tej konchy, na której na wodzie ze słońcowych iskier zaczęła jak zjawisko płynąć niepokalanie biała Wenus... Pracujcie lwy, bo niebo jest w tej chwili bez chmurki. Na znak słońca podnoszę kwiaty.

W Wilnie jestem, okropnie tęsknię za Lwowem...

Wizerunki posągów na studniach na Rynku lwowskim sfotografował M. Bil-Bilażewski

Adam Trojanowski

OSTATNIE DNI W POLSKIM LWOWIE

Trwał pogodny, suchy i ciepły wrzesień. Pułkownik Umiastowski oświadczał przez radio w imieniu naczelnego dowództwa, że oczekiwane ciągle deszcze spowodują paraliż niemieckich zagonów pancernych. A tu ani deszczu, ani innych śladów szansy powstrzymania hitlerowskiej nawały. Już po tygodniu wojny Niemcy zajęli znaczną część kraju. 3 września byli już w Krakowie, a 10 września na obrzeżach Warszawy. Przemieszczali się systematycznie na wschód, pędząc przed sobą setki tysięcy uciekinierów z terenów zagrożonych ich opacowaniem. Niewiarygodnie olbrzymie tłumy ludzi, z dziećmi oraz starcami, a szczególnie mężczyzn w wieku poborowym, przemieszczało się z symbolicznym wręcz dobytkiem, blokując wszelkie drogi, tory, mosty i przejścia. Ginęli masowo od świadomych ataków lotnictwa niemieckiego w otwartym terenie. Tłumy te paraliżowały konieczne ze względów wojskowych przemieszczanie naszych oddziałów wojskowych, ku satysfakcji wroga.

Lwów odczuwał działania wojenne zasadniczo przez dwa tygodnie tylko poprzez codzienne kilkakrotne naloty samolotów bombowych. Były to w pierwszym dniu samoloty Ju-86, które zastąpiły wkrótce Do-17, zwane latającymi ołówkami, ze względu na cienki, długi kadłub. Naloty te niosły zniszczenie obiektów wojskowych, lecz ofiarą ich padały także poszczególne domy mieszkalne w różnych dzielnicach miasta. Pierwsze śmiertelne ofiary cywilne padły już pierwszego dnia wojny na zniszczonej bombami ul. Krótkiej w okolicy kościoła św. Elżbiety. Osobiście obserwowałem zbombardowany blok mieszkalny pracowników PKO przy ul. J. Piłsudskiego. Rozpruty front tego dużego, nowoczesnego domu ukazywał wnętrza po-

Wspomnienie września

koi mieszkalnych, z charakterystycznym zwi-
saniem naderwanych podłóg. Na odkrytych
wskutek zniszczenia ścianach wisiały obra-
zy, dywany oraz naczynia kuchenne, a w ru-
inie spoczywały zwłoki zabitych i ranni. Był
to dla mnie obraz wstrząsający, ujawniający
grozę wojny. Takich obiektów przybywało na
terenie miasta coraz więcej.

Sytuacja w mieście zmieniła się radykal-
nie 12 września, kiedy to w godzinach po-
łudniowych wróg wdarł się ul. Gródecką
w okolice Dworca Głównego. Tam napotkał
jednak na silny odzew polskich oddziałów,
cofnął się nieco, ale np. Kortumową Górę
zajmował do końca oblężenia. W tej sytuacji
pojawiało się na terenie miasta dużo nasze-
go wojska, wycofanego na korzystniejsze
pozycje obronne. Do nas, na Kwiatkówkę,
nie docierały aktualne wiadomości, a czę-
sto były to domysły, plotki, czasem tylko
niesprawdzona notabene prawda. W nowej
sytuacji, oprócz codziennych systematycz-
nych nalotów bombowców, wśród których
pojawiały się groźne szczególnie bombowce
nurkujące JU-87, nastąpił trwały pojedynek
artyleryjskich polskich dział w okolicy Lasku
Węglińskiego. Pociski przelatywały ze świs-
tłem i szumem tuż przed naszym domem
w kierunku Kortumowej Góry. Niemcy odpo-
wiadali swym ostrzałem raczej w kierunku
Górnego Łyczakowa. Tak przynajmniej nam
się wtedy wydawało.

W tym okresie ludność miasta wzrosła
bardzo znacznie na skutek napływu ucieki-
nierów, znajdujących gościnę wśród lwow-
skich rodzin oraz przygodnych obywateli.
Wkrótce zaczęło wyraźnie brakować żywno-
ści, szczególnie w postaci tak podstawowej
jak pieczywo. Godzinami, często w zagro-
żeniu trwającymi nalotami na miasto, stano
w ogonkach przed piekarniami oraz skle-
pami, by zdobyć bochen chleba, ciemnego
jak Matka Ziemia. O wyroby mięsne oraz
mleczne było jeszcze trudniej. Pozostawa-
ły ziemniaki i kapusta, które tzw. Bułgarzy
sadzili na terenie miasta w bród.

Późnym wieczorem 12 września posze-
dłem z ojcem na ul. Kazimierzowską, gdzie
miał podjąć trzymiesięczne wynagrodzenie
u swojego pracodawcy. Czemu działo się to
o takiej porze, nie jestem w stanie powie-
dzieć. Przyпускаjam, że miało to miejsce ze
względu na bezpieczeństwo. Podczas dnia
nawet tereny Śródmieścia były zagrożone

bombardowaniem lub ostrzałem. W mie-
ście obowiązywało ogólne zaciemnienie.
Tym groźniej oddziaływał na mnie pożar
zbombardowanego kościoła oo. Jezuitów
przy ul. Hetmańskiej. Centrum miasta było
od strony Gródeckiej oraz Kazimierzowskiej
zapełnione oddziałami wojskowymi, biwaku-
jącymi szczególnie na miejskich terenach
zielonych. Ulice były zapchane szczelnie
wozami oraz końmi, a wszystko to działo
się w dramatycznym nastroju, potęgowanym
wspomnianym pożarem.

Sztab obrony miasta, dbając o bezpie- czeństwo publiczne,

zorganizował Straż Obywatelską, która za-
stąpiła zmilitaryzowane w międzyczasie od-
działy Policji Państwowej, włączone do obro-
ny miasta na równi z wojskiem. Komenda
dzielnicowa straży znajdowała się w mojej
dzielnicy, przy ul. Zielonej (czyli gen. Roz-
wadowskiego), w byłym komisariacie Policji.
Przychodziłem tam razem z ojcem w cią-
gu dnia i pomagałem w magazynie broni,
a nawet chodziłem z osobami starszymi,
wyposażonymi w broń długą, na obchód ulic.
Na lewym ramieniu nosiliśmy opaski, posia-
dające na obrzeżach kolory Krzyża Virtuti
Militari, czyli czarny i niebieski, oraz Krzyża
Walecznych z kolorem czerwonym i białym.
Do służby tej wciągnął mnie ojciec, który
ze względu na swoją dawną służbę pań-
stwową mógł w Straży działać pożytecznie.
Później zostałem zaangażowany do budowy
barykady ulicznej na ul. Zielonej, u ujścia
ul. Stelmacha. Wraz z innymi kopałem tam
odpowiedni rów i wznosiłem umocnienia,
wyrываяc w tym celu płyty chodnikowe oraz
kostkę brukową. Widać było, że kierownic-
two obrony miasta liczy się z wtargnięciem
wroga nawet na obrzeżne ulice.

W wolnych chwilach przesiadywałem
na ganku naszego domu, będąc chroniony
od góry balkonem pierwszego piętra. Przed
sobą miałem niezaburzony widok całego
Śródmieścia, na prawo zaś na Łyczaków,
Kajzerwald oraz Pohulankę. Z tyłu był Lasek
Węgliński, gdzie znajdowały się wspomnia-
ne stanowiska naszych dział, ostrzeliwujące
Górę Kortumową. Gdzieś tam w głębi znaj-
dowały się m.in. pozycje naszej piechoty
z gniazdem karabinu maszynowego, którym
dowodził oficer rezerwy dr A. Koczerski, wła-
ściciel domu przez nas zamieszkiwanego. ►

W wolnych momentach przychodził do swojego domu umyć się i pożywić, po czym wracał na pozycję bojową. Z dala obserwowałem potężne dymy unoszące się nad Dworcem Podzamcze, a pochodzące ze zbombardowanych obiektów miejskich oraz pociągów. Co jakiś czas pojawiały się na horyzoncie unoszące się w górę „bąble” dymu oraz płomienie, pochodzące od eksplozji tamtejszych wagonów kolejowych.

Nasza artyleria przeciwlotnicza była dosyć liczna, jednak jej ogień był mało skuteczny, niecelny. Podczas nalotów pojawiały się na niebie obłoczki, pochodzące od granatów eksplodujących na odnośnych pułapach. Czarne pochodziły od dział połowych 75 mm, przystosowanych do ostrzału samolotów, czerwone zaś pochodziły z dział licencyjnych typu „Bofors”. Ogień był chaotyczny, zdarzyło się jednak, że na moich oczach opadał „łotem liścia” duży arkusz papieru, który osiadł wreszcie przed naszym domem. Okazało się, że była to niemiecka mapa, która prawdopodobnie wypadła z postrzelonego przez naszą artylerię samolotu. Mapę zaniósłem zaraz na sąsiednie wzgórze, na którym znajdowało się stanowisko przeciwlotniczego karabinu maszynowego. Zachodziłem tam częściej, nosząc ciepłą strawę, sporządzaną przez moją matkę.

Pewnego dnia, koło 20 września, nadleciał od strony Pohulanki nowoczesny, srebrzysty

dwusilnikowy samolot pasażerski, oznaczony czerwoną gwiazdą.

Odleciał w stronę Skniłowa i tam pewnie wylądował, nie będąc ostrzeliwanym przez żadną ze stron walczących. W codziennych plotkach pojawiały się wiadomości, iż w naszą sytuację wojenną wplątany jest Związek Sowiecki. Mówiono nawet, że będąc po naszej stronie bolszewicy idą walczyć

z „giermancem”, jak to sami wobec naszej ludności głosili. Załoga wspomnianego samolotu stanowiła być może jakąś komisję, pertraktującą z Niemcami w sprawie losów naszego miasta.

Od połowy września miasto nasze było praktycznie otoczone wojskiem niemieckim, jednak na Kwiatkówce nie wiedzieliśmy, jak wygląda faktycznie ogólna sytuacja. Dochodziły wieści, że na Persenkówce trwają lokalne walki, a z jeszcze dalszej Sygniówki dochodziły zupełnie niepewne wiadomości.

Nasze życie domowe przebiegało zasadniczo w dosyć normalnym trybie, nawet wtedy gdy bombardowanie obejmowało odległe dzielnice miasta. Kiedy bombowce zbliżyły się w naszym kierunku, schodziliśmy szybko do piwnicy i tam, nie bez strachu, odczekiwaliśmy groźną sytuację. Szkoły oczywiście nie działały od samego początku wojny. Już w kilka dni zaczęło brakować prądu oraz wody z Dobrostan. Dzień 22 września był na Kwiatkówce zupełnie cichym wyczekiwaniem na dalszy rozwój sytuacji. Możliwe, że na rubieżach miasta trwały jeszcze jakieś walki, ale wokół nas trwała dziwna, niepokojąca cisza, wobec nieświadomości naszych dalszych losów. Korzystając z takiej sytuacji zszedłem nieco w dół ul. Pawlikowskiego i tam zobaczyłem szwadron zmilitaryzowanej Policji Konnej, który zmierzał stępą w górę ul. Zielonej. Jak się później okazało, był to ostatni oddział polskiej siły zbrojnej, jeszcze wolnej, jaką pamiętnego wrześniowego dnia zobaczyłem.

Wkrótce po powrocie do domu zobaczyłem w perspektywie ul. Pawlikowskiego duży czołg, który przemieszczał się powoli w naszą stronę i zanim schowałem się na wszelki wypadek do piwnicy, rozpoznałem, iż jest on sowiecki. Powoli minął nasz dom i zatrzymawszy się na jego zapleczu oddał bez powodu strzał artyleryjski, godząc

dokończenie na s. 21



17 września 1939. Oddziały Armii Czerwonej wkraczają do Polski. Zdjęcie zapożyczono z S. Czuruk: „Lwów w cieniu Kołomyj”

Bogusław Rogowski

WARTO UTRWAŁAĆ NARODOWĄ TOŻSAMOŚĆ

Od kilku już lat w Kędzierzynie-Koźlu uroczyste obchodzone są „Dni Kultury Kresowej”. Połączone są one zwykle z obchodami kolejnych rocznic działalności w tym mieście Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W ramach „Dni” odbywają się różnego rodzaju spotkania, konferencje, wystawy i koncerty. Jest to święto dużej grupy mieszkańców miasta, wywodzących się z południowo-wschodnich ziem Rzeczypospolitej, którzy w wyniku zmowy przywódców tzw. Wielkiej Trójki – Stalina, Roosevelta i Churchilla, zawartej na konferencji jałtańskiej – zmuszeni zostali do opuszczenia swej ojcowizny i przesiedlenia się na Ziemię Zachodnie i Północne nowej Polski, po tym jak wschodnie tereny II Rzeczypospolitej zaanektowała Rosja Sowiecka. Wielu mieszkańców tamtych terenów zamieszkało przed laty w naszym powiecie.

Tak zwana „repatriacja” prowadzona była chaotycznie i bez właściwego przygotowania. Nierzadko przesiedleńcy po opuszczeniu swoich domostw przez kilka tygodni koczowali wraz ze skromnym dobytkiem w pobliżu stacji kolejowych w oczekiwaniu na miejsce w transporcie, gdyż kolej radziecka była w tym czasie zajęta przewozem „trofeijnych” łupów z Zachodu. Gdy już komuś udało się dostać miejsce w towarowym wagonie, podróżował w ciemno. Wiedział jedynie, że jedzie na Zachód, do Polski. Ówczesna władza i radzieccy propagandziści obiecywali wysiedleńcom przysłowiowe „złote góry” na ziemiach polskich.

Od wiosny 1945 roku liczna rzesza Polaków, głównie z województw: lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego, zaczęła opuszczać rodzinne strony. Kierowani byli, głównie koleją, na Dolny Śląsk, Ziemię Lubuską oraz Pomorze. Na Śląsk Opolski trafiło w tym czasie blisko 200 tys. przesiedleńców zza Bugu. Państwowy Urząd

Repatriacyjny (PUR) w Katowicach zakładał, że w powiecie kozielskim osiedli się 5 do 6 tys. repatriantów. Rzeczywistość okazała się inna. Ponieważ linia kolejowa Kędzierzyn–Nysa tuż za Koźlem była zniszczona, większość transportów rozładowywano w Koźlu lub w Kędzierzynie. Pierwsza, 25-osobowa grupa repatriantów z Kamionki Strumiłowej przyjechała do Koźla już 9 maja 1945 r. PUR, znajdujący się obok stacji kolejowej (przy ul. Piastowskiej) w Koźlu, rozlokował ich w mieszkaniach i poniemieckich gospodarstwach na terenie powiatu kozielskiego. W sprawozdaniu do władz województwa śląsko-dąbrowskiego w Katowicach z 30 V 1945 roku starosta kozielski Franciszek Cupka pisał: *Wydatnie zwiększa się liczba ludności przez napływ transportów z repatriantami ze wschodu. Przybyło w 8 transportach 1198 rodzin, tj. 4539 osób. Sprawa osadzenia ich w terenie napotyka duże trudności.*

Do połowy czerwca 1945 r. do Koźla trafiło kolejnych 13 transportów z przesiedleńcami. Przyjechało nimi 1596 rodzin, czyli 5840 osób. Kresowiaci, wraz ze sprzętami domowymi, przywieźli ze sobą 1243 krowy, 471 koni, 48 świń, 114 owiec i 131 kóz. Z powiatu trembowelskiego (w województwie tarnopolskim) dotarło do Koźla kilkadziesiąt rodzin pochodzących z 6-tysięcznego Budzanowa. W miasteczku tym tylko jednej nocy – z 21 na 22 marca 1944 r. – banderowcy spod znaku UPA spalili blisko 130 zagród i wymordowali w okrutny sposób kilkudziesięciu mieszkańców.

Do 13 listopada 1945 r. na Ziemi Kozielskiej mieszkało już 2813 rodzin, czyli 10 176 osób ekspatriowanych ze Wschodu. Zakwaterowano je głównie w miejscowościach położonych wokół Koźla, gdyż obowiązywała zasada, że w miastach wolno było przyjmować wyłącznie fachowców z różnych branż. Najwięcej przesiedleńców ze Wschodu osiedliło się w gminach: Większyce (2730 osób), Reńska Wieś (1720), Polska Cerekiew (1612), Pawłowiczki (1506), Gościęciny (1347). Najmniej zamieszkało w gminie Bierawa (tylko 82 osoby). Pod koniec roku 1945 akcja *repatriacyjna* i przesiedleńcza w powiecie została zamknięta.

Ekspatrianci szybko i aktywnie włączyli się do odbudowy państwowości polskiej i odegrali znaczącą rolę w zagospodarowaniu Ziemi Kozielskiej. ►

Warto przypomnieć, że już 15 maja 1945 roku przybyli do Koźła pierwsi polscy lekarze – Janina i Tadeusz Zabiegowie. Doktor Zabiega – absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, został przez Wojewódzki Wydział Zdrowia w Katowicach mianowany lekarzem powiatowym. Jego żona objęła opieką kozielskie dzieci. Lekarze ci w prowizorycznych warunkach zorganizowali leczenie setek chorych na tyfus i czerwonkę. Dr Zabiega, mając do dyspozycji tylko jedną polską pielęgniarkę, wilniankę – Stanisławę Paderewską, podjął także działania profilaktyczne wśród licznej rzeszy *repatriantów*, znajdujących się na kwarantannie w punkcie repatriacyjnym. Przystąpiono jednocześnie do zabezpieczenia sprzętu medycznego, bazy leczniczej oraz mieszkań dla następnych lekarzy przybywających do miasta. A byli nimi również Kresowiaczy – doktorzy medycyny: Józef Gawliński, Klemens Kiryłowicz oraz Aleksander Radecki, którzy przez wiele lat stanowili trzon kozielskiej, a następnie opolskiej służby zdrowia. Nie sposób pominąć tutaj także jednego z pionierów kędzierzyńskiej służby zdrowia – dra Władysława Opolskiego, który mając pięć lat, wraz z rodzicami, zamieszkał we Lwowie. Tam w latach 1932–1938 studiował na Wydziale Lekarskim UJK. W 1936 roku, jeszcze jako student, został koasystentem w uniwersyteckiej Klinice Chirurgicznej. Po przesiedleniu do Polski 18 sierpnia 1945 roku przybył do Koźła i został zatrudniony w kędzierzyńskim szpitalu św. Antoniego jako dyrektor szpitala i jedyny lekarz w tej placówce, będąc drugim chirurgiem w powiecie kozielskim. Był równocześnie lekarzem Ubezpieczalni Społecznej, lekarzem rejonowym PKP, a niezależnie od tego przez 24 godziny na dobę pełnił pogotowie chirurgiczno-polożnicze. Wielu kędzierzynian jest mu wdzięcznych za uratowanie życia dzięki przeprowadzeniu skomplikowanych operacji u mieszkańców miasta.

Przez przeszło rok parafią rzymskokatolicką w Koźlu administrował ks. Piotr Lewandowski, pochodzący z Budzanowa w pow. trembowelskim.

Do aktywnej pracy przystąpili także przesiedleni nauczyciele. Po przejęciu przez dra Czerwińskiego gimnazjum koedukacyjnego i liceum w Koźlu do kadry nauczycielskiej

zostali przyjęci m.in.: ks. katecheta ze Lwowa – Kazimierz Orkusz, który następnie został wicedyrektorem szkoły. Zatrudniona została w szkole przybyła z Trembowli nauczycielka fizyki i chemii – Stanisława Aftarczuk. Do kadry pedagogicznej dołączył jej krajan, polonista – Józef Balwirczak. O majątek szkoły dbał tercjan, były lwowianin – Michał Hajdun. Przed rozpoczęciem roku szkolnego 1945/46 do pracy przyjęte zostało nauczycielskie małżeństwo z Czortkowa – Genowefa i Stanisław Kotowiczowie. Kierownikiem szkoły w Kormornie został lwowiak – Władysław Hajdun, awansowany następnie na inspektora szkolnego i prezesa ZNP.

Także w innych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego repatrianci z Kresów zajmowali wiele ważnych i odpowiedzialnych stanowisk.

Przedwojenny inspektor Policji Państwowej ze Lwowa, a także były komendant wojewódzki PP w Poznaniu, Wilnie i Warszawie – Wiktor Ludwikowski, został naczelnikiem kozielskiego oddziału powiatowego Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, a po jego likwidacji kierował Bankiem Ludowym w Koźlu. Jako członek Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Koźlu, od czerwca 1946 roku, włączył się także w organizację rad narodowych w naszym powiecie. Od samego początku na odpowiedzialnych stanowiskach w PUR pracował budzanowski notariusz Gabriel Wilowski. W połowie 1945 roku, po demobilizacji z wojska, zastępcą wójta w Blachowni Śl. został Mieczysław Żurek, pochodzący ze Świętego Józefa koło Kołomyi, który w następnych latach przesował Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Sławięciach, a później przez wiele lat Powiatowemu Związkowi Gminnych Spółdzielni w Koźlu. Na początku lat osiemdziesiątych wybrano go przewodniczącym kędzierzyńsko-kozielskiej Miejskiej Rady Narodowej.

Tuż po przybyciu do Koźła budzanowscy młynarze: Emil Szozda (ojciec słynnego kolarza) oraz Wojciech Michlak odbudowywali po amerykańskich nalotach kozielski młyn Winklera przy ul. Grunwaldzkiej (obecnie Łukasiewicza) i następnie przez wiele lat nadzorowali jego pracę. Bronisław Moroz, były mieszkaniec Budzanowa (późniejszy główny mechanik zakładów chemicznych

„Rokita” w Brzegu Dolnym), przejął w 1945 roku od radzieckich władz wojskowych gazownię miejską w Koźlu przy ul. Piastowskiej i kierował nią przez kilka lat. Od 1948 roku burmistrzem Koźla był repatriant z Budzanowa – Mikołaj Martiuk, który na początku lat pięćdziesiątych założył orkiestrę miejską oraz był jej dyrygentem.

Zaraz po zakończeniu działań wojennych przyjechał do Koźla z Kołomyi Józef Oryszczuk i wraz z małżonką Heleną uruchomił w mieście kino „Hel”. Przez wiele lat pan Józef był głównym kinooperatorem tej placówki, która w tamtych czasach pełniła ważną rolę kulturotwórczą.

Przybyły w połowie 1945 roku ze Zborowa k. Trembowli Józef Długosz został organizatorem i pierwszym kierownikiem Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego w Kędzierzynie. Zajmowało się ono remontami i odbudową domów w Koźlu i w Kędzierzynie, a także odbudową kozielskich mostów na Odrze, wysadzonych w marcu 1945 r. przez wycofujących się Niemców. Przez wiele lat inny przedwojenny urzędnik z Budzanowa – Michał Ziemiński był kierownikiem Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Koźlu. Stanisław Baławajder z Trembowli zajmował się w kozielskim starostwie weryfikacją autochtonów, a następnie kierował Powiatowym Urzędem Likwidacyjnym. Jedną z animatorek powojennego życia kulturalnego w Kędzierzynie była lwowianka – Irena Szczygieł, która już w roku 1945 tworzyła w mieście teatryki dziecięce. Najcieplej wspominanym przez mieszkańców Koźla ojcem miasta był Bolesław Chodyniecki, pochodzący z miejscowości Panowice koło Podhajec w województwie tarnopolskim.

Nie sposób w tej „wyliczance” pominąć kresowiaka – Honorowego Obywatela Miasta Kędzierzyna-Koźla – ks. infułata Ludwika Rutynę, pochodzącego z miejscowości Podzameczek w powiecie Buczac (województwo tarnopolskie). Przez 32 lata sprawował on w Koźlu posługę kapłańską i był proboszczem parafii pod wezwaniem św. Zygmunta i św. Jadwigi Śl. Ceniony jest głównie za to, że osobiście brał udział w remontach i budowie kościołów filialnych, porządkowaniu cmentarzy, a także budowie Domu Katechetycznego. Po przejściu na emeryturę w 1991 roku wyjechał na Kresy

do Buczacza. Tam przez 10 lat odbudował w powiecie trembowelskim 11 kościołów katolickich, odzyskanych od władz ukraińskich oraz jest dziekanem parafii budzanowskiej.

To tylko kilka znanych przykładów udziału repatriantów ze Wschodu w życiu gospodarczym i społecznym Ziemi Kozielskiej. Zapewne było ich znacznie więcej, gdyż jak wykazał *Spis Powszechny* z 1950 r., w powiecie kozielskim mieszkało przeszło 12 tysięcy osób przybyłych ze Wschodu. Stanowili oni ponad 10 procent mieszkańców tej ziemi. Z upływem lat kresowiaci mocno zasymilowali się z pozostałą ludnością. Ich potomkowie nierzadko są nieświadomi dorobku i zasług, jakie wnieśli ich protoplaści w rozwój Ziemi Kozielskiej. Warto więc, by zamiast od kilkudziesięciu już lat kontestować zbrodnie i krzywdy doznane ze strony ukraińskich nacjonalistów oraz ówczesnych władz sowieckich, a także władz komunistycznej Polski, starać się przywracać świadomość swej przeszłości i utrwałać dla potomnych swoją narodową tożsamość.

OSTATNIE DNI W POLSKIM LWOWIE

dokończenie ze s. 18

w jego wschodnią ścianę. Następnie zawrócił i oddał się w stronę miasta. Zaraz potem zobaczyłem pojedynczych obcych żołnierzy, którzy przykurczeni, z karabinami zakończonymi długimi, cienkimi bagnetami, przemieszczali się w naszą stronę. Nikt do nich nie strzelał, jednak co jakiś czas padały pojedyncze strzały kierowane przez nich przede wszystkim do zamkniętych okien, zakrytych czarnym papierem i zalepionych na krzyż białymi pasmami papieru. Papiery te miały według naszych władz zabezpieczyć przed rozpryskiem szkła okiennego podczas bombardowania. Właśnie te okna budziły największe obawy wkraczających bolszewików, którzy wkrótce się wycofali.

Wkrótce dotarła do nas wiadomość, że wspomniany szwadron policji został ostrzeżony przez wkraczających od wschodu bolszewików, powodując znaczne straty śmiertelne. Tak to wkraczające do naszego miasta wojska sowieckie rozpoczęły swoją zbrodniczą działalność, nastawioną na niszczenie wszystkiego co polskie, przedwojenne.

Edward Rydz-Śmigły

* * *

Już gorzej być nie może,
Wszystko mnie boli i rani.
Ginę we wstrętu otchłani,
A jutro będzie gorzej.

Gdybym choć znaleźć mógł słowo
Na nazwę tego istnienia,
Może bym uspił cierpienia
I nie bił o ścianę głową.

Rok 1941

Wiersz zamieszczony w tomiku pt. „Poetom tragicznym”, wydanym przez Oficynę Konfraterni Poetów, Kraków 1989.

Jerzy Masior

Na Święto Zmarłych

Bywają też samotne krzyże,
brzemienne czasu upływaniem.

Chylą ku ziemi coraz niżej
to co się stało i się stanie.

A pośród nich wojenne kości
chlona patynę swej godności,
i choć tabliczki regimentów
rdza zżarła na wskroś, do imentu,
to przecież kiedyś, w listopadzie
(i tak naprawdę jest corocznie)
stają w ordynku i paradzie,
na „baczność” stają, i na „spocznij”
i znów są wszyscy na apelu...

1995

Jadwiga Sibiga

Jesień w stryjskim parku

Tyle lat minęło, a ja wciąż marzę
o moim Mieście pełnym uroku,
jesień już blisko i o tej porze
wspomnienia wracają co roku.

Znów jestem w stryjskim parku
zachwycona lwowską jesienią,
słońcem wrześniowym, jak
liście drzew barwami mieni.

Na stawku pływają łabędzie
jak kiedyś przed laty,
wierzbowe gałęzie zanurzone w wodzie
wciąż płaczą...

Z oddali słyhać muzykowanie,
ktoś o miłości śpiewa dziewczynie,
i nie wiem już, czy to sen
czy wspomnienie.

Ze złotych liści bukiety ułożę,
niech pozostaną w myśli
na pamiątkę jesiennych marzeń.

Śnić mi się będą drzewa w parku
przez długie zimowe noce,
szmer liści z poszumem wiatru
i nadzieja, że tam powrócę.



rys. Jerzy Masior, 1995

Mirosław Żuławski

Moje wigilie

Pierwszej wigilii nie pamiętam, ale pamiętam pierwszą choinkę. W naszej rodzinie mówiliśmy o niej – i nadal mówimy – „drzewko”. Była tak wysoka, wspaniała i tak pięknie przybrana we wszelkie kolorowe bańki, łańcuchy, ptaszki i zwierzątka ze słomy, bibułki i skorupki, gorzała cała od świeczek i zimnych ogni, że kiedy mnie wprowadzono do pokoju jadalnego, gdzie stała, oniemiałem z wrażenia i po prostu położyłem się na wznak na podłodze, z oczami w śłup. Oczywiście rodzice i babcia Józefa nie omieszkali do końca życia przypominać mi tego przy okazji. A dorośli – jak wiadomo – bardzo nie lubią, jak im się opowiada o czymś, czego dopuścili się w dzieciństwie.

Następnej wigilii już nie pamiętam, bo to święto polega przecież na siedzeniu za stołem i jedzeniu, czego dzieci bardzo, ale to bardzo nie lubią. Pamiętam natomiast jeszcze lepiej choinkę. Działo się to ciągle w moim rodzinnym Nisku, miałem już o dwa lata młodszego braciszka, Zbyszka, który był ciemny, żywy, czupurny w takim samym stopniu, w jakim ja byłem jasny, niemrawy i płaksiwy. Choinka była równie piękna, jak tamta, ale już się nie położyłem przed nią na wznak na podłodze, za to Zbyszek stanął, zadął głowę, popatrzył, ujął się chwacko pod boki i zawołał: „Hej Mirek! Weźmy i obalmy to drzewko!”

Potem przez całe życie ja zawsze kładłem się w bezsilnym podziwie na wznak przed wszystkim, co mnie porażało pięknem, ogromem albo niezwykłością, a mój młodszy brat usiłował sprowadzić to do parteru. Dlatego, choć kochaliśmy się bardzo, trudno nam było dogadać się w czymkolwiek i porozumieć. On został architektem, odbudowywał gdańską starówkę, a ja – sami wiedzicie.

Wigilia była zawsze według starych tradycji z dwunastu dań, ale ponieważ ojciec pochodził z zachodniej Galicji, a matka ze wschodniej, różnice kulinarne między ziemią krakowską a lwowską musiały być w niej uwzględnione. Nie było ich w karpniu w galarecie i smażonym, ale pojawiały się już

w pierogach i ich nadzieniu, a szczyt osiągały w deserze, bo dla ojca nie było wigilii bez strudla z jabłkami, a dla matki bez kutii. Toteż przed świętami nie wolno nam było wchodzić do jadalni, gdzie owalny, rozłożony ile się dało stół, pod białym obrusem, kapał wprost od rozciąganego na strudel cieniutkiego ciasta, podczas gdy w kuchni kręciło się w makutrze mak na kutię. Dziś już nie ma warunków na rozciąganie strudla, ale nadal nie wyobrażam sobie Wigilii bez kutii. Najlepsza zresztą była u dziadków w Dobromilu, to jest na ziemiach, gdzie się narodziła. U nich zresztą i święta były zawsze najlepsze. Babcia Joanna była znakomitą gospodynią, wszystko co trzeba miała z własnego gospodarstwa, sadu i ogrodu, mąkę z własnej pszenicy, orzechy z czterech dużych drzew rosnących przed domem, własne jabłka, gruszki, śliwki i ziemniaki, miód z pasieki od sąsiadów, właściwie tylko ryby trzeba było kupić. Na trzy dni przed Wigilią najlepiej było w ogóle do domu nie wchodzić, bo człowiek był przepędzany z miejsca na miejsce, brało się wtedy strzelbę i psa i szło w pole na cały dzień, z byle jaką wółką. Ale w końcu wyszło na to, że warto było i się opłaciło.

Do wigilii zasiadało się dość wcześniej, bo z pojawieniem się pierwszej gwiazdy. Jako dzieci wypatrywaliśmy jej w Dobromilu, wydychając na szybach w zamrozie małe, okrągłe kóteczka. Dziadek i babcia zasiadali po przeciwnych stronach długiego stołu, na którym pod obrusem było siano. Zaczynało się od karpia w galarecie i wszyscy czekali chwili, kiedy babcia zacznie dławić się ością. Nigdy nas nie zawiodła i podczas wszystkich wspólnych wigilii któryś z dwóch zięciów walił ją w plecy, a czwórka wnucząt włożyła pod stół, żeby nie zaśmiewać się na widoku. Po strudlu i kutii śpiewało się kolędy, a na zakończenie dziadek prosił moją mamę o zaśpiewanie tej, którą szczególnie lubił: *Pasterzu, pasterzu...* Mama miała niski, ładny alt i bardzo nam się w jej wykonaniu ta kolęda podobała. Później tę samą kolędę śpiewała na moją prośbę moja żona. Miała piękny mezzosopran, którym zarabiała na miłość i szczególne względy sióstr nazaretanek na pensji, śpiewając w klasztornej kaplicy na chóрку. Naszym synom też ta kolęda najbardziej się w mamusiny wykonaniu podobała.

PROZA

Ostatnie dwa lata do mojej matury mieszkaliśmy w Zakopanem, które było najdroższym miejscem w kraju. Ojciec był już na emeryturze, dorabiał na jakiejś posiadce w Warszawie, ale na Boże Narodzenie zawsze przyjeżdżał. Pamiętam, że było nam bardzo ciężko materialnie. Raz przed świętami zatrzymałem się przez parę dni przed wystawą sklepu zwanego wówczas „kolonialnym”, bo na wystawie stała smukła butelka owocowego wina „Złota Reneta”. Kosztowała 5 zł 50 gr, ale ja nie miałem aż tylu pieniędzy, no i Wigilia musiała obyć się bez wina. Do dziś dnia czuję jeszcze ówczesny smutek. Powtarzałem sobie w myśli i półgłosem wiersz Horacego, który wówczas szczególnie umiłowałem: „Miserarum est neque amori dare ludum neque dulci mala vino lavare...” (*Biednym nie dane jest ani zaznać miłości, ani zmyć ból słodkim winem...*). Musiał to być naprawdę wielki smutek, skoro po dziś dzień ten wiersz pamiętam.

Ale wkrótce rodzice przenieśli się w Bieszczady*, do Turki, gdzie znowu wigilie i święta sute były i wystawne, jak za najlepszych czasów. Przyjeżdżaliśmy na nie z bratem ze studiów uniwersyteckich we Lwowie, w wigilię rano braliśmy strzelby i psa i szliśmy na pagórki w krzaki i zagajniki, żeby nie zawadzać w domu. Po takim dniu w śniegu i na mrozie taka wigilia przy rodzinnym stole to było prawdziwe święto pełne światła i ciepła.

No, a potem wybuchła wojna i robiło się przez sześć lat, co tylko było można, żeby na wigilijnym stole była jakaś, niechby wędzonka, rybka i kieliszek bimbru pod nią, a także drzewko i jakiś prezencik dla naszego małego synka. Ale nawet i wtedy, przy prawie pustym nakryciu, potrafililiśmy czuć się szczęśliwi.

Po wojnie mieszkaliśmy przez wiele lat we Francji i choć tam panuje zwyczaj, że na wigilię chodzi się do restauracji, a sylwestra spędza w domu – czyli odwrotnie jak u nas – dbaliśmy zawsze o to, żeby wigilie były polskie, jak najbardziej polskie. Nie było to wcale łatwe, bo po większość produktów potrzebnych do polskich dań wigilijnych trzeba było chodzić na Saint-Paul i szukać po polskich Żydach w małych sklepikach, ale i tak zawsze był i śledzik, i karp, i pierogi z kapustą, a nawet wschodniogalicyska kutia. A potem dzieci wyrosły i miały już własne

rodziny i własne wigilijne stoły, a my przez parę lat przebywaliśmy w zwrotnikowej Afryce, gdzie też stawaliśmy na głowie, żeby mieć zawsze polski wigilijny stół. Choinki sprowadzało się z francuskich Wogezów, śledzia musiała zastąpić tropikalna sardynela, karpia – senegalski *thiebou dienn*, a miód na kutię zbierały pszczoły w Casamance z kwiatów mangrowii. Były to święta bez śniegu, pośród palm i kwiatów *bougainville*, z dala od swoich, ale były to zawsze bardzo polskie święta, choć spędzało się je na zalanej słońcem plaży, a zamiast kołęd dochodził z Medyny łomot afrykańskich tam-tamów.

A teraz, kiedy bywa, że siadamy do wigilii we dwójkę, za wszystkie dania mamy rybkę kupioną w Messie na placu Zbawiciela, a za choinkę drzewko posadzone w wazoniku – nie jesteśmy smutni, bo są to święta radości, a nie żałoby, Święta Przyjścia, a nie Odejścia, i nie jesteśmy wcale samotni, a Bliscy, których już nie ma, zasiadający ongiś tak licznie za naszymi wigilijnymi stołami, są w naszych myślach.

* Wschodnie Bieszczady

Tekst zaczerpnięty z tomiku *Album domowy. Felietony 1990–1995* (1997). Podkreślenia nazw miejscowości – red.



Jak Stanisławów stał się znowu Polską

Dokładnie 25 maja 1919 roku! Po 146 latach austriackiego panowania oraz 7 miesiącach ukraińskiej władzy. Różne to były czasy dla Stanisławowa i całej Małopolski wraz z Pokuciem, nazwanej przez Austrię Galicją i Lodomerią. Nie tylko rozbudowy i rozkwitu, ale upokorzeń i zniszczeń, zwłaszcza w latach I wojny światowej. Nade wszystko jednak obcych rządów, które skutecznie zwaśniły zamieszkujące tam narody, braku wolności i własnego państwa.

Potoccy nie podporządkowali się jednak szybko zaborcy. Byli właścicielami Stanisławowa – grodu i całego klucza ziem. Habsburgowie w ramach wdzięczności za odzyskanie Wiednia i uratowanie ich tronu przed osmańskim naporem, w którym tak istotną rolę odegrała właśnie polska husaria, w tym chorągwie Potockich, stali się współtwórcami pierwszego rozbioru Polski i w 1772 roku zagarnęli ziemie Korony Polskiej. Nie odważyli się jednak naruszyć włości rodu Potockich. Katarzyna z Potockich Kossakowska, która rządziła wtedy Stanisławowem, była i zbyt można, i zbyt znana w świecie europejskiej arystokracji, aby pozbawić ją własności. Więcej niż paradoksem, wręcz cudem, było więc tolerowanie prywatnej twierdzy z własnym polskim garnizonem i artylerią w cesarstwie Habsburgów. Jedyne ich bronie w walce z Potockimi były zwiększane nieustannie podatki. Dopiero w 1801 roku, a więc po 29 latach, wskutek narastających zaległości podatkowych, rząd austriacki wszedł wreszcie w posiadanie Stanisławowa i mianował pierwszego burmistrza.

W czasie wojen napoleońskich Stanisławów na bardzo krótko, bo zaledwie na 2 miesiące, powrócił do Polski, to znaczy do Wielkiego Księstwa Warszawskiego. W 1809 r., kiedy wojna przeniosła się na teren Galicji, jeden ze szwadronów ułańskich wojsk księcia Józefa Poniatowskiego przebiegłym manewrem zmusił do poddania się austriacki garnizon Stanisławowa. Nasi ułani wysłali parlamentarzysty z dwóch różnych stron. Austriacy przekonani o otoczeniu

miasta opuścili twierdzę i ludność Stanisławowa entuzjastycznie powitała niewielki oddział ułanów. Było ich zaledwie 26, pod wodzą sierżanta Antoniego Szumlańskiego, co odnotowały pieczołowicie kroniki miasta! A mimo to potrafili zdobyć miasto! Kiedy Austriacy wrócili, z zemsty za ten wstyd wysadzili mury obronne, zniszczyli twierdzę. Zastosowali identyczny manewr jak po stłumieniu powstania Franciszka Rakoczego na początku XVIII wieku na Węgrzech, kiedy wysadzili wszystkie fortyfikacje i zamki opanowane przez jego wojska. Aby nie były ostoją powstań.

Paradoksem wszakże Austriacy przyczynili się tym do rozwoju Stanisławowa. Już bowiem Katarzyna z Potockich Kossakowska zaczęła burzyć fragmenty umocnień, głównie po to, aby sprzedać uzyskane tym sposobem grunty, powiększać miasto i spłacać podatki. Dzięki Austriakom Stanisławów ostatecznie przestał być fortecą, więc ludność systematycznie zaczęła przybywać, miasto rozrastało się. Do ponad 50 tysięcy mieszkańców w przededniu wybuchu I wojny światowej. To wtedy na przełomie XIX i XX wieku Stanisławów awansował do miana liczącego się ośrodka handlu, przemysłu i kultury trzech nacji – Polaków, Rusinów i Żydów. Trzeciego po Lwowie i Krakowie miasta Galicji. Dokładnie o tym rozdziale w dziejach miasta, a zwłaszcza ogromnej roli burmistrza Ignacego Kamińskiego, który odbudował miasto po pożarze w 1868 roku, pisałem w swojej poprzedniej książce *Kresy Kresów, Stanisławów*.

W owym kwitnącym wtedy mieście, gdzie w tym czasie, w rodzinie o francuskich korzeniach, bodaj z napoleońskich czasów, ale już na wskroś polskiej, urodził się Antoni Deblessem. Człowiek wielkiej rozgwy, postać niemal zapomniana, mimo że właśnie on odegrał olbrzymią rolę w odzyskaniu Stanisławowa dla wybijającej się na niepodległość Polski. Po studiach na lwowskiej Politechnice w pierwszej dekadzie XX stulecia podjął pracę jako inżynier w stanisławowskiej gazowni i czynnie włączył się w niepodległościową działalność.



Gmach TG „Sokół” w Stanisławowie, 1893.
Zdjęcia wg książki Ż. Komar, Trzecie miasto Galicji

To był czas dojrzewania narodowej świadomości i przygotowań do odzyskania państwa. W politycznej atmosferze Europy wyczuwano potrzebę zmian i możliwość wojny. Polska społeczność pod trzema zaborami przygotowywała się do tego, mając za sobą doświadczenia przegranych powstań. Naprzód był „Sokół”, towarzystwo gimnastyczne, w zasadzie sportowe, ale przecież jednoczące swoich członków na zasadzie narodowych uczuć, patriotyzmu. Potem już ściśle polityczny Związek Młodzieży Niepodległej „Zarzewie”. Wreszcie Harcerstwo i Związek Strzelecki ze swoimi paramilitarnymi drużynami pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Ale w Galicji nie tylko Polacy szukali w tym czasie dróg do wolności. Rusini i Żydzi również. Rusini mieli swój „Sokół”, swoje oświatowe organizacje „Proświta” i „Besida”, wreszcie drużyny siczowych strzelców. Żydzi – organizację syjonistyczną i własny skauting zwany „Menorą”. Wszyscy – własne, legalne i nielegalne partie polityczne, a nawet organizacje paramilitarne.

W Stanisławowie, na wzór założonej we Lwowie organizacji, „Sokół” powstał już w 1886 roku i wysiłkiem polskiej społeczności wznosił istniejący do dziś potężny gmach w centrum miasta, u zbiegu ulicy Gośławskiego z placem Mickiewicza. Z piękną wieżą, ogromną salą gimnastyczną, drugą równie wielką balową i pokojami klubowymi. W 1908 roku założono „Zarzewie”, które rozpoczęło organizowanie wojskowych drużyn ćwiczebnych. Jedną z wybijających się postaci w tym ruchu był Stanisław Sosabowski – nie kto inny, a przyszły świetny oficer Legionów Piłsudskiego, a potem generał, dowódca dywizji spadochronowej, jeden z naszych bohaterów II wojny światowej! Stanisławowiak z krwi i kości. Wśród kilkuset młodych ludzi w tym ruchu był również Deblessem. Poznał Piłsudskiego, który przed wybuchem I wojny światowej kilkakrotnie przyjeżdżał

do Stanisławowa. Ale oficjalnie tylko dwa razy, w 1908 i 1909 roku, kiedy w kasynie mieszczańskim wygłaszał płomienne przemówienia o konieczności przygotowania się do walki o niepodległość. Pozostałe przyjazdy, zwłaszcza gdy wizytował swoje przyszłe wojsko, były konspiracyjne, o czym zresztą będzie mowa gdzie indziej.

W Stanisławowie działały aż trzy drużyny strzeleckie, skupiające blisko 200 młodych ludzi. Jedną z nich – „Belwederską” – dowodził właśnie Deblessem. Kiedy w sierpniu 1914 zaczęła się wojna, część stanisławowskich strzelców dała początek Legionom Polskim.

Deblessem nie zdążył. Był porucznikiem rezerwy armii austriackiej i natychmiast został zmobilizowany. Trafił na jeden z głównych odcinków wojny z Rosją, do twierdzy Przemyśl, która poddała się dopiero po wielu miesiącach głodnego oblężenia. A stamtąd na blisko 3 lata do obozu jeńców w Carycynie. Poznał najgorse strony wojny i dopiero we wrześniu 1918 roku, kiedy w Rosji już szalała rewolucja, a monarchia austro-węgierska chyliła się ku upadkowi, udało mu się jakimś cudem zdobyć cywilne papiery i uciec z pilnowanego już przez Czerwoną Armię obozu, w którym panował większy głód niż w oblężonym Przemyślu i codziennie chowano zmarłych. Wydostał się z Carycyna ostatnim statkiem na Wołdze, nim to miasto zostało oblężone przez carskie wojska generała Denikina. Okrężnymi drogami, koleją i głównie piechotą, kompletnie wyczerpany dotarł do Stanisławowa 1 listopada 1918 roku – w dniu upadku imperium Habsburgów i początku austriackiej rewolucji. Pierwsza i to błyskawicznie rozpadła się armia. Żołnierze, obojętnie na tyłach czy na froncie, rzucają broń i wracają do domów. Oficerowie początkowo są bezradni, a potem idą w ich ślady. Panuje coraz większy chaos.

Do Stanisławowa docierają wieści o ogłoszeniu niepodległości Polski. Ale gdzie i jak, brak wiadomości. Na ulicach Stanisławowa mnóstwo żołnierzy, włóczą się pojedynczo i całymi grupami. Na austriackich mundurach pojawiają się żółto-niebieskie, ukraińskie naszywki. Tu będzie Ukraina, a nie Polska. Deblessem jest zdumiony, na ulicach swego polskiego miasta wszędzie widzi ukraińskie flagi. Włącznie z najwyższym punktem, na

wieży ratusza. Ostatni austriacki burmistrz Stanisławowa Nimhin 2 listopada oddaje władzę Rusinowi Petrowi Czajkowskiemu, a ten natychmiast każe wywiesić flagę. Cała broń i amunicja oraz wszystkie koszary zostają oddane nowej, ukraińskiej władzy. Nie tyle dziwnym, co przemyślanym przez Austriaków zbiegiem okoliczności w okolicach Stanisławowa zostały zgrupowane jednostki wojskowe, w których większość stanowili żołnierze miejscowego pochodzenia: Rusini, którzy coraz mocniej czują się Ukraińcami. We Lwowie było nieco inaczej. Wprawdzie i tam większość stacjonujących pułków była rusińska, ale w koszarach było też sporo Węgrów, a ci zachowali neutralność i sympatię wobec Polaków. W niektórych przypadkach nawet oddawali Polakom broń. Bardzo dokładnie opisał to węgierski oficer Jenő Szentiványi w swojej wydanej w 1937 roku powieści *Polskie Orłęta*, niestety nieprzetłumaczonej na polski. Szentiványi zresztą pozostał we Lwowie aż do końca walk. Doczekał zwycięstwa Polaków i dopiero wtedy wrócił do swego Budapesztu, aby napisać powieść o bohaterstwie polskich dzieciaków, swoistą, lwowską wersję słynnych *Chłopców z placu Broni* Ferencza Molnara. Polacy we Lwowie dali się kompletnie zaskoczyć Ukraińcom, którzy 1 listopada przejęli władzę nad miastem. Lwów jednak był na wskroś polskim miastem, o ogromnej przewadze liczebnej nad ludnością rusińską. Polacy błyskawicznie zorganizowali samoobronę, szybko odbili dworzec kolejowy, na którym stały transporty z bronią oraz amunicją.

Do Stanisławowa docierają wieści o obronie Lwowa i Przemyśla przed Ukraińcami. Co robić? Z dawnych drużyn strzeleckich jest na miejscu może ze stu strzelców i kilku oficerów. Reszta rozproszona, dopiero wraca do swego miasta. Polacy nie mają broni. 3 listopada zbiera się jednak tych kilku oficerów i powołuje sztab Polskiej Organizacji Wojskowej. Swoim komendantem wybierają porucznika Antoniego Deblessema, bo to on był chyba głównym inicjatorem spotkania. Jego zastępcą zostaje Czesław Hofmokl, adiutantami Gustaw Dobrucki i Emil Henisz, szefem wywiadu Tadeusz Dyńko. Oni przejmują dowództwo.

Główny cel – podjęcie walki z Ukraińcami o odzyskanie Stanisławowa. Ale jak? W siedmiu kompaniach udaje się zgrupować około

300 ochotników, głównie młodzieży, gimnazjalistów. Chcą się bić i to natychmiast! Ale nie mają broni. POW dysponuje w sumie 100 karabinami, 90 broni krótkiej, 5 magazynkami na sztukę broni oraz jednym karabinem maszynowym. Austriacy, szykując oddanie Galicji Ukraińcom, znacznie wcześniej ulokowali w Stanisławowie cały pułk piechoty złożony z okolicznej, rusińskiej ludności. Ukraińcy błyskawicznie przejęli wszystkie koszary, jest ich nie tylko wielokrotnie więcej, ale są lepiej zorganizowani i uzbrojeni po zęby. O tym wszystkim dokładnie wiemy ze wspomnień Antoniego Deblessema *Z prac i walk o wolność Stanisławowa* wydanych w 1934 r.

– *Straciwszy wszelki kontakt z władzami zwierzchnimi, byliśmy po prostu jednostką samodzielną, kierującą się własną intuicją. Najwyższą władzą była dla nas Komenda Okręgowa, którą tworzyliśmy my sami* – zapisze w swych wspomnieniach Deblessem. I tylko on jeden na szczęście ocalił te fakty od zapomnienia. I to on ze swoim sztabem podejmuje heroiczny wysiłek powstrzymania na razie zbrojnego wystąpienia, które zakończyłoby się masakrą i represjami wobec całej polskiej ludności. Bo w Stanisławowie proporcje sił są zupełnie inne niż we Lwowie. A geograficznie miasto jest położone znacznie dalej od budującej się niepodległej Polski, Krakowa, Warszawy, Lublina.

Sytuacja w Stanisławowie z dnia na dzień jest coraz trudniejsza. Rząd Zachodniej Ukrainy po wyzwoleniu Lwowa przez polską odsiecz w grudniu 1918 roku przenosi się do Stanisławowa. Na 6 miesięcy

Stanisławów przed I wojną światową. Zdjęcie lotnicze



tu będzie stolica! Swoimi ludźmi obsadzają wszystkie kierownicze stanowiska. Eliminują polską inteligencję. Żydowska społeczność udziela nowym władzom wydatnego finansowego wsparcia, dzięki czemu szybko powstaje dobrze wyposażona 100-tysięczna ukraińska armia siczowych strzelców. Rząd Ukrainy żąda złożenia przysięgi wierności przez wszystkich urzędników. Wielu Polaków zatrudnionych w austriackiej administracji odmawia i zostaje aresztowanych. Na mieszkańców Stanisławowa zostają nałożone różne kontrybucje. Jak choćby oddanie jednego kompletu bielizny męskiej dla powstającej policji i armii. W tej sytuacji przy kompletnym braku informacji o postępach polskich wojsk w wojnie z Ukrainą pozostaje jedynie w głębokiej konspiracji czekać na właściwy moment. A młodzież, takie same dzieciaki jak Lwowskie Orłęta, chcą natychmiast dokonać powstania, podjąć walkę. Udało się we Lwowie, uda i u nas. POW powoli rośnie w siłę. Jest już pół tysiąca członków tajnej organizacji i 22 oficerów. Przybywa kupowanej od Ukraińców broni. Ale też zaczyna się odpływ. Wbrew rozkazowi – czekajcie, bo będziecie potrzebni – mnóstwo peowiaków opuszcza Stanisławów i przez Karpaty przedostaje się do formującej się w Besarabii dywizji generała Lucjana Żeligowskiego. Deblessem wydaje rozkaz: czekamy do maja i jeśli sytuacja się nie zmieni, wszyscy przedrzemy się do polskiego wojska! To uspokaja nastroje.

Pod koniec maja ofensywa polskich wojsk nabiera siły. Do Stanisławowa zbliża się od strony Lwowa dywizja generała Aleksandrowicza. Ukraińcy szykują odwrót, w ich szeregach wkrada się popłoch. 25 maja o 6 rano Deblessem zbiera swój sztab i wydaje rozkaz: przejmujemy miasto. Peowiaci wkładają przygotowane wcześniej białe opaski z czerwonymi inicjałami POW, wyjmują broń. Pod wodzą porucznika Hofmokla błyskawicznie zajmują koszary przy ulicy 3 Maja, gdzie jest mnóstwo broni. Żołnierze ukraińscy, przeważnie chłopcy z okolic Stanisławowa, rzucają karabiny. A ukraiński komendant – jak odnotuje to Hofmokl – oświadcza: *Panie lejtnant, my kydajemo orużże, a oddajcie nam perepustku do doma!* Podobnie dzieje się we wszystkich strategicznych miejscach, z dworcem kolejowym włącznie. Ginie tylko jeden ukraiński żołnierz!

Deblessem z kolei udaje się do komendanta miasta, austriackiego podpułkownika Bema, który oddał się w służbę Ukrainie. Oficer o przypadkowej zbieżności z nazwiskiem polskiego bohatera Wiosny Ludów generała Józefa Bema, przyjmuje warunki kapitulacji. O godzinie 16 Stanisławów jest znów polski! W całym mieście rozwieszono zostają błyskawicznie, wykonane w polskiej drukarni Władysława Chowańca, plakaty z rozkazem nr 1 o przejęciu władzy przez Polski Komitet Powiatowy podpisanym przez komendanta miasta porucznika Deblessema! Bez przelewu krwi, nie licząc tej jednej jedynej ofiary. 25 maja 1919 roku Stanisławów znów jest Polską!

Specjalna kompania techniczna naprawia i uruchamia w ciągu kilku godzin wszystkie telefony i uszkodzone tory kolejowe. Intendentura POW zabezpiecza magazyny z żywnością, uruchamia piekarnie, mleczarnie, rzeźnie, dostarcza żywności dla szpitali, ludności i przemianowanego z POW polskiego wojska. Nazajutrz po wyzwoleniu z ukraińskiej okupacji miasto zaczyna normalnie funkcjonować. Podobnie jest w pobliskim Chryplinie, gdzie ocalono most kolejowy na Bystrzycy, tak jest w Pawełczu, Tłumaczu i Tyśmienicy. Dopiero w dwa dni później dochodzi do Stanisławowa tragiczna wieść o śmierci 7 peowiaków okrutnie zamordowanych przez Ukraińców w Pałachiczach.

Tego samego dnia 27 maja od strony Kałuża wkracza kompania regularnego Wojska Polskiego pod wodzą kapitana Stanisława Maczka, również przyszłego generała, dowódcy słynnej dywizji pancerniej w czasie II wojny światowej. Po południu już przez most na Bystrzycy wjeżdżają ułani, a potem długie kolumny piechoty i artylerii dywizji generała Aleksandrowicza, entuzjastycznie witani i obsypywani bzem przez ludność Stanisławowa. A na ratuszu wreszcie łopocze biało-czerwona flaga.

Taki a nie inny przebieg wydarzeń w Stanisławowie miał istotny wpływ na wzajemne stosunki zamieszkującej całe województwo polskiej, żydowskiej i już uważającej się nie za rusińską, lecz ukraińską ludności. Okrzepnięte po wojnie, również i tej z bolszewikami w 1920 roku, państwo polskie nie wyciągnęło na terenie Pokucia większych konsekwencji ani w stosunku do Żydów za-

angażowanych we współpracę z rządem Zachodniej Ukrainy, ani społeczności ukraińskiej. W Stanisławowskim nie było takich zaognień jak we Lwowie, Tarnopolu czy na Wołyniu. Zastosowano taktykę wybaczenia i tolerancji. Dwaj wybitni żydowscy politycy, którzy wsparli Ukraińców: prezesi kahału dr Bienenstock oraz dr Halpern zostali w 1922 roku wybrani do Senatu i Sejmu II RP. Wielu dowódców i działaczy ukraińskich z wojny w latach 1918–19 pozostało na stanowiskach w mających duże znaczenie swoich organizacjach społecznych, kulturalnych, gospodarczych, otrzymało mandaty do Senatu i Sejmu, reprezentowało swój naród we władzach miejskich i wojewódzkich, a prezes Sądu za czasów ukraińskich w Stanisławowie Metela również po 1919 roku pozostał prezesem Sądu Okręgowego w Stanisławowie.

Nie mam wątpliwości, że w tych trudnych dniach ogromną rolę odegrała tak rzadka u Polaków roztropność – głównie porucznika inż. Antoniego Deblessema. Nie doczekał on jednak należnego mu uznania. Znamienne, że po uzyskaniu wolności w Stanisławowie zaczęły się swary między peowiakami, legionistami i nowo powołaną strażą miejską o to, kto położył większe zasługi. Podobnie zresztą było we Lwowie. Nie tylko w tym mieście, ale i w całej Polsce szybko zapomniano o kapitanie Czesławie Mączyńskim, który faktycznie dowodził obroną Lwowa, Bo wszedł w konflikt z legionistami! Podobnie było z Deblessemem. Gdy wreszcie nastąpił pokój, wrócił do gazowni i przez pewien czas nią kierował. W końcu jednak opuścił Stanisławów. Odszedł w zapomnienie. I dlatego, kiedy w 1946 roku trafiłem w Opolu do I gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, pojęcia nie miałem, że chodzący o klasę niżej, też pochodzący ze Stanisławowa Kazik Deblessem to bliska rodzina (Antoni był jego stryjecznym dziadkiem) bohatera mojego miasta. Ale mój syn Michał, który jest dziennikarzem III programu Polskiego Radia, już doskonale wie, z jakiego rodu wywodzi się Janusz Deblessem, który w tej samej rozgłośni prowadzi programy muzyczne. Takie są styki życia!

Tekst pochodzi z książki Tadeusza Olszańskiego pt. „Stanisławów jednak żyje”, wydanej we wrześniu 2010. Autor udzielił swej zgody na przedruk rozdziału.

Krzysztof Bulzacki

FRANCISZEK SMOLKA*

W tym roku mija dwusetna rocznica urodzin Franciszka Smolki

Prawie cały XIX wiek był świadkiem długiego życia Franciszka Jana Smolki. Urodził się 5 listopada 1810 roku w Kałuszu, zmarł w 1899 r. we Lwowie. Jego ojciec Wincenty był zawodowym oficerem w wojsku austriackim, pochodził ze zniemczonej rodziny – prawdopodobnie pochodzenia czeskiego – osiadłej na pruskim Śląsku. Po skończonej służbie wojskowej Wincenty został urzędnikiem salinarnym w Kałuszu, który służył z eksploatacji soli potasowych. Matka, Anna Nemethy, pochodzenia węgierskiego, urodziła się w Galicji i tu wychowana została w polskim duchu. Niemniej tylko Franciszek, najmłodszy z ich trojga dzieci, przyznawał się do narodowości polskiej. Przez 4 lata uczył się w domu, następnie 8 lat w gimnazjum klasycznym Dominikanów we Lwowie. Nauka do matury trwała więc razem 12 lat.

W 1831 roku Franciszek Smolka ukończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim i we Lwowie rozpoczął służbę rządową w Prokuratorii Kamery (urządzie skarbowym). Z nieznanых przyczyn nie wziął udziału w Powstaniu Listopadowym.

O tym czasie w Historii Lwowa Fryderyk Papée napisał:

Wszystko co żyło spiskowało wówczas we Lwowie, spiskowało przez lat kilkanaście. Rozbudził ten ruch uczestnicy Powstania Listopadowego pozostali w Galicji, i emigranci przybywający świeżo z Francji. Coraz to nowe powstawały związki tajemne (masonerii): „Węglarzy Polskich”, „Przy-



jaciół Ludu” i „Wzajemnej pomocy”; potem „Stowarzyszenie Ludu Polskiego” oraz liczne inne, zostające pod wpływem „Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego” we Francji. Były różne właśnie między tymi związkami, były najrozmaitsze odcienie. Najumiarkowańsi dążyli tylko do uzyskania swobód politycznych, do rozbudzenia ducha narodowego, zwłaszcza u ludu; gorętsi zmierzali do zbrojnego powstania; najskrajniejsi do jakichś międzynarodowych przewrotów, zbliżonych do socjalizmu końca XIX wieku.

W tych spiskach jeden mąż przewyższył wszystkich innych [...] tą trzeźwością poglądu i siłą charakteru. Któż we Lwowie nie znał i nie szanował Franciszka Smolki, na którego pomnik patrzyły oczy paru pokoleń potomnych na placu jego imienia? Wtenczas właśnie zaczynał on zasłużony swój zawód publiczny. Porzucił widoki świetnej kariery, które mu przedstawiano, ponieważ postanowiwszy należeć do spisków, nie chciał składać przypisanej w urzędach przysięgi. Inni przysięgali i spiskowali, ale Smolka dla żadnego celu krzywoprzysięgać nie umiał. Umiał jednak dla sprawy, którą uważał za słuszną, narażać się na niedostatek, na więzienie, nawet na karę śmierci, od której go tylko ulaskawienie monarchy ocaliło.

W związku z przystąpieniem do spisku w 1834 r. podał się do dymisji i podjął pracę w kancelarii adwokackiej Pawła Rodakowskiego. W 1836 r. otrzymał tytuł dokto-

ra praw, a w 1840 r. otworzył we Lwowie własną kancelarię.

Do Węglańskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Ludu (łóży masońskiej) wprowadził Smolkę w 1834 roku Hugo Wiśniewski. Rok później stał już na czele Dykasterii Węglańskiej (naczelnym władz) we Lwowie. Po jej rozwiązaniu wszedł do Stowarzyszenia Ludu Polskiego (SLP) i w Zborze Ziemskim, był sekretarzem komisji korespondencyjnej. Rok później znalazł się w składzie przeniesionego z Krakowa do Lwowa Zboru Głównego. Od wyjazdu Seweryna Goszczyńskiego z Galicji (w lecie 1838) był faktycznym kierownikiem SLP. Wpływał nań miarkująco, sprzeciwiał się tendencjom powstańczym i prowadzeniu agitacji wśród chłopów, w praktyce doprowadził do zahamowania konspiracji. Aresztowany mimo to w 1841 r., spędził trzy i pół roku w więzieniu, pierwszych trzynaście miesięcy w pojedynczej celi. W śledztwie przyznawał się tylko do tego, co przesłuchującym było już wiadome. 21 I 1845 r. został wydany wyrok śmierci, po czym Franciszek Smolka został ulaskawiony przez cesarza. [...] Wszakże pozbawiono Smolkę praw adwokackich i musiał szukać zatrudnienia w prywatnych kancelariach. W 1846 roku odmówił udziału w powstaniu Edwardowi Dembowskiemu, który mu oferował kierownicze stanowisko we Lwowie.

Dalej napisał Papée:

Narażając siebie, działał jednak Smolka w sprawach publicznych zawsze z najwięk-

Archiwum **Sesja naukowa sprzed 20 lat**

W czerwcu 1990 r. odbyła się we Wrocławiu, zorganizowana przez Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa, I Sesja Naukowa pt. Stan i perspektywy badań nad dziejami Lwowa**. Było to 5 lat przed powstaniem niniejszego kwartalnika, nie zostało więc w nim dla naszej pamięci zapisane. Nie ukazało się też żadne wydawnictwo pokonferencyjne. Wydaje się przeto, że warto przynajmniej wynotować z Zaprośzenia tematy referatów i ich autorów.*

– ks. prof. dr M. Zahajkiewicz: Źródła i kie-

runki badań nad przeszłością łańciskiej Archidiecezji Lwowskiej

- prof. dr K. Malczyńska: Stan i perspektywy badań nad historią książki i bibliotek we Lwowie
- prof. dr S.S. Nicieja: Biografistyka lwowska, jej stan i potrzeby
- doc. dr T. Zielińska: Zbiór Aleksandra Czołowskiego
- dr R. Majkowska: Lwowiana w zasobie Oddziału Archiwum PAN w Krakowie
- mgr D. Lewandowska, mgr. T. Morawski: Archiwalia lwowskie w zbiorach Oddziału II Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie
- mgr J. Micewicz: Fotografia i kartografia lwowska w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego

szym umiarkowaniem i przezornością. Dzięki tym jego przymiotom Stowarzyszenie Ludu Polskiego, do którego należał, przetrwało wszystkie inne związki (do roku 1841). A kiedy mu później, w 1846 roku, emigrant Dembowski ofiarował dowództwo powstania we Lwowie, obiecując 60000 chłopów na zawołanie, odpowiedział Smolka ze smutkiem, że staną chłopci, ale nie za powstaniem, tylko przeciw powstaniu. Odmówił więc udziału w tym niebezpiecznym dla sprawy narodowej przedsięwzięciu. [...]

W wyniku takiego stanowiska Smolki, z braku zdolnego kierownika we Lwowie nie doszło do wybuchu powstania. Natomiast w innych stronach kraju nastąpił wybuch, a smutne przewidywania Smolki sprawdziły się w zupełności. Na nieszczęśliwy kraj spadła klęska chłopskiej rzezi, pod której wrażeniem wydobyl się z zakrwawionej piersi naszego poety Kornela Ujejskiego rozpaczliwy chorał *Z dymem pożarów*. A kiedy wreszcie przeszła ta straszna burza, nastąpiły znowu liczne wyroki na uczestników powstania. Dwu ukarano śmiercią (Teofila Wiśniewskiego i Józefa Kapuścińskiego), a wielu odwieziono do więzień fortecnych w Kufsteinie i Spielbergu. Próba powstania w 1846 roku spowodowała likwidację Rzeczypospolitej Krakowskiej. [...]

Dla Lwowa nie było boleśniejszej chwili jak dzień 31 lipca 1847 roku, w którym Teofil Wiśniewski zginął na szubienicy na Górze Stracenia. Zdawałoby się, że teraz wszyst-

ko przycichnie na długie lata. Tymczasem ruchy galicyjskie były tylko przedwczesnym i częściowym wybuchem Wiosny Ludów, na którą się już długo zbierało w całej Europie.

Już w pierwszych miesiącach 1848 roku płomień rewolucji ogarnął Francję, Niemcy, Włochy – wreszcie całą monarchię austriacką. 13 marca 1848 ogromne tłumy ludu ruszyły w Wiedniu przed pałac cesarski i przedłożyły tam przez swoich wystanników żądania ludu (*Sturmpetition*). Następstwem tego było ustąpienie powszechnie znienawidzonego Metternicha, przyzwolenie rządu na gwardię narodową i obietnica dalej idących reform.

18 marca 1848 r. Smolka wraz z Florianem Ziemiałkowskim układał „adres” (pismo postulatowe) do cesarza, podpiswany następnego dnia przez szlachtę i mieszczaństwo Lwowa. Należał do deputacji, która wręczyła adres gubernatorowi Galicji Franciszkowi Stadionowi; zaproszony przez niego do udziału w Radzie Przybocznej (tzw. *Beŕracie*), powołanej w celu przeciwstawienia się rozwiązanej Radzie Narodowej, Smolka nie brał udziału w posiedzeniach.

Wieść o tym wszystkim do Lwowa dotarła dopiero 19 marca. W Galicji nie było jeszcze kolei ani telegrafów. We Lwowie przed domem krawca Kulczyckiego, który wydawał głośny w tym czasie „Dziennik mój paryskich”, zajmujący się więcej polityką niż modą, zebrali się licznie mieszkańcy. Kulczycki zapraszał do siebie do podpisywania

- mgr T. Wawrzyński: Akta dotyczące Lwowa w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego
- dr A. Garlicka: Ikonografia fotograficzna miasta Lwowa (oraz otwarcie wystawy towarzyszącej)
- dr Z. Budzyński: Stan badań nad dziejami Lwowa w okresie staropolskim
- dr A. Janeczek: Czarna i biała legenda polskiej ekspansji na Rusi Czerwonej – rozważania historiograficzne
- dr R. Szczygieł: Dzieje społeczne Lwowa XV i XVI wieku w źródłach i historiografii
- mgr S. Gajerski: Znaczenie Łucji Charewiczowej dla badań nad przeszłością Lwowa
- prof. dr H. Madurowicz-Urbańska: Stan

- mgr T. Wawrzyński: Akta dotyczące Lwowa w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego
- dr H. Kramarz: Źródła i materiały do dziejów Rady Miejskiej Lwowa w latach I wojny światowej
- doc. dr A. Leinwand: Stan badań nad dziejami Lwowa w latach 1918–1939
- doc. dr A. Mankowicz: Stan badań nad dziejami Lwowa w latach 1939–1949
- dr A. Korman: Źródła do badań nad eksterminacją ludności polskiej przez UPA.

* Nazwa Towarzystwa została dopiero później rozszerzona o: *i Kresów Południowo-Wschodnich*.

** Niestety następnych sesji nie było.

petycji złożonej przez Franciszka Smolkę. Petycja w 13 punktach zawierała to wszystko, co wówczas ludziom leżało na sercu. Była zredagowana w duchu narodowym, autonomicznym i demokratycznym. Żądała więc wprowadzenia języka polskiego do szkoły i do urzędu, autonomii dla kraju i miast, a wreszcie zrównania wszystkich stanów i wyznań wobec prawa. Pańszczyzna miała być zniesiona, cenzura usunięta, więźniowie polityczni wypuszczeni na wolność; porządek wewnętrzny utrzymywany nie przez wojsko, ale przez gwardię narodową. Niebawem tysiące podpisów pokryło petycję, a Jan Dobrzański w gorącej przemowie wezwał do wysłania deputacji z tym pismem do namiestnika.

Namiestnik ówczesny Galicji, hr. Franciszek Stadion, bardzo przychylnie przyjął wysłanników i obiecał jak najrychlej przedłożyć petycję monarsze. Wówczas zapal powszechny ogarnął mieszkańców, tysiące ludu zgromadzone przed pałacem namiestnika wznosiły głośne okrzyki na jego cześć, a wszystkie okna zapłonęły iluminacją. Tak skończył się ogólną radością ten dzień pamiętny dla Lwowa.

1 kwietnia 1848 roku Smolka zapisał się do gwardii narodowej, został mianowany porucznikiem w trzeciej kompanii. Należał do pierwszego składu Rady Narodowej we Lwowie, zabierał w niej głos wielokrotnie. W maju został wybrany na wiceprezesa Rady, w połowie tego miesiąca opuścił Lwów, 5 czerwca przybył na zjazd słowiański do Pragi, tu zorientował się w prorosyjskiej grze polityków czeskich i już po trzech dniach wyjechał do Wiednia. [...]

Z Wiednia Smolka przekazywał informacje o rozwoju wydarzeń; liczył wówczas na legalne usamodzielnienie Galicji na wzór węgierski. Posłem na Sejm wiedeński został wybrany zaocznie w Lubaczowie. W Izbie wszedł z wyboru do wydziału konstytucyjnego. Zasłużył się znacznie do ogłoszenia pierwszej konstytucji.

Rząd austriacki czynił coraz to nowe ustępstwa: uwolnił więźniów politycznych, zniósł cenzurę, przyzwolił na gwardię narodową. Wreszcie 25 kwietnia 1848 r. wyszedł patent cesarski nadający konstytucję, która wszystkim ludom Austrii zapewniła swobodny rozwój narodowy i urzędze-

nia autonomiczne. Lwów z nie mniejszym zapałem przyjął tę wiadomość jak wszystkie inne miasta w monarchii austriackiej.

W miarę kolejnych ustępstw rządu wzrastały żądania, zabrakło zimnej krwi, jaka potrzebna jest w polityce. Im dalej, tym bardziej czcymi stawały się pozbawione sensu demonstracje. Wszystko to drażniło niepomiernie rząd, a jeszcze bardziej wojskowość, której najtrudniej przychodziło pogodzić się z nowym porządkiem rzeczy. Następstwa takich naprzężonych stosunków zaczęły się coraz dotkliwiej dawać we znaki.

W tych czasach, kiedy tak silny prąd autonomiczny i narodowościowy przechodził całą Europę, budziło się poczucie odrębności nawet między najbliższymi spokrewnionymi ludźmi. Rusini dotychczas spiskowali w Galicji razem z Polakami; jeszcze na początku marca 1848 roku całe duchowne seminarium ruskie wystąpiło po polsku w niebieskich konfederatkach, a już przy końcu tego miesiąca z inspiracji gubernatora Galicji hr. Franciszka Stadioną stanęli Rusini odrębnie od Polaków i przeciw Polakom. Stąd powstał naówczas dowcip, że hr. Stadion jest *wynalazcą Ukraińców*. Oczywiście nie wynalazł Ukraińców, ale nie ulega wątpliwości, że znacznie się przyczynił do pogłębienia rozdziału między Polakami i Rusinami. Stadion poszukiwał pewnej przeciwwagi dal ówczesnego ruchu polskiego, ale nie przewidział następstw takiego postępowania. [...]

14 września 1848 roku, zatem w przededniu rewolucji wiedeńskiej, Smolka obrany został głosami lewicy wiceprezydentem Izby, 19 września głosował przeciw rządowi za dopuszczeniem na salę deputacji Sejmu węgierskiego, 6 października w pierwszym dniu walk ulicznych próbował mediacji między wojskiem a tłumem, ale nie zdołał przeszkodzić zamordowaniu ministra wojny T. Latoura. Tegoż dnia, wobec usunięcia się prezydenta A. Strobacha, objął przewodnictwo Parlamentu i sprawował je dwadzieścia pięć dni, aż do zdobycia miasta przez wojska A. Windischgraetza.

On też z ramienia Izby podpisywał kolejne adresy do ludności stolicy i ludów Austrii oraz do cesarza Ferdynanda zbiegłego do Olomuńca. Obstawał za legalnością działań uszczuplonego Parlamentu, protestował przeciw gwałtom reakcji, ale podtrzymując stosunki z przywódcami rewolucji (w tym również z gen. Józefem Bemem), uchylał się od firmowania ich radykalnych zamierzeń. W samym Sejmie utracił wniosek o detronizację

dynastii Habsburgów. Premier P. Krauss proponował mu w tym czasie tekę ministra sprawiedliwości w rządzie. Smolka postawił warunki nie do przyjęcia dla władzy: wycofania się Austrii z Włoch, unię wyłącznie personalną z Węgrami i podobne wyodrębnienie Galicji.

Z ociąganiem, 1 września przystał na prolongowanie obrad Parlamentu i przeniesienie ich do Kromieryża na Morawach. Obrady kromieryskie stały pod znakiem rywalizacji o prezydenturę między Smolką, którego popierała niemiecka lewica, a czeskim konserwatystą A. Strobachem. Smolka wziął górę w listopadzie i jako prezydent Parlamentu składał hołd w Ołomuńcu nowemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi, który należał do najdłużej panujących monarchów – 68 lat (1848–1916).

W grudniu wygrał wybory Strobach, Smolka wrócił na urząd prezydenta w styczniu, a w lutych wyborach miał już za sobą prawie całą Izbę. Szczególny rozgłos wzbudziło jego wystąpienie z 8 stycznia 1849 w obronie federacyjnych zasad projektu ustawy zasadniczej. 7 marca 1849 roku Sejm kromieryski został rozwiązany przez cesarza. Smolka kwestionował legalność tego aktu i odmówił ogłoszenia go w Izbie. Jednak podporządkował się władzy cesarskiej. Uchylił się od oferowanego mu przez Stadiona wysokiego stanowiska rządowego i powrócił do Lwowa jako człowiek prywatny.

Smolka otworzył ponownie własną kancelarię adwokacką i zdobył sobie wkrótce duże wzięcie, mimo trwających szykan policyjnych. Zajmował się głównie sprawami cywilnymi, obracał też depozytami, które mu powierzały na procent osoby prywatne. Nabył parę majątków ziemskich w powiecie stryjskim (Morszyn, Korczyn, Kruszelnicę). Wszedłszy w środowisko ziemiańskie, zapisał się do Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego (GTG), należał do jego komitetu, a w czerwcu 1861 obrany został prezesem, ku niezadowoleniu konserwatywnej szlachty. Na polityczną arenę powrócił w grudniu 1860, kiedy po dymisji Agenora Gołuchowskiego stała się oczywista potrzeba wystąpienia Galicji z żądaniem politycznymi. 19 grudnia mieszczaństwo lwowskie wyprawiło pod oknami Smolki manifestację z pochodniami w oczekiwaniu, że stanie się przywódcą ruchu. [...] O współudziału Rusinów zabiegał Smolka bez skutku u bpa Grzegorza Jachimowicza i nie ma się czemu dziwić, bowiem za sprawą biskupa z domów Rusinów usuwano obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Do pierwszego Sejmu Krajowego obrany został ze Lwowa i mandat ten zatrzymał do końca życia. Wszedł w skład delegacji Sejmu Galicyjskiego do Rady Państwa. Kilka jego wystąpień na plenum spotkało się z dużym rozgłosem, odmówił kompetencji w sprawach finansowych kadłubowej Radzie Państwa, występując w obronie autonomii Galicji, wplótł w przemówienie wykrzyknik: *Noch ist Polen nicht verloren!***

W lecie 1861 został wybrany przez Radę Państwa do delegacji dla spraw wspólnych w Peszcie dla uzgodnienia stanowisk – polskiego i węgierskiego – wobec centralizmu [...]. Po powrocie do Wiednia w dyskusji wygłosił energiczną mowę w obronie Węgrów. Spotkała się ona na Węgrzech z szerokim odzwźwiękiem, a kilkadziesiąt komitetów przesłało podziękowania na ręce Smolki. W 1862 roku wziął jednak urlop z Rady Państwa stwierdzając, że *szkoda na nią czasu. Nigdy nie tailem i nie taję, że mam niezachwianą wiarę w restaurację Polski i że chwili tej wyczekuję jak zbawienia*. Pozostawał wtedy w licznych kontaktach z czołowymi działaczami polskimi, brał udział w redagowaniu „Dziennika Polskiego” we Lwowie, ale dopiero 15 stycznia 1863 r. dał się nakłonić do zawiązania Komitetu Galicji Wschodniej wraz z księciem Sapiehą i Ziemiańkowskim, i to raczej z myślą o hamowaniu wybuchu zbrojnego.

Interesy Smolki załamały się w 1863 r., jak się zdaje, w następstwie niefortunnej gry na giełdzie. 31 sierpnia 1863 usiłował popełnić samobójstwo, podcinając sobie gardło brzytwą. Odratowany, z trudem podreperował swą sytuację materialną dzięki pomocy Włodzimierza Dzieduszyckiego. Spłacanie długów ciągnęło się długie lata, musiał też Smolka wyzbyć się majątków ziemskich.

Po wybuchu Powstania Styczniowego jeździł na zwiady do Wiednia, skąd przywiózł informację o przychylności cesarza dla Polaków, o szansach interwencji dyplomatycznej. Natomiast sprzeciwiał się organizowaniu w Galicji oddziałów partyzanckich i na tym tle wycofał się z „sapieżyńskiego” Komitetu. [...]

W Sejmie Galicyjskim Smolka poparł politykę ugodową Agenora Gołuchowskiego, ale domagał się rozszerzenia autonomii Galicji i przebudowy Austrii na zasadzie federalnej.

2 marca 1867 r. opowiedział się w Sejmie przeciwko rozszerzeniu uprawnień Rady Państwa i podjął walkę o przyznanie Polakom i Czechom wyodrębnienia takiego, jakie w dualistycznej monarchii w tym roku osiągnęli Węgrzy w nowej konstytucji. Ostrzegając Austrię przed grożącą jej zaborczością caratu; wskazywał, że monarchia tylko wtedy zdoła się uratować, jeśli sprawiedliwie rozwiąże własne problemy słowiańskie. Na Sejm Krajowy usiłował wyrzucić presję z pomocą lwowskiej ulicy.

W maju 1868 roku zawiązał Smolka we Lwowie Towarzystwo Narodowo-Demokratyczne (TND), przeciwdziałając tej części mieszczaństwa, która pod wodzą Floriana Ziemiałkowskiego godziła się na kompromis z Wiedniem bez oglądania się na los innych narodów. Poświęcił wiele swoich mów postulatowi rozszerzenia autonomii Galicji, również zabiegał o uprawnienia dla Czechów.

Po wielu latach zabiegów Smolki w 1870 r. Galicja otrzymała autonomię, która przyczyniła się do wybuchu polskich działań narodowych we Lwowie.

W 1869 r. Smolka zorganizował we Lwowie obchody 300-lecia Unii Lubelskiej i bezskutecznie wyciągał wtedy pojednawczą dłoń do Rusinów. Jednakże Rusinom obca była idea Unii Lubelskiej. Z jego inicjatywy usypany został „kopiec unijny” na Wysokim Zamku. Przechodził na ten cel sporą sumę i sam w ciągu wielu lat woził taczkami ziemię na tę stromą górę. Od 1861 roku był Smolka członkiem Rady Miejskiej miasta

Lwowa i przyczynił się do opracowania statutu gminy.

W 1871 roku po nadaniu autonomii Galicji przebrał w konkurencji z Ziemiałkowskim pierwsze wybory na burmistrza (prezydenta) Lwowa zaledwie paru głosami różnicy. Był radnym przez trzy kadencje (do 1879 roku), uczestniczył w pracach sekcji V ds. organizacyj-

nych i oświaty. Pozostał członkiem Wydziału Krajowego, co niekiedy kolidowało z jego posłowaniem do Wiednia.

Aktywnie zajmował się polityką, pisząc liczne artykuły. W 1881 r. wchodził w skład komitetu przygotowującego we Lwowie obchody 50. rocznicy Powstania Listopadowego.

Smolka powrócił do parlamentu w Wiedniu w ogólnych wyborach w 1879 roku i przyczynił się do pozyskania Czechów dla prawicowej koalicji, która wtedy doszła do władzy. Zaraz też obrany został pierwszym wiceprezydentem Izby, a 14 marca 1881 – prezydentem. Funkcję tę powierzano mu także w dwu następnych kadencjach, po wyborach w 1885 i 1891 roku. Z tego tytułu zdarzało mu się przewodniczyć i w delegacjach wspólnych, w Wiedniu lub Budapeszcie (1882, 1884, 1886). Współpracował z koalicyjnym rządem E. Taaffego, ale nie dawał sobie narzucać przez ministrów sposobu traktowania posłów z opozycji.

Zasłynął z biegłości w rozstrzyganiu kwestii proceduralnych i z dużym autorytetem poskramiał w Izbie ekscesy radykałów niemieckich i czeskich. Wyróżniany na przyjęciach u cesarza, zaszczycony godnością tajnego radcy, zaliczał się też Smolka (z ogromnymi wąsami i brodą, ubrany w szarawary i w rogatywce z barankiem) do popularnych sylwetek wiedeńskich. Zachował i po osiemdziesiątce pełną sprawność fizyczną i dość niechętnie dał się nakłonić Taaffemu do rezygnacji z prezydentury. Złożył mandat do Rady Państwa 2 marca 1893, a 1 kwietnia został mianowany dożywotnim członkiem Izby Panów, jednak w pracach już nie uczestniczył. U schyłku życia dotknął go bolesnie krach Galicyjskiej Kasy Oszczędności, z którą miał powiązania polityczne i rodzinne. Obywatelstwo honorowe przyznało mu kilkadziesiąt miast galicyjskich (m.in. Lwów w roku 1861), czeskich i chorwackich.

Zmarł 4 grudnia 1899 we Lwowie, pochowany został uroczyście na koszt władz krajowych na Cmentarzu Łyczakowskim. W *Tece Stańczyka* (1869) Smolka figuruje pod przewiskiem „Deaczek”, u Kazimierza Chłędowskiego (*Album fotograficzne*) jako „Arcykapłan”. W 1913 roku wystawiono mu we Lwowie pomnik według projektu Jana Juliana Nalborczyka, dłuta Tadeusza Błot-

dokończenie na s. 60

Pomnik Franciszka Smolki we Lwowie (nieistniejący)



Z Bolesławem i Wiesławem Opałkami

rozmawia Janusz M. Paluch

Proszę opowiedzieć, jak to naprawdę było na tej granicy, bo już zaczynają tworzyć się legendy – nie o wyjeździe rodziny Opalków do Lwowa, a o zajeździe Opalków na Lwów?

Bolesław Opalek: W ramach naszych spotkań rodzinnych – a były już trzy takie zjazdy – zorganizowaliśmy w roku 2005 wspólny wyjazd do Lwowa. Jedni byli tam po raz pierwszy, dla innych była to okazja do wspólnego odwiedzenia miejsc tak ważnych dla rodziny Opalków. Właściwie nie zdarzyło się nic szczególnego. Na granicy zameldowało się o s i e m n a s t u potomków naszego rodu, co wzbudziło niemałe zdziwienie i podejrzenie służb granicznych. Co brali do kontroli paszport, to Opalek! Nie ukrywali zaskoczenia, pewnie dokładniej sprawdzali paszporty, ale po wyjaśnieniach najazd Opalków na Lwów stał się dla nich naturalny i zaciekawienie zdominowało podejrzliwość. A Opalkowie szczęśliwie dotarli do swego ukochanego miasta. Zobaczyli najważniejsze dla nich miejsca i już w drodze powrotnej rozmawialiśmy o ponownym wspólnym wyjeździe.

Rozumiem, że zainteresowania historią rodziny nie są przypadkowe, pana ojciec – Mieczysław Opalek – był przecież jednym ze znanych lwowskich bibliofilów.

BO: Naturalnie, zainteresowania ojca nie mogły nie mieć wpływu na mnie. Zawsze interesowałem się Kresami, naszym pochodzeniem, historią, w której sam byłem zanurzony. Ale to dopiero mój syn jest tym jedynym kronikarzem rodziny, który dotarł

do chyba wszystkich informacji o Opalkach i zgromadził dokumenty rodzinne. W końcu opracował je i powstała swoista kronika Opalków. Nie zamierzamy tego materiału publikować, bo to przecież nasze rodzinne sprawy i zapotrzebowania na druk większej liczby egzemplarzy książek nie byłoby. Dla krewnych zrobimy kserokopie lub prześlemy im w formie zdigitalizowanej, na płycie CD.

Proszę zatem opowiedzieć o korzeniach swojej rodziny. Czy Opalkowie pochodzą z Lwowa?

BO: W tym miejscu muszę powołać się na książkę mojego ojca Mieczysława Opalka *O Lwowie i mojej młodości*. Opisał tam początki rodziny, dotarł do naszego lwowskiego protoplasty, Piotra. Ojciec przedstawia hipotezę, że Piotr przybył do Lwowa po upadku powstania kościuszkowskiego, na co niestety nie ma dokumentów. Swe domniemanie oparł na znanych sobie dokumentach pochodzących z Królestwa, w których występowało nazwisko Opalek. Pamiętajmy, że jest to okres, kiedy we Lwowie znalazło schronienie wielu, którzy w tym powstaniu uczestniczyli. Już z istniejących dokumentów wiemy, że Piotr ożenił się z Katarzyną Morawską. Z tego związku pochodziło jedyne dziecko. Był to Antoni, urodzony w 1811 r. Ojciec obala w swej książce wywody m.in. Ludwika Feigla, autora broszury *Sto let česko-ho života we Lwowe*, który przypisywał naszemu nazwisku korzenie czeskie. Ojciec



zarzucał mu zbyt pochopnie wyciągnięte wnioski z błędnych zapisów łacińskich i niemieckich.

Czy wiadomo czym zajmował się Piotr Opalek?

Wiesław Opalek: Z zapisków rodzinnych wynika, że Piotr pracował w szpitalu miejskim. Nie był lekarzem. W tamtych czasach szpital to był raczej rodzaj przytułku. W XIX wieku szpitali było bardzo mało, dopiero w II połowie XIX w. zwiększyła się liczba lekarzy i zaczęły powstawać szpitale. W tamtych czasach we Lwowie było wielu weteranów powstańców, inwalidów, a także zwykłych ludzi bez żadnej opieki. Czym w tym szpitalu zajmował się Piotr, nie wiadomo dokładnie. Czy był sanitariuszem, stróżem, a może portierem, nie można stwierdzić.

BO: Informacje o nim znalazł mój ojciec w szematyzmach miejskich.

To może o ich synu Antonim coś więcej wiadomo?

WO: O Antonim wiemy, że przerwał naukę w szkole i zaciągnął się do armii austriackiej, do artylerii. Służył 9 lat i 7 miesięcy! Trzeba pamiętać, że obowiązkowa służba w artylerii trwała wówczas 7 lat. Nie wiemy, co robił w wojsku ani gdzie stacjonował. Miał jednak szczęście, bo jego służba przypadła na okres, w którym Austria nie prowadziła żadnej wojny. Może dzięki temu przeżył i wrócił do Lwowa...

BO: Po powrocie podjął pracę w Urzędzie Miasta Lwowa, w miodosytni, ale później pełnił już funkcje urzędnicze. Ożenił się z córką kupca lwowskiego o niemieckich korzeniach, który nazywał się Piotr Veit, spolszczył nazwisko na Fait, dając swej córce Amalii polskie patriotyczne wychowanie. Antoni i Amalia prowadzili bliżej nieokreślone interesy. Zamieszkali w domu ojca Amalii, którego połowę odziedziczyli w spadku. Mieli jednego syna Józefa, czyli mojego dziadka, który urodził się w 1847 r. Odwiedzamy jego grób na Cmentarzu Łyczakowskim. Udało mi się odnaleźć ten grób i odnowić. Był bardzo zniszczony po tym, kiedy musieliśmy opuścić Lwów w 1944 r. Co prawda jego nagrobek obecni gospodarze przesunęli nieco, niszcząc przy okazji krzyż i rozbijając zdjęcie porcelanowe i napis na nagrobku, który był już prawie niewidoczny.

W tym miejscu jest pochowana również jego żona i moja najstarsza siostra, która zmarła w 1918 roku, oraz nowo narodzone dziecko mojego najstarszego brata. Były tam cztery groby, które zostały zniszczone przez obecnych gospodarzy.

Kim był Józef?

WO: Znowu był jedynakiem! Jako 16-letni chłopiec poszedł do powstania styczniowego. Walczył w oddziałach Leona Czachowskiego i Józefa Wysockiego. Brał udział w bitwie pod Radziwiłowem i pod Potokiem. Jest odnotowany przez Józefa Białynię-Chołdeckiego w księdze pamiątkowej powstania styczniowego (*Księga Pamiątkowa opracowana staraniem Komitetu Obywatelskiego w czterdziestą rocznicę powstania 1863 i 1864 r.*), wydanej w 1904 r. we Lwowie. Z powstania wrócił z braćmi swojej przyszłej żony Pauliny, Janem i Józefem Malcami. Nie byli jednak razem w tych samych oddziałach. Jan został złapany i wywieziony na Syberię. Wrócił stamtąd po kilku latach w stanie krytycznym i szybko zmarł w wieku 37 lat. Ten drugi, Józef, miał we Lwowie zakład produkujący garnki. Ciekawa pamiątka pochodząca z tamtych czasów to obraz. Przedstawia białego niedźwiedzia w koronie rosyjskich carów, pochylonego nad powaloną kobietą w gronostajowych szatach, która symbolizuje Polskę. Obraz pochodzi z rodziny Malców i jest w naszej rodzinie już od 140 lat! Obecnie wisi w domu kuzyna Witolda w Hamburgu.

Wiadomo kto go namalował?

BO: Nie, to raczej anonimowy autor. Wiadomo jednak, że kopia tego obrazu wisiła w ratuszu lwowskim. Mój syn, mając 2–3 lata, przebywając u dziadka Mieczysława w Rytrze – ojciec tam mieszkał kilka lat – spał w pokoju, w którym wisiał ten obraz. Budził się czasami w nocy z płaczem. Ale i potem mu się to zdarzało, cały czas miał przed oczami ten obraz. Bał się go.

Wróćmy jednak do dziejów Józefa i jego dzieci... Czym się zajmował po powrocie z powstania?

WO: Był nauczycielem, pracował w kilku lwowskich szkołach. W końcu został dyrektorem szkoły im. Szaszkiewiczza z ruskim językiem nauczania. To była filia szkoły św.

Anny. Dziadek Mieczysław był uczniem tej szkoły. Austriakom nie przeszkadzało, że pradziadek był powstańcem. Co ciekawe, Józef ukończył austriacki kurs oficerski, żeby kiedyś przydać się w wojsku polskim. Dostał stopień zawodowego porucznika, ale już mu się to nie przydało. Nie doczekał wolnej Polski. Zmarł młodo w 1896 r., miał zaledwie 50 lat. Jego żona Paulina przeżyła go trzynaście lat. Są razem pochowani. Mieli dziesięcioro dzieci. Pięcioro zmarło we wczesnym dzieciństwie; wtedy panowały różne zarazy, dwoje zmarło na szkarlatynę. Pięcioro dzieci przeżyło: Mieczysław – mój ojciec, Tadeusz, Józef Romuald, Stanisława i Antonina, która też młodo zmarła. Była nauczycielką. Wszyscy mieszkali we Lwowie. Dopiero okres I wojny światowej spowodował pierwsze rozproszenie się rodziny. W 1914 roku rodzina Mieczysława była na wakacjach w Bieczu. Ponieważ Lwów był wówczas zagrożony przez wojska rosyjskie, chcieli z Biecza oddalić się od Lwowa, od linii frontu i pojechać do Zakopanego. Tymczasem pociąg zamiast do Zakopanego został skierowany do Wiednia. Tym sposobem rodzina Mieczysława z trójką dzieci znalazła się w Wiedniu. Jak wrócili? Nie wiadomo. Babcia Waleria z dziećmi przyjechała do Krakowa, a następnie mieszkała w Nowym Sączu. Mieczysław Opalek trafił prawdopodobnie do Krakowa, gdzie wstąpił do Legionu Zachodniego. Jako niezdolny do służby frontowej rozkazem z 17 IX 1915 skierowany został do Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego w Piotrkowie, a później rozkazem Komendy Legionów z 24 XI 1917 r. przeniesiony został do Archiwum Wojskowego Legionów Polskich w Krakowie. Bliżej niesprecyzowany okres rodzina dziadka spędziła w Nowym Sączu. 16 lutego 1918 r. dziadek został internowany w obozie w Witkowicach pod Krakowem, skąd zwolniono go po rozwiązaniu Polskiego Korpusu Posiłkowego w marcu 1918. Po przebytej chorobie został skierowany do „lekkiej służby” – kierował akcją tworzenia „tarcz legionowych”, z których dochody obracano na zaopatrzenie legionistów – inwalidów.

Czy rodzina Opalków zaznaczyła swój udział w obronie Lwowa w latach 1918–1920?

BO: Tak, Mieczysław dość późno się włączył do tej obrony, bo 11 grudnia 1918 r.

Opowiadał, że będąc w artylerii brał udział w działaniach dalekosiężnych, poza Lwowem. Ale brat ojca, Józef Romuald, był zaangażowany bezpośrednio w obronę Lwowa. Był odznaczony Krzyżem Obrońców Lwowa i odznaką „Orląta”. Nie mamy jednak dokładnych informacji o jego udziale, ale w trzecim tomie wydawnictwa *Obrona Lwowa* widnieje jego nazwisko. Drugi brat ojca, Tadeusz, walczył w Legionach. Po wojnie przez długi czas przebywał w szpitalach, ponieważ w trakcie jednej z bitew stracił oko. Natomiast ważną osobą, która wyraźnie zaznaczyła swój udział w walkach o polski Lwów, był bratanek mojej babci ze strony mamy. Nazywał się por. Aleksander Zborzyl-Mirecki. Nazwisko Mirecki przybrał podczas obrony Lwowa. Spoczywa na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Był dowódcą plutonu zajmującego się działaniami przeciwko karabinom maszynowym. Są nawet informacje, że zdobył ich aż dwanaście. Został ranny pod Strymem i przewieziony do szpitala w mieście Szczercz, gdzie umarł w grudniu 1918 r. Odwiedzamy go zawsze na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Jest pochowany w kwaterze dowódców.

Porozmawiajmy teraz o Mieczysławie Opalku, kim był i czym się szczególnie zasłużył dla Lwowa.

BO: Ojciec był bibliofilem znanym i cenionym we Lwowie. Po wojnie znany był głównie jako autor książki *Ze wspomnień bibliofila*, wydanej w 1963 r. przez Ossolineum. Mieszkał wówczas w Nowym Sączu, gdzie zmarł w 1964 r. i tam jest pochowany. Edytowało ją Wydawnictwo Ossolineum w bardzo niskim nakładzie. Dlaczego o tym mówię? W latach 80., kiedy można już było pisać o Lwowie, Ossolineum zwróciło się do mnie z propozycją drugiego wydania tej książki. Oczywiście propozycję przyjąłem. Zaczęły się konkretnie rozmowy i ustalenia. Zaproponowałem dr. Andrzejowi Zielińskiemu, który prowadził dział pamiętnikarstwa w Ossolineum, poszerzenie tej książki o dodatkowe materiały, łącznie ze zmianą tytułu na *Ze wspomnień lwowskiego bibliofila*. Dodałem słowo „lwowskiego”, żeby to uszczegółwić, i zaproponowałem uzupełnienie tej książki o bibliofilskie druki lwowskie. Zapadła zgoda. Dołączyłem jeszcze poemę *O sławetnym zakonie bibliofilskim, tegoż orderach, tytułach*

poema napisane przez Mieczysława Opałka – Lwoczyka, którą ojciec wydrukował, tylko w 30 egzemplarzach, dla członków rady przy stowarzyszeniu bibliofilskim. Zaproponowałem także zmianę ikonografii. Dr Zieliński opracował też biografie lwowskich bibliotekarzy i ludzi związanych z książką, a oprócz tego zaproponował wydanie pamiętnika ojca, którego rękopis znajdował się w Ossolineum. Pamiętnik, obejmujący 20 pierwszych lat życia Mieczysława, do 1901 r., został wydany jako pierwszy w 1987 r. i nosi tytuł *O Lwowie i mojej młodości*. Tymczasem pan Andrzej Zieliński zachorował ciężko na serce, a Wydawnictwo Ossolineum zaczęło upadać. W związku z tym zwróciłem się do Ossolineum o przekazanie przygotowanych materiałów do książki ojca. Wydałem ją w Rzeszowie w 2001 r. Jedną z książek ojca wydali także Ukraińcy we Lwowie, bez mojej wiedzy i zgody. Kilkaście lat temu znajomy lwowianin mieszkający w Krakowie poinformował mnie, że będąc we Lwowie zauważył w księgarni nazwisko ojca na współcześnie wydanej książce *Na szczybatym lwowskim bruku*. Taki tytuł nadało książce *Obrazki z przeszłości Lwowa*, która ukazała się przed wojną w serii *Biblioteka Lwowska*, ukraińskie wydawnictwo „Piramida”. We wstępie napisanym przez Larisę Andrijewską wyczytałem, że autor pochodził z polsko-ukraińskiej rodziny lwowskiej, a w 1945 roku wyjechał w ramach Akcji Wisła i zamieszkał we Wrocławiu! Co za absurd! Napisałem natychmiast pismo do ambasady ukraińskiej w Warszawie, do ambasady polskiej w Kijowie i do konsulatu polskiego we Lwowie oraz do wydawnictwa „Piramida” z protestem i żądaniem zamieszczenia sprostowań. Poza tym zakwestionowałem wydanie książki bez mojej wiedzy i zgody, którą wydali niezgodnie z przepisami, które również Ukraina powinna przestrzegać. I okazuje się, przynajmniej w tym wypadku, przestrzega! Zażądałem sprostowania na łamach gazet lwowskich, zapłaty honorarium, zgodnie z prawami spadkowymi moimi i moich bratanków. Po trzech miesiącach dostałem z Wydawnictwa „Piramida” list z przeprosinami i wyjaśnieniami, że nie wiedzieli o rodzinie Mieczysława Opałka żyjącej w Polsce. Po jakimś czasie przesłano mi dwie gazety, na których łamach sprostowano wszystkie nieprawdy o moim

ojcu. Oprócz tego zwrócili się do wszystkich, którzy zakupili tę książkę, aby zgłosili się do redakcji wydawnictwa po odnośne sprostowania. Takie sprostowania zostały wklejone na ostatnich stronach w każdej niesprzedanej książce ojca. Zapłacili też należne tantiemy.

To bardzo profesjonalne i rzeczowe podejście Wydawnictwa „Piramida” do praw autorskich.

BO: Zachowali się z pełną kulturą, nawet życzenia świąteczne zawsze na pięknych drukach otrzymałem.

Czy pana dziadek zdradził tajemnicę swych bibliofilskich zainteresowań?

WO: Zagłębiając się w jego wspomnienia przeczytałem, że dziadek chodząc do szkoły mijał ulice, na których były antykwarjaty i sklepy bukinistów. Dlatego właśnie to go tak zainteresowało. W *Kronice rodzinnej* zapisałem: ... *od września 1893 roku, został prawdziwym gimnazjalistą w Gimnazjum Franciszka Józefa przy ulicy Batorego. Wówczas otworzył się przed Mieczysławem nowy świat. Kto wie, czy to nie ów przypadkowy w końcu wybór miejsca, codziennej trasy spowodował skutki uboczne, które z czasem stały się solą Jego życia.* Ulica Batorego obfitowała w sklepy z używanymi podręcznikami szkolnymi i, jak zauważył sam „zainfekowany”, mogła śmiało nosić nazwę ulicy Antykwarzy. Nazwiska, które w późniejszym obcowaniu z książką stały się najmilszym dźwiękiem: Jakub Bodek, Karol Clara, Aron Menkes, Stanisław Kohler, później Gorne, Rubin, Hölzel, Dawid Igel, Zygmunt Igel (ojciec Dawida) przewijały się w ważnych literackich pracach Dziadka Mieczysława z lat późniejszych – *Sto trzydzieści lat wśród książek* (Lwów 1928) czy sztandarowej – *Ze wspomnień bibliofila* (Wrocław 1960).

Z tego okresu i zainteresowań przyrodniczych (botanika była przedmiotem ulubionym) pochodzą pierwsze zbiory zielników robionych na potrzeby szkolne, ale też zatliła się pierwsza iskierka kolekcjonerska (choć dosadniej byłoby powiedzieć „manelarska”). Chorobliwe zbieractwo szpargałów „na pamiętkę” lub pod hasłem „bo to się może kiedyś przydać” obserwuję w naszej rodzinie od niepamiętnych czasów. Z kolekcjonerskiej pasji zbierania kluczy, klódek, kótek i prze-

różnych papierzysek zaczęły zapełniać się pierwsze półki załączka biblioteczeki. Dwunastoletni Miecio nie wiedział jeszcze, że oto zakochuje się w zadrukowanych stronicach na całe życie.

Mój pociąg do książek, tęsknota za nimi i żarliwe pragnienie ich posiadania rozwijały się w łączności z nauką języka polskiego, pod wpływem i działaniem profesora Hahna, który później ujawnił jako wybitny bibliograf wielkie własne zainteresowanie dla świata książki polskiej, owocującej urodzajnie w klimacie natchnień poetów i władców pięknego słowa, we wnikliwych dociekaniach badaczy, w konkluzjach ludzi nauki – pisał Dziadek w swojskim młodopolskim stylu. Ta fraszka wyjaśnia wybór życiowej drogi i życiowej pasji dziadka:

*... W mundurek gimnazjalny
Przyodzian, żak-jegomość,
Robiłem z mnóstwem książek
Najmilszą mi znajomość...*

A gdzie wtedy mieszkał?

WO: W tamtych młodzieńczych czasach na Placu Smolki. Jako 15-latek zapisano go do Seminarium Nauczycielskiego. W pewnym momencie wyrzucono go ze szkoły. Wcześniej z gimnazjum został „relegowany” za wagary i wstręt do języka greckiego, a później z seminarium przez – jak sam to określił – pewną lekkomyślność i płochość, a konkretnie „przez powab ócz pewnej Maniusi”, którą przedkładał ponad obowiązkowe zajęcia szkolne. Ale później wrócił. W czasie kiedy nie chodził do szkoły, zajmował się malowaniem obrazów, bo taki jakiś miał wówczas artystyczny okres w swoim życiu. Bardzo dużo czytał, chodził do Ossolineum do biblioteki, zapoznawał się z nowościami literackimi. A w Seminarium Nauczycielskim działała kółka uczniowskie, gdzie zetknął się z ludźmi, którzy interesowali się literaturą i książką. Taki był początek jego literackich zainteresowań. Wtedy też zaczęło się zbieranie książek, które weszło mu w krew na całe życie. Po ukończeniu seminarium, kiedy został nauczycielem, zaczął być już znany w świecie bibliofilskim i wśród młodych literatów. Pierwsze próby literackie nastąpiły za czasów seminaryjnych, a debiut na łamach „Tygodnika Narodowego” w listopadzie 1900 r. Później zaowocowało to znajomością z Franciszkiem Biesiadeckim i innymi

znymi postaciami kultury Lwowa. Należał też do grona założycieli w 1925 r. Towarzystwa Miłośników Książki we Lwowie, którego był sekretarzem. W jego gremium były takie postaci jak jego pierwszy prezes Jan Kasprowicz, poeta, profesor i rektor uniwersytetu lwowskiego, Jan Parandowski, wspomniany już Franciszek Biesiadecki, który został prezesem Towarzystwa po śmierci Kasprowicza, czy Rudolf Kotula – dyrektor Biblioteki Baworowskich.



Mieczysław Opatek i Franciszek Biesiadecki na lwowskiej ulicy, 1932 r.

BO: Pamiętam pana Biesiadeckiego, kiedy w latach 30. odwiedzał rodziców. W domu bywali też inni znani ludzie, jak pan Mękicki, pan Semkowicz – słynny we Lwowie introliigator, a zarazem bibliofil. Ojciec w 1936 r. został odznaczony Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury, a po wojnie odmówiono mu przyjęcia w poczet członków Związku Literatów Polskich.

Wróćmy do pisarstwa Mieczysława Opalka. Poezja towarzyszyła mu przez całe życie, skoro w 1945 roku powstał jakże piękny wiersz, czy realizowane w 1946 r. w Przeworsku spektakle teatralne dla dzieci. Były utwory wierszowane, bajki dla dzieci. Czy kiedykolwiek je opublikowano?

WO: Dziadek pisał utwory, które były wykorzystywane podczas uroczystości szkolnych. Były to wiersze patriotyczne, które mogły być wygłoszone przez uczniów z okazji święta 3 Maja, 11 Listopada, rocznicy śmierci Marszałka Piłsudskiego i inne tego rodzaju, jak *Wierszowane abecadło*. Tak więc trudno, by te utwory znalazły się w bibliografii dziadka.

BO: O Marszałku Piłsudskim ojciec pisał dużo. A *Wierszowane abecadło* napisał podczas okupacji niemieckiej. Wtedy nie było przecież żadnych dziecięcych książeczek wydawanych po polsku. *Wierszowane abecadło* zostało wydane w podziemiu,

w konspiracyjnej lwowskiej drukarni Kowalskiego.

Jeśli mowa o jego twórczości dla dzieci, to ojciec w Szkole im. Marii Magdaleny rozwinął teatrzyk szkolny i dla niego pisał różne utwory. Między innymi napisał taki utwór: *Był cudny dzień 3 Maja*. Występowaliśmy z tym nawet na deskach Teatru Wielkiego we Lwowie. Mnie zwykle przyznawano ważne role jako synowi dyrektora. Grałem tam zwiastuna, który się zjawiał w dworku szlacheckim i opowiadał o uchwaleniu Konstytucji 3 Maja. Było też takie ważne wydarzenie, już niepublikowane, ale ważne. W 1937 roku przyjechał do Lwowa minister oświaty Świątosławski i minister oświaty z Rumunii, profesor Konstanty Angelescu. Nasza szkoła, jako wzorcowa, została wytypowana do wizytacji przez ministrów. Ponieważ ojciec był dyrektorem, to ja zostałem przez niego wyznaczony do ich przywitania. I powitałem ich, najpierw Świątosławskiego w języku ojczystym, a dla tego rumuńskiego ministra napisano mi przemówienie po rumuńsku. Kilka zdań, ale wygłosiłem to po rumuńsku. Ten minister chyba pomyślał, że język polski jest podobny do rumuńskiego, bo na pewno mój rumuński nie był najlepszy, chociaż ten lektor zaznaczył mi wszystkie akcenty. Potem w nagrodę dostałem od kuratora Gadomskiego *Trylogię* Henryka Sienkiewicza z dedykacją: *Uczniowi klasy VII Bolesławowi Opałkowi za wygłoszenie pięknego przemówienia*. Tylko ta karta z dedykacją została z *Trylogii*, która przez lata używania rozsypała się.

Pana ojciec był ostatnim polskim dyrektorem Szkoły im. Marii Magdaleny we Lwowie?

BO: Tak, do początku 1940 roku. W styczniu, może lutym, za okupacji sowieckiej, został zwolniony. Ukraińiec został dyrektorem, ojciec został bez pracy. Bieda w domu była wielka. Sprzedawaliśmy wszystko, co było w domu: meble, dywany, kilimy, żeby w ogóle przeżyć. Z moich osobistych rzeczy sprzedany został zegarek otrzymany na chrzcie i rower. Do 1941 roku byliśmy strasznie wyniszczeni. Po wejściu Niemców wyjechaliśmy z mamą i siostrą do brata, do leśniczówki pod Przeworskiem. Byliśmy kompletnie zrujnowani finansowo, chcieliśmy także podratować nadwątlone zdrowie. Ojciec został we Lwowie, bo pil-

nował mieszkania i swego skarbu, którym była biblioteka. Pod koniec 1942 roku wróciliśmy do Lwowa.

Nie możemy w tej opowieści pominąć pańskich wspomnień lwowskich. Wszak urodził się pan i dorastał we Lwowie!

BO: Urodziłem się na Łyczakowie przy ulicy Piaskowej w 1925 roku. Przez 4 lata, od I do IV klasy, chodziłem do szkoły św. Antoniego, niedaleko domu. Między innymi moim kolegą z klasy był Zbyszek Herbert. I Jerzy Ragankiewicz – później znany lekarz w Świeradowie. W tym czasie, w 1934 roku, ojciec został dyrektorem szkoły im. Marii Magdaleny. Wcześniej był dyrektorem szkoły im. Piramowicza. Przystąpił jednak do konkursu na dyrektora szkoły Marii Magdaleny, który wygrał. Po 2–3 miesiącach przeniósł mnie do tej szkoły. Chodziłem tam przez dwa lata. Z tej szkoły pamiętam więcej kolegów: Leszek Sawicki – geolog, autor książki o poszukiwaniach geologicznych dla Wietnamu – mieszka we Wrocławiu, Witold Kowalenko, Jerzy Martula, Jan Darlewski, który był wykładowcą na Politechnice Gliwickiej. To niezapomniane dni... Potem byłem uczniem XII Gimnazjum przy ulicy Szumlańskich – Szeptyckich, dwa wejścia tam były. To daleko od domu, ale mój starszy brat Wiesław, który był dość niesfornym dzieckiem, w gimnazjach najbliższych naszemu miejscu zamieszkania wyrobił Opałkom dość kiepską opinię. Zresztą dyrektorem XII Gimnazjum był przyjaciel ojca, który miał mieć na nas oko, bo w końcu mój niesforny brat też w tym gimnazjum wylądował i je skończył. Ja do czasu przyjscia sowietów skończyłem dwie klasy. Gimnazjum zamienione zostało przez sowietów w XVIII Szkołę Średnią. Później przeniesiono ją do budynku przy ulicy Kordeckiego. Tam skończyłem szkołę średnią.

Proszę opowiedzieć o swojej znajomości ze Zbigniewem Herbertem. To przecież tak ważna postać dla polskiej kultury.

BO: Mieszkał na Łyczakowie, chodziliśmy do jednej klasy przez 4 lata, nawet się przyjaźniliśmy, bo on był raczej spokojny, podobnie jak ja. Kiedy przenieśli mnie do szkoły Marii Magdaleny, kontakt się urwał. Nie miał takich zainteresowań typowo chłopięcych, nie był skory do wybrków, był spo-

Mieczysław Opatk z żoną i dziećmi
w latach międzywojennych. Bolesław
Opatk u góry, pierwszy z lewej



kojny i stateczny. Mieszkał obok kościołka św. Antoniego przy ul. Małej, a wcześniej przy Łyczakowskiej 55. Tam jest teraz pamiątkowa tablica na kamienicy, w której on mieszkał. Odwiedzaliśmy się wzajemnie. Już wtedy myślamy błędził po Grecji, wokół starożytności i mitów. Dlatego jego późniejsza twórczość literacka była skierowana na Heladę. Byliśmy też razem w kółku ministrantów założonym przez naszego księdza katechetę Sokołowskiego przy kościele ss. Franciszkanek. Oprócz Herberta do tego kółka należał też Szolginia. Często się spotykaliśmy, bo ksiądz taki zwyczaj wprowadził, że dwunastu ministrantów służyło podczas mszy świętej lub nieszporów. Na temat Herberta rozmawiała ze mną pani Joanna Siedlecka, autorka znanej biografii Herberta *Pan od*

poezji. Wypożyczyłem jej nasze wspólne zdjęcie z kółka ministrantów przy kościele franciszkanek. Na szczęście zrobiłem sobie kserokopię, bo pani Siedlecka nie zwróciła mi oryginału mimo zobowiązania, że odda je natychmiast. Ale to zdjęcie zamieściła w książce, przytoczyła kilka moich wypowiedzi na temat Herberta i żeby mi wynagrodzić wypożyczenie zdjęcia, napisała pod nim: *Kółko ministrantów przy kościele sióstr franciszkanek we Lwowie. W szóstym rzędzie Zbigniew Herbert, a w drugim rzędzie Bolesław Opatk*. Książki mi nie przysłała, sam sobie ją kupiłem.

Pańska mama też pochodziła z Kresów?

BO: Była córką Karola Bednarskiego, lwowskiego drukarza. Skończyła konserwatorium muzyczne we Lwowie w klasie fortepianu. Nigdy jednak nie pracowała jako nauczycielka. Wyszła za męża, dzieci zaczęły przychodzić na świat. Tylko nas w domu

uczyła muzyki. Alina i Zbigniew grali doskonale, Ryszard był usprawiedliwiony – miał „przydeptane ucho”. Ja grałem, ale bardzo amatorsko. Chciałem grać, ale mama zaczęła mnie uczyć na podstawach Bajera, Różyckiego i innych dawnych nauczycieli. Mnie to nie odpowiadało, bo tam trzeba było zaczynać od żmudnych palcówek, a ja chciałem być wirtuozem fortepianu od razu. W końcu zostałem samoukiem i takie utwory jak *Warszawianka* czy inne patriotyczne melodie, bo takie mnie najbardziej pociągały, umiałem zagrać na fortepianie. Fortepian był w domu do czasów sowieckich. Wtedy trzeba było go sprzedać, żeby były pieniądze na chleb. Dopiero dwa lata temu odnalazłem grób ojca i mamy na Łyczakowie. Bardzo długo nie mogłem go znaleźć. Wcześniej był ogrodzony metalową balustradą, ale zlikwidowano ją albo skradziono i wywieziono na złom. Miejsce zabudowano ukraińskimi grobami i dlatego miałem trudności. Dwa lata temu wszedłem przy wejściu na Cmentarz do biura, w którym pracowały trzy urzędniczki. Jedna z nich, starsza pani Larisa, kiedy podałem nazwisko, powiedziała: znam pana rodzinę, mam nawet książki pana ojca. A kiedy powiedziałem, że szukam grobu dziadka Bednarskiego, od razu zaprowadziła mnie do niego.

Przypomniałem sobie wtedy, że przy płycie nagrobnej dziadka była jeszcze druga płyta, na której jest napisane: *Aniela z Jezierskich Bednarska*. To była matka mojego dziadka, czyli moja prababcia. Karol Bednarski pochodził z drukarskiej rodziny. Jego brat – Szczęsny Bednarski – był jeszcze bardziej znany w drukarskim świecie, ponieważ był właścicielem drukarni przy lwowskim Rynku i przewodniczącym gremium drukarzy we Lwowie oraz redaktorem pisma drukarskiego „Czcionka”. Po prawdzie miał na imię Feliks, ale zmienił imię na Szczęsny. Syn Szczęsnego, Roman Bednarski, także został drukarzem.

Czy we Lwowie pozostała jakaś panów rodzina?

BO: Nie, wszyscy wyjechali. Ja w 1944 roku musiałem po Akcji Burza szybko ze Lwowa uciekać. Od 1943 r., jak skończyłem 18 lat, byłem w Armii Krajowej. W lipcu 1944 r.,

jak sowieci doszli do Lwowa, ujawniliśmy się na rozkaz komendy i przez te parę dni próbowaliśmy jakąś działalność rozwijać. Krótko to trwało, bo jak przyszły frontowe oddziały NKWD, to natychmiast wszystko zostało zlikwidowane. Ja szybko wyjechałem do mojego brata, do leśniczówki koło Przeworska. Za jakiś czas dotarły tam oddziały lwowskie, idące na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Dołączyliśmy z kolegami i innymi w Grodzisku Dolnym i szliśmy na północ. Za Rudnikami zatrzymaliśmy się na nocleg. To był dość duży oddział, około trzystu ludzi, trzy kompanie. Tam zajęła nam drogę kawaleria sowiecka. I skończył się marsz na odsiecz Warszawie. Z tej obławy uszedłem cało, ale za jakiś czas trafiłem do więzienia w Rzeszowie. Ale to już zupełnie inna opowieść.

Jak wygląda współczesność rodu Opalków?

BO: Opalkowie rozjechali się po różnych miejscach. Brat ojca, Tadeusz, zamieszkał w Krakowie. Jako inwalida wojenny nie mógł podjąć pracy. Jego syn – Kazimierz – był profesorem, teoretykiem państwa i prawa, autorem wielu prac naukowych, w pewnym okresie prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zmarł w 1995 r. Drugi brat ojca – Romuald – zmarł w 1942 r. w Lublinie. Jego rodzina wyjechała do Białegostoku. Ale tam Opalków już nie ma, zmarli także jego synowie i córka. Jeszcze we Lwowie był z nimi luźny kontakt, ponieważ w ramach osadnictwa wojskowego stryj dostał majątek pod samą granicą. Mieszkał tam z rodziną, a ponieważ zajmował się budownictwem, często wyjeżdżał, a gospodarstwo prowadziła żona. Jego córka już tam się urodziła, a dwaj synowie jeszcze we Lwowie, gdzie skończyli też szkoły średnie. Później jeden studiował w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego, a drugi został w 1941 r. wzięty do wojska sowieckiego. Został wywieziony na Kaukaz. Jak zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka, jechał transportem na front. Pociąg został zbombardowany i on tam prawdopodobnie zginął.

WO: Ciotka Alina, siostra ojca, ukończyła szkołę zielarską. Pracowała później u pana Józefa Kusińskiego, który prowadził sklep zielarski, skup ziół, a przy okazji był czynnym działaczem AK we Lwowie.

BO: U niego składałem przysięgę w 1943 r. Był porucznikiem AK, został aresztowany przez Niemców, okrutnie maltretowany w więzieniach, paznokcie mu wrywano. Został potem przez rodzinę wykupiony. Pod jego nazwisko podstawiono jakieś zwłoki i pochowano tego kogoś pod jego nazwiskiem, a jego wykradziono ze szpitala gestapowskiego. Potem mieszkał w Rzeszowie, gdzie prowadził sklep zielarski, ale i tutaj jeszcze prowadził działalność konspiracyjną. Potem wyjechał do Krakowa, zajmował się cały czas zielarstwem. Potem przejął sklep jego syn.

WO: Utrzymywał też kontakt z ciotką Aliną, która dalej pracowała w zielarstwie. Ciotka nie wyszła za mąż, była z charakteru taką „harcerką”. Całe życie wędrowanie, góry. Często jeździłem z nią na wakacje i to były zawsze takie wakacje gdzieś w chałupach wiejskich, u chłopów, poziomki o świącie, grzyby.

BO: Mój ojciec miał nas pięcioro, czterech synów i jedną córkę. Moi bracia i siostra już nie żyją, ale są ich dzieci. Najstarszy brat Zbigniew miał trzech synów, jeden mieszka w Opolu, drugi w Łodzi, a trzeci w Hamburgu. Syn mojego drugiego brata – Ryszarda, mieszka w Nowym Sączu z dość liczną rodziną, bo jest ich tam dziesięć osób, a drugi syn Ryszarda mieszka pod Tarnowem. Wszyscy mają już swoje dzieci i wnuki. Trzeci, Wiesław, zmarł bezpotomnie. W tej chwili ród lwowskich Opalków liczy 32 osoby. Nie mamy jedynie kontaktu z córkami wspomnianego wyżej Kazimierza, które wyjechały z Krakowa, prawdopodobnie za granicę. Natomiast jesteśmy w bliskim kontakcie z rodzinami w Nowym Sączu, Łodzi i Hamburgu. Wszyscy pojawiają się na rodzinnych zjazdach organizowanych przez poszczególne „gniazda” Opalków.

A Pan urodził się w Rzeszowie?

WO: Tak, w 1951 roku. Na studia wyjechałem do Gdańska w 1970 r. Ciekawa sprawa, bo w Gdańsku często „ciągnęło mnie” pod pomnik Jana III Sobieskiego, o którym wiedziałem, że został przeniesiony ze Lwowa, a zainteresowanie łucznictwem ma tę dziwną paralelę, że Lwów to ważne miejsce dla polskiego łucznictwa. W 1931 roku odbyły się tam pierwsze Mistrzostwa

Świata oraz powołano do życia Międzynarodową Federację Łuczniczą.

Kiedy zaczął się Pan interesować tematami kresowymi?

WO: Zaczęło się od tego, że razem z bratem znaleźliśmy wszystkie piosenki lwowskie, których nauczyła nas mama, i lwowski „bałak”. Ona do Lwowa przyjechała z Zaleszczyk. Miała we Lwowie wuja, który jej powiedział, że jeśli chce być lwowianką, to musi znać wszystkie lwowskie piosenki, te batiańskie, uliczne. Nie interesowały nas zbytnio w wieku szkolnym sprawy historyczne i dokonania literackie dziadka, bo z tym mieliśmy kontakt co pewien czas, jeżdżąc do niego na wakacje. W końcu w 1974 r. był pierwszy kontakt ze Lwowem. Wracając z wczasów na Węgrzech, pojechaliśmy rodzinnie do Lwowa. Wtedy szybko obeszliliśmy centrum, katedrę, Cmentarz Łyczakowski, zburzony wówczas jeszcze Cmentarz Orłąt. Pamiętam, że duże wrażenie zrobił na mnie kościół św. Elżbiety, pusty, ogołocony ze wszystkiego i te wyjeżdżające z niego ciężarówki. Bo tam był skład mebli. Później jeździłem do Lwowa co rok, bo z racji łuczniczych zainteresowań mieliśmy kontakt z lwowskim klubem łuczniczym z Akademii Medycznej. Wtedy miałem czas, żeby samemu poznać Lwów. Ale wtedy odczułem, że brak mi historycznego zaplecza, tej wiedzy, którą posiadał dziadek, ojciec. Kiedy pojechaliśmy do Lwowa na zjazd rodzinny, ojciec chciał nam wszystko pokazać. Moi kuzyni nie znali Lwowa, chociaż dwóch tam się jeszcze urodziło, ale nie byli tam od czasów wojny. I miasto tak nam utkwilo w głowach, że w rozmowach wciąż do niego wracaliśmy. Kuzyn z Łodzi, który jest budowniczym mostów i bardzo interesuje się architekturą, powiedział, że on tam musi jeździć. A ja zacząłem trochę szperać w papierach rodzinnych. Ojciec ma bibliotekę lwowską bardzo bogatą, w związku z tym miałem co czytać. Szybko zorientowałem się, że tak jak ja przespałem dziadka i wiele szczegółów z życia mamy i ojca z tamtych czasów, bo w tej chwili ojciec może już wiele szczegółów nie pamiętać, to moje dzieci nie będą już nic z tej rodzinnej historii wiedziały, nie wspominając o wnukach! Postanowiłem zatem całą wiedzę o Opałkach pozbierać i napisać historię naszej rodziny.

Serdecznie dziękuję Panom za rozmowę

Archiwum



Gimnazjaliści na ulicy Batorego

Na zdjęciu z 1934 r. grono profesorskie 3. Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie.

W zaborze austriackim we Lwowie istniały w 1. połowie XIX w. 2 gimnazja z niemieckim językiem wykładowym. Z czasem zachodziła konieczność zwiększenia liczby gimnazjów. Wykorzystując ruchy narodowościowe – Wiosnę Ludów i wstąpienie na tron w roku 1848 cesarza Franciszka Józefa – nowy namiestnik Galicji, hr. Agenor Gołuchowski wystąpił o otwarcie we Lwowie trzeciego gimnazjum, z polskim językiem wykładowym. Aby łatwiej osiągnąć ten cel, zaproponował nazwać to gimnazjum imieniem cesarza Franciszka Józefa. Po długich staraniach, w roku szkolnym 1857/58 rozpoczęło ono działalność. 14 września 1876 r. nastąpiło poświęcenie nowego gmachu przy późniejszej ulicy Batorego. Gmach na owe czasy był bardzo nowoczesny i przystosowany do potrzeb gimnazjum. Na froncie niszę filarów międzyokiennych na wysokości II piętra zdobyły posagi: Kopernika, Mickiewicza, Czackiego, Ossolińskiego, Śniadeckiego, Długosza. Budynek ten wybudowała gmina miasta Lwowa na terenie dawnego klasztoru i kościoła Karmelitów Trzewiczkowych. Klasztor został ograbiony podczas najazdów Chmielnickiego w 1648 i 1655 r., a kościół i częściowo zabudowania klasztorne zostały zniszczone podczas najazdu Szwedów. W roku 1780 dokonano kasacji zakonu, a w zabudowaniach klasztornych urządzono stajnię i ujeżdżalnię dla koni, później był tam szynk, a w końcu więzienie. Resztki kościoła usunięto w roku 1870 i wybudowano na tym miejscu gimnazjum.

Wykorzystano materiał z „Naszego Dziennika”, 26 V 2004

W Lublinie ukazują się nieznanymi nam dotąd *magazyn historyczny* pt. „Militaria”, poświęcony – jak nazwa wskazuje – wojskowości, broni, mundurom, walkom itd. Otrzymałmy od naszego Czytelnika numer 1/2010 (13), na którego okładce w tle widnieje... lwowski kościół Bernardynów, a na pierwszym planie kolumna czołgów.

Blizsze zapoznanie się z wydaniem pokazuje, iż jednym z głównych w nim materiałów stanowi 8-stronicowy fotoreportaż z defilady wojskowej na ulicach Lwowa, ale nazwa naszego Miasta nie pada ani razu. Czytamy: ■ *Album Ryszarda Kryjaka i Jerzego Tyrakowskiego* ■ *Wojsko Polskie 1938–1939. Zdjęcia Bolesława Kryjaka po raz pierwszy publikowane. Cz. I. Ani słowa pod żadną z 42 fotografii.*

Korzystając więc z okazji pozwalamy sobie pokazać naszym Czytelnikom kilka zdjęć ze wspomnianego pisma, a czytelnikom tego pisma wyjaśnić, co to za wielkie miasto jest scenerią owej defilady.

W numerze można ponadto przeczytać o sowieckiej broni, o armii Mussoliniego, o szkoleniu armii amerykańskiej, o Polakach, którzy z armią USA lądowali na Omaha Beach i parę innych ciekawych tematów. Ponadto czekamy na część II z albumu R. Kryjaka. Może więc warto nabyć następny numer „Militariów”? A Redaktorów prosimy, by polskiego Lwowa i Wilna nie zastaniali.



Józef Juzwa

HISTORIA RODZINY JUZWÓW

*Na podstawie materiałów archiwalnych dra
Józefa Juzwy opracowała i przygotowała do
druku Marta Walczewska*

Zafascynowana opowieścią moich lwowskich znajomych – pań Ireny i Jadwigi Zappe, spisałam opowiedzianą przez nie historię ich rodziny w „Cracovia–Leopolis” 1/2010. Po ukazaniu się tego artykułu nasza redakcja otrzymała list od pana dra Józefa Juzwy, spokrewnionego z rodziną Zappe.

Pan dr Juzwa (ur. 1922), dr nauk medycznych i muzyk, senior rodziny, od lat zbiera materiały i dokumenty dotyczące swojej rodziny. Nie zamierzał ich publikować, ale po przeczytaniu opowieści swoich krewnych, pań Zappe, zdecydował się udostępnić naszej redakcji swoje archiwum. A jest to wspaniały zbiór dokumentów, sięgający połowy XIX wieku, i zdjęcia kilku pokoleń Juzwów. Po zapoznaniu się z tym materiałem widzę pewne niedokładności w uzyskanych wcześniej wiadomościach¹.

Protoplasta rodu nie nazywał się Jaźwiński (jak wynikało z poprzedniego artykułu), lecz prawdopodobnie Michał Kowalski (1821–1909). Pochodził z Łuki koło Kamieńca Podolskiego. Pracował prawdopodobnie w majątku hrabiego Pinińskiego. Za udział w powstaniu styczniowym, lub innym zrywie narodowym, został uwięziony w twierdzy w Kamieńcu Podolskim i skazany na Sybir. Udało mu się uciec, ale głowa w połowie ogolona zdradzała zesłańca. Schronił się u swego stryja, ks. Jaźwińskiego w Płoskirowie na Podolu. Pradziad Michał Kowalski z pomocą Księdza przedostał się z zaboru rosyjskiego do austriackiego i tam podjął pracę. Złapany przez żandarmów jako człowiek bez dokumentów, został osa-

dzony w więzieniu w Tarnopolu. Zwolniono go dzięki interwencji hr. Pinińskiego, który opiekował się zbiegami z zaboru rosyjskiego. Nie znając więźnia, po wejściu do celi powiedział: *I ty tu Juzwa?* Poręczył za niego jako za swego pracownika galicyjskiego i wyprowadził na wolność. Tak pradziadek po przedostaniu się do Galicji zmienił nazwisko na Józef Juzwa.

Wieś Leżanówka koło Grzymałowa stała się miejscem, w którym osiadł. Tam przyjechała do niego żona z dziećmi, przeprawiając się przez Zbrucz po zlikwidowaniu dobytku w Łuce.

Józef Juzwa miał czterech synów i dwie córki. Synowie – od późniejszego miejsca zamieszkania – utworzyli linie: Stanisław – linię zaleszczycką, Antoni – linię leżanowską, Szymon – linię samborską, Ignacy – linię białską (Biała Krakowska). Córki: Anna Zagrodna osiadła w Kałach koło Tłustego, a Maria Krzyśków – w Bucykach koło Grzymałowa.

Najstarszy Stanisław został nauczycielem, osiadł w Zaleszczykach. Jego córka Janina wyszła za mąż za Alojzego Zappe, który ukończył prawo na Uniwersytecie Franciszka Józefa we Lwowie. Znamy już dramatyczne dzieje tej gałęzi rodziny – ich siedmiorga dzieci. Podziwiamy dwie córki – Irenę i Jadwigę, które nie opuściły kochanego Lwowa. Tysiące dzieci przewinęło się przez ich mieszkanie przy ulicy Potockiego 30. Obie siostry uczyły je religii i historii Polski, przygotowywały do Pierwszej Komunii Świętej. Ich dom stał się azylem dla Sługi Bożego ks. Serafina Kaszuby, kapucyna, apostoła Wołynia, Syberii i Kazachstanu. Ks. Kaszuba przez 19 lat przemierzał Rosję sowiecką różnymi środkami lokomocji, nie zważając na grożące mu konsekwencje. Nie miał zezwolenia na zameldowanie. Za „włóczęgostwo” wielokrotnie aresztowany, chory, wracał do Lwowa, gdzie był serdecznie goszczony w przyjaznym, religijnym domu Zappów. Do nich zmierzał deszczowego wieczoru 19 września 1977 r. Starsza kobieta ostrzegła go, że jest tam teraz rewizja. Zabrała księdza do siebie. Tej nocy ojciec Serafin zmarł.

Synem Stanisława, a wnukiem Józefa był Alojzy Juzwa, ożeniony z Janiną Niemętowską – wnuczką Michaliny de Lacy, pochodzącej z wielkiego rodu irlandzkiego.

Mieli czworo dzieci: Marię (1918), Andrzeja (1919), Józefa (1922) i Kazimierza (1932)².

Michalina de Lacy, córka zarządcy lasów państwowych, wyszła za mąż za Aleksandra Niemętowskiego. Była wnuczką lub prawnuczką Maurycygo – generała na dworze carycy Katarzyny II. Otrzymał on od niej majątek Augustówek k. Grodna. Siostra generała – Lady Mary i Tarence O'Brien mieli syna Patryka O'Briena de Lacy, który przejął majątek po swoim wuju – generale. W Warszawie zmarł w 1978 roku Maurycy O'Brien de Lacy w wieku 87 lat, uczestnik walk o niepodległość Polski, były prezydent miasta Grodna. O'Brien de Lacy weszli do naszej historii jako wybitni obywatele i żołnierze.

Dziadkowie Janiny – Niemętowscy mieli 6 dzieci. Najstarszy syn Alfred Hermann (ur. 1856), aptekarz, był ostatnim potomkiem generała Maurycygo de Lacy, w którego dokumentach figuruje to nazwisko. Alfred Hermann Niemętowski ożenił się z Marią Sabiną Godlewską. Po jej ojcu Gracjanie Godlewskim herbu Gozdawa zachowała się pamiątka – modlitewnik, oprawiony w skórę, własnoręcznie napisany przez Gracjana w 1848 roku. Brat Gracjana Wiktor Godlewski brał udział w powstaniu styczniowym jako Delegat Rządu Narodowego na Podlasie. Po upadku powstania został skazany na katorgę w głębi Rosji. Tam był najbliższym współpracownikiem „odkrywcą Bajkału” – Benedykta Dybowskiego. W 1930 roku Benedykt Dybowski, już jako profesor Uniwersytetu Lwowskiego, wydał swoje pamiętniki z zesłania i w nich wspominał swego przyjaciela – Wiktora Godlewskiego. Matka Marii Sabin z Godlewskich Niemętowskiej pochodziła z Nowińskich. Jej stryj, czy stryj ojca – Tomasz Nowiński herbu Nowina, był ostatnim generałem zakonu Bożogrobców Miechowskich (przed kasatą zakonu przez carat) oraz biskupem biblijnym (1746–1830). Grób jego znajduje się w Miechowie. Jego portret jest przechowywany w rodzinie.

W czasie II wojny światowej, gdy wschodnia część Polski znalazła się pod okupacją sowiecką, we Lwowie rodzeństwo Zappe – Jan, Stanisław, Irena i Jędrzej – walczyli w Armii Krajowej. W Zaleszczykach rodzina Juzwów włączyła się w działalność konspiracyjną. Już 17 września 1939 roku została tam zaprzyszona Tajna Organizacja Wojskowa pod kryptonimem KAWON (Konspiracyjna Akcja w Obronie Narodu) pod dowództwem majora Mazurkiewicza ze Stanisławowa. Głównym zadaniem organizacji była pomoc uchodźcom z Polski w przedostawianiu się do Rumunii. Trasy prowadziły przez Dniestr. Mosty były strzeżone przez wojsko.

17-letni wówczas Józef Juzwa włączył się w działalność konspiracyjną. W czasie sowieckiej okupacji zdał maturę. W 1942 roku rozpoczął studia medyczne. Działał w Armii Krajowej. Zastępował organistę w kościele Marii Magdaleny we Lwowie. Po 1945 roku podjął studia muzykologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem dalsze studia medyczne. Osiedł w Bytomiu, gdzie pracował jako lekarz i nadal grywał na organach. W 1980 roku organizował „Solidarność” w szpitalu bytomskim. Był inspiratorem spotkań dawnych mieszkańców Zaleszczyk. Wielokrotnie publikowaliśmy w naszym piśmie jego prace na temat „małej ojczyzny”.

Z jego archiwalnych zbiorów powstało to opracowanie.

Zapoczątkowana przez pradziada – powstańca walka o Polskę została podjęta przez następne pokolenia patriotycznej rodziny. Walkę podjęli wnukowie. Andrzej (linia zaleszczycka) wcielony do armii austriackiej, będąc na froncie włoskim dostał się do niewoli, skąd wstąpił do armii gen. Hallera we Francji. Stefan (linia leżanowska), porucznik armii



Józef Juzwa, protoplasta rodu (1821–1909)

Stanisław Juzwa (syn Józefa) z wnucami, Zaleszczyki 1934



austriackiej, przeszedł do II Armii Polskiej, gdzie był dowódcą Miasta i Placu Armii w miejscu postoju Głównej Kwatery Naczelnego Wodza w Kowlu, Chełmie, Lublinie, Siedlcach, Białymstoku, Grodnie i Lidzie. Po wojnie był działaczem harcerstwa i Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Tarnopolu. Jego młodszy brat Stanisław był w Legionach. Zygmunt (linia samborska), porucznik Legionów, po wojnie został w czynnej służbie wojskowej w randze pułkownika w Ministerstwie Spraw Wojskowych; internowany przez Niemców w oflagu. Jego młodszy brat Jan – oficer 15 pułku piechoty w Katowicach, internowany w oflagu przy granicy belgijskiej, pozostał na Zachodzie.

Następne pokolenie nie pozostało obojętne wobec zagrożenia Ojczyzny. 17 września 1939 r. Andrzej Juzwa – student Uniwersytetu Stefana Batorego, wyruszył z kolegami z Wilna przez Łotwę, Szwecję, Anglię do tworzącej się we Francji Armii Polskiej. W tym samym dniu 17 września w Zaleszczykach został zaprzysiężony Karol Zieliński w Tajnej Organizacji Wojskowej. Później stali się oni żołnierzami Armii Krajowej. We Lwowie Irena, Jadwiga, Jan i Stanisław Zapowie oraz w Stołpcach Stanisław Juzwa – wstąpili do Armii Krajowej. W powstaniu warszawskim wzięli udział „Kolumbowie” z linii samborskiej i zaleszczyckiej. Ofiarą wojny była Maria Zappe, aresztowana i wywieziona na Sybir po wkroczeniu Sowietów do Lwowa w 1939 r. W Tarnopolu aresztowano Stefana Juzwę (linia leżanowska), a jego żonę i córkę wywieziono w głąb Rosji. Jego syn walczył pod Monte Cassino. Leopold Juzwa z rodziną został wywieziony na Sybir, skąd powrócił po 6 latach. Jego żona zmarła w drodze powrotnej w Jakucku. Antoni Juzwa (ur. 1916) zginął w Oświęcimiu. Maria Juzwa (ur. 1923) zginęła w powstaniu warszawskim, jej brat Stefan (ur. 1925) – kadet z Rawicza – w obozie zagłady Flossenbürg. Po wkroczeniu Sowietów do Polski w 1944 r. – w walkach nad Odrą zginął Stanisław Juzwa (ur. 1922).

W Leżanówce – mateczniku Juzwów – z rąk niejednokrotnie sąsiadów zginęli zamordowani w lipcu 1941 roku – rodzina Gumiennych i 2 dziewczynki, córki Zappów, we wrześniu '44 – Michał, Anna i Katarzyna

dokończenie na s. 47

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BUDZANÓW

Miasteczko w pow. trembowelskim, wojew. tarnopolskim, położone nad rzeką Seret. Własność pierwotnie Budzanowskich, w XVIII w. Chodorowskich, którzy wzniesli tu zamek obronny. Kolejnymi właścicielami byli Sieneńscy, potem Lewczyńscy. Twierdza wielokrotnie atakowana przez Kozaków, najbardziej ucierpiała w latach 1648 i 1651. Odnowiona przez Tomasza Łużeckiego, nie oparła się atakom Turków w 1672 i 1675 r., doprowadzających miasteczko do spustoszenia i wyludnienia. Ok. połowy XVIII w. właścicielem miasteczka stał się Stanisław Szczuka, zarazem właściciel Biłgoraja na Mazowszu, skąd sprowadził tu rękodzielników, ustanawiając pięć cechów: szewski, garncarski, rzeźnicki, kuśnierski i sitarski.

Ruinę twierdzy przejął z pocz. XIX w. Kościół dla ss. Miłosierdzia, które założyły tu kościół i klasztor, zniszczone ponownie w czasie I wojny światowej. Obecnie ma tu powstać szpital.

TARNOPOL (2)

[omówienie podstawowe w CL 1/98 oraz w CL 1/04, poświęconym w większości Tarnopolowi i miejscowościom Ziemi Tarnopolskiej]

W 1820 r. Tarnopol liczył 11 tys. ludności, zaś po 70 latach było już 26 tys. mieszkańców. Prawie połowę stanowili Żydzi, którzy handlowali bydłem, końmi, zbożem, drobiem, woskiem, skórami, sprzedawali towary mieszane, materiały ubraniowe, a głównie okowitę, rozpijając ludność.

Przed II wojną światową Tarnopol liczył ok. 40 tys. ludności, z czego połowę stanowili Polacy, 40% Żydzi, resztę Ukraińcy.

Do dalszego wzrostu i rozkwitu miasta przyczynił się dekret cesarski z 1845 r., na mocy którego Tarnopol otrzymał status miasta królewskiego, a po reformie administracyjnej przeprowadzonej w 1867 r. stał się siedzibą powiatu. Po wybudowaniu bitych gościńców do Zborowa i Lwowa, Zbaraża, Mikuliniec i Trembowli, Skalatu i Podwołoczysk oraz po wybudowaniu linii kolejowej z Krasnego do Podwołoczysk, zwanej Koleją Karola Ludwika, Tarnopol stał się jednym z największych miast w ówczesnej wschodniej Galicji.

Tadeusz Józków

O RODZINIE Z HUSIATYŃSKIEGO PODOLA – CIĄG DALSZY

W CL 4/09 przedstawiliśmy wspomnienie pana Tadeusza Józków*, zamieszkałego w Miliczu, o sobie i swojej rodzinie, o miejscach, z których pochodzili i w którym znaleźli się po ekspatriacji. Obecnie Pan Tadeusz przekazuje nam dalszy ciąg rodzinnej historii – czasy współczesne, co też dla nas ciekawe – a także relację z kolejnego zjazdu rodziny.

POWOJENNE LOSY OSADNICTWA WOJSKOWEGO RODZINY JÓŻKÓW / JUŻKÓW W LATACH 1945–47 w Dłużewie-Czernicy

Pierwszymi osadnikami wojskowymi w Dłużewie byli zdemobilizowani żołnierze 29 pp z Jeleniej Góry, a wśród nich Szczepan Józków, najstarszy żołnierz II wojny światowej z naszej rodziny. Natomiast najmłodsi żołnierze to urodzeni w 1926 roku Jan Józków, syn Szczepana z Chorostkowa, i Stanisław Józków, syn Michała z Chłopówki koło Chorostkowa; do dziś mieszka w Czernicy.

Kolejnymi osadnikami wojskowymi z rodziny Józków w Dłużewie-Czernicy byli Franciszek Józków (mój ojciec) i jego młodszy brat Stanisław. Ojciec, za namową swojego stryjecznego stryja Szczepana Józków

wraz z młodszym bratem, zamieszkał tam w listopadzie 1945 r. i rozpoczął poszukiwanie swojej rodziny. Odnalazł nas pod koniec listopada 1945 r. w Ilwie (obecnie Iłowa, pow. Żagań), bo tam został skierowany nasz transport z Chorostkowa, który przekroczył polajtańską granicę w listopadzie 1945 r. Wraz z nami tym transportem jechali: Maria Postrzelona – ojca siostra, Krystyna i Wojciech Józków – ojca najmłodszy brat, który do naszego transportu dołączył w Rybniku na Górnym Śląsku, oraz rodzice Krystyny – Anna i Michał Soroka, którzy do Dłużewa-Czernicy przyjechali dopiero na przełomie lipca i sierpnia w 1946 roku.

Wiosną 1946 r. do Dłużewa-Czernicy przyjechali z Chorostkowa i Chłopówki ojca najstarszy brat Teodor, ale wcześniej jego najstarszy syn Piotr, który zajął rodzicom poniemieckie gospodarstwo. Pozostali z rodziny Józków zamieszkali w Czernicy – to Józefa Józków, rodzina Pawła Józków – wszyscy z Chrostkowa, oraz Maria Józków – wdowa po Michale z Chłopówki.

Najmłodsi żołnierze z rodziny Józków po wojnie jeszcze pozostali w wojsku i zostali zdemobilizowani w 1946 r. – Jan Józków, s. Szczepana, a w 1947 r. Piotr Józków,

Nasze rodziny

dokończenie ze s. 47

Juzwowie, w lutym '44 – Franciszek i Anna Juzwowie, w maju '45 – w Bucykach – Władysław Mróz.

Warto sięgnąć do starszych numerów „Cracovia–Leopolis”³, w których dr Juzwa opisuje pierwsze dni wojny w Zaleszczykach. Jako 17-letni młodzieniec brał czynny udział w wydarzeniach, które spowodowała wojna. Jego dom rodzinny stał się we wrześniu 1939 r. miejscem schronienia dla dostojników kościelnych – kardynała Augusta Hlonda, któremu towarzyszył kapelan – ks. Baraniak (później arcybiskup poznański) i sekretarz – ks. Filipiak (późniejszy kar-

dynał). Ten dom Juzwów stanowił wojenną nuncjaturę.

O losach zaleszczyckiego Kościoła pisze obszerniej Józef Juzwa w swoim opracowaniu pt. *Ostatni proboszcz zaleszczycki i dziekan jazłowiecki* – ks. Andrzej Urbański.

Udokumentowane losy rodziny Juzwów są przykładem zaangażowania Polaków ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej w dramatyczne wydarzenia historii Polski XIX i XX wieku.

¹ O zasługach sióstr Zappe pisano już w „Gościu Niedzielnym” z VII'08, w „Życiu” z XII'98 oraz w „Mojej Rodzinie” z I'09.

² Zob. CL 2/04 i 1/07.

³ CL 1/02, 2/02.

Msza św. podczas VI Zjazdu Rodziny Józków / Juzków w Czernicy. Na pierwszym planie ks. Z. Pędziwiatr, w głębi po lewej ks. kanonik Józef Józków, po prawej ks. prałat Władysław Józków



- ▶ s. Pawła, oraz Stanisław Józków s. Michała z Chłopówki – saper, w czasie wojny służył w plutonie zwiadu saperskiego; dla niego wojna rozpoczęła się na dobre po 8 maja 1945 roku, bowiem na wojnę poszedł w maju 1944 r., a od maja 1945 do marca 1947 r. był na rozminowywaniu (rocznik 1926). Wszyscy po zdemobilizowaniu zamieszkali w Dłużewie-Czernicy.

ZJAZD RODZINY JÓŻKÓW / JUŻKÓW W CZERNICY KOŁO JELENIEJ GÓRY

Pan Tadeusz Józków z Milicza opowiada o kolejnym, VI Zjeździe Rodziny Józków / Juzków. Spotkanie rodzinne odbyło się w czerwcu 2010 r. w Czernicy koło Jeleniej Góry. Organizatorami byli Elżbieta i Jan Józków, a także Elżbieta z domu Józków i Darek Matubowscy oraz Władysław Juzków. Jan, Elżbieta i Władysław, urodzeni i wychowani w Czernicy, to rodzeństwo; ich rodzice to Julia Maślanka rodem z Trembowli i Piotr Józków z Chorostkowa w powiecie Kopyczyńce. W tym miejscu należy podkreślić, że zjazd organizowali członkowie rodziny z młodszego pokolenia, co jest wyrazem chwalebego kontynuowania tradycji rodzinnych, a także głębokiego przywiązania do swych korzeni.

A oto relacja Pana Tadeusza:

Zjazd Rodziny Józków / Juzków rozpoczął się mszą św. w kościele parafialnym pw. św. Michała Archanioła w Czernicy w sobotę 26 czerwca 2010 r. Mszę św. prowadził stryjeczny stryj ks. prałat Władysław Józków, a w posłudze asystowali ks. Zbigniew Pędziwiatr – proboszcz tejże parafii, i ks. Józef Juzków, bratanek ks. stryja Władysława Józków. Po mszy św., w której uczestniczyło około 100 osób (w zjeździe brało udział około 90), udaliśmy się na cmentarz parafialny w Czernicy, gdzie obaj księża z naszej rodziny odprawili nabożeństwo żałobne za zmarłych z naszej rodziny oraz pierwszych osadników

W 1914 r., przed wybuchem I wojny światowej, Tarnopol liczył 35 tys. mieszkańców. W 1921 r. zostało utworzone województwo tarnopolskie. Miasto w okresie międzywojennym znacznie się rozbudowało i mimo wielkich wojennych strat w ludzich w 1939 r. Tarnopol osiągnął liczbę 40 tys. mieszkańców oraz obejmował powierzchnię ponad 4300 ha, z czego 800 ha obszar zabudowany.

Zajmowana przez zabudowę powierzchnia od początku istnienia miasta sukcesywnie rosła. Obszary te, w pierw traktowane jako przedmieścia skupione wzdłuż tras wylotowych z miasta, w miarę wzrostu ich zaludnienia otrzymywały charakter i nazwy dzielnic. Tak powstały: Śródmieście, Parkowa (Zbarska), Zarudzie, Mikuliniecka, Podole, Zagrobelą oraz Gaje (w tym: Wielkie, Czumakowe, Szlachcinieckie, Greczyńskie, Chodorówka i Pasieki).

Dzielnice Tarnopola

ŚRÓDMIEŚCIE

Najstarszą dzielnicą było Stare Miasto, które było okolonie – licząc od grobli na Serecie – najpierw brzegiem stawu, a następnie ul. Sienkiewicza; dalej, od wschodu nasypem i stacją kolejową oraz ulicami: Jana Tarnowskiego, Ruską i Lwowską, aż do grobli. Ze Śródmieścia, stanowiącego centrum Tarnopola, rozchodziły się wylotowe drogi: przez Zagrobelę na zach. do Brzeżan oraz przez Zborów i Złoczów do Lwowa; na pn. do Brodów; na wsch. do Białej i dalej do Podwołoczysk oraz do Zbaraża i Krzemieńca, na pd. zaś do Trembowli i Stanisławowa. W dzielnicy tej mieściły się: siedziba właścicieli grodu – zamek wybudowany przez Jana Tarnowskiego, pełniący niegdyś funkcję obronną, później reprezentacyjną; budynki administracji wojewódzkiej i miejskiej; obiekty sakralne: kościoły, cerkwie i bożnice, klasztory oo. Dominikanów i Jezuitów, obiekty edukacyjne: szkoły powszechne, gimnazja koedukacyjne państwowe i prywatne, gimnazjum żeńskie; sądy okręgowe i grodzki; kina, budynki zakładów usługowych, szpitala wojskowego, koszary i gmach dowództwa dywizji oraz kompleksy obiektów kolejowych, straży pożarnej, elektrowni miejskiej. Wzniesione tu były pomniki A. Mickiewicza i J. Piłsudskiego oraz tablice pamiątkowe zasłużonych dla polskiej historii, nauki i kultury.

PARKOWA

Dzielnica ta znajduje się po pn. stronie nasypu kolejowego, okoloną ulicami Puntschera oraz J. Tarnowskiego i miała charakter wypoczynkowo-spacrowy i rozrywkowo-sportowy. Mieszczą się tu boisko sportowe, park miejski, koszary 12 Pułku Artylerii Lekkiej, siedziby firm oraz młyn.

wojskowych z 29 pp z Jeleniej Góry, którzy byli powojennymi pionierami w Dłużewie-Czernicy. Do godz. 15⁰⁰ był czas wolny, następnie udaliśmy się do Sokołowca (10 km od Czernicy) na biesiadę. Po obiedzie, z uwagi na dużą liczbę młodych ludzi, urodzonych po 1945 roku (niektórzy z nich pierwszy raz uczestniczyli w Zjeździe Rodziny Józków), nastąpiła prezentacja Rodziny. Najstarsza osoba na Zjeździe to Mikołaj Józków – lat 89, brat księdza Władysława, a najmłodsza „osóbka” to kilkumiesięczna prawnuczka Mikołaja Józków. Potrawy przygotowali: córka Elżbiety i Jana Józków – Małgorzata, i córka Elżbiety i Darka – Kinga; wszyscy są mieszkańcami Czernicy, Małgorzata i Kinga to uczennice Technikum Gastronomicznego w Jeleniej Górze. Jak z tej opowieści wynika, atmosfera była rodzinna, zabawa przy muzyce trwała do północy, a dla niektórych, zwłaszcza młodych, jeszcze dłużej.

Siódmy Zjazd Rodziny Józków / Juzków odbędzie się w 2012 r. w Ciepeliowicach (opolskie), a organizatorami będą Wiesław i Tadeusz (junior – 1953) Józków; właśnie jego ojciec służył w 29 pp w Jeleniej Górze.

Ks. prałat Władysław Józków, urodzony w 1933 r. w Chorostkowie, do Dłużewa-Czernicy przyjechał z Chorostkowa w 1946 r. wraz z rodzicami i bratem Mikołajem. Brat Władysława – Piotr, ojciec ks. Józefa, do marca 1947 r. służył jeszcze w wojsku. Ks. Władysław święcenia kapłańskie przyjął w maju 1958 r. we Wrocławiu, a mszę prymicyjną odprawił w Czernicy w czerwcu 1958 r.

Ks. kanonik Józef Juzków, ur. w 1951 roku już w Czernicy, studia teologiczne rozpoczął w 1962 r. we Wrocławiu; zostały one przerwane służbą wojskową, po jej odbyciu powrócił do seminarium we Wrocławiu, święcenia kapłańskie przyjął we Wrocławiu w 1971 roku.

Wszystkie informacje przesyłane przez p. Tadeusza są niezwykle cenne, ale świadczą one przede wszystkim o Jego niezwyklej pamięci i staranności w odtwarzaniu losów Rodziny Józków / Juzków. Gratulujemy!

Materiał opracowała Anna Stengl

* Na początku tekstu Pana Tadeusza Józków w CL 4/09 na s. 23 omyłkowo pominięto Jego nazwisko jako autora. Bardzo przepraszamy!

NIEZWYKŁE SPOTKANIE ZE ŚWIĘTYM

Świątobliwa, a zarazem bohaterska sylwetka Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego w pierwszej połowie XIX wieku, potem zesłańca, a wreszcie twórcy Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi i duszpasterza ludu w południowo-wschodnich stronach ówczesnej Galicji – jest nam znana od dawna. Postać tę ostatnio przybliżyły nam kolejno: beatyfikacja dokonana na krakowskich Błoniach w 2002 r. oraz kanonizacja w Rzymie przez papieża Benedykta XVI przed rokiem – 11 października 2009.

O Arcybiskupie Felińskim pisaliśmy już w naszym kwartalniku (CL 4/02) z okazji beatyfikacji. Przypomnijmy i uzupełnijmy: pochodził z Wołynia (ur. 1822), wykształcenie odebrał w Rosji i Paryżu, był profesorem Akademii Rzymskokatolickiej w Petersburgu, wreszcie w 1862 r. został arcybiskupem warszawskim. Rządził jednak tylko 16 miesięcy, bo władzom carskim nie spodobała się jego patriotyczna postawa w chwili wybuchu powstania styczniowego. Został usunięty i zesłany w głąb Rosji, spędził tam 20 lat. W r. 1883 odzyskał wolność i wrócił na ziemię ojczyste, jednak bez prawa pozostania w zaborze rosyjskim. Wyjechał wtedy do Lwowa i po krótkim tam pobycie, na zaproszenie hr. Heleny Koziembrodzkiej, osiadł w jej majątku w wojew. tarnopolskim, blisko Borszczowa, w obrębie parafii Mielnica Podolska – Dźwiniacze, jako kapelan dworski. Jednak jego 12-letnia tam działalność daleko odbiegała od owej formalnej funkcji. Założył w Dźwiniacze kolejny Dom Sióstr Rodziny Maryi wraz z nowicjatem, później parafię z kościołem i klasztorem. Założył także i zbudował pierwszą szkołę. Działał w kierunku powstawania dalszych domów Zgromadzenia.

Kiedy abp. Feliński wyczerpał swoje zdrowie i siły, w 1895 r. zalecono mu wyjazd na kurację. Po drodze zmarł jednak w Kra-

kwie, w pałacu arcybiskupim. Jego ciało przewieziono i pochowano w Dźwiniacze. Tam pozostało do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości, gdy postanowiono go – już uznawanego za świętego – złożyć w Katedrze św. Jana w Warszawie. Tam też pozostaje do dziś.

* * *

O kanonizacji św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego – związanego wszak także z naszą Ziemią Wschodniomałopolską – niestety nie napisaliśmy w CL we właściwym czasie. Jak więc potraktować fakt niezwykłego przypomnienia, jakie nas tu niespodziewanie po roku spotkało?

W sierpniu tego roku wyruszyła z Krakowa kolejna wycieczka autokarowa w nasze strony rodzinne*. Pojechaliśmy przez Lwów do Krzemieńca i dalej na Wołyń, potem na południe – do Kamieńca Podolskiego. Stąd na zachód, a po przekroczeniu Zbrucza pod Okopami św. Trójcy znaleźliśmy się w powiecie borszczowskim. Jadąc szosą ku Mielnicy, autokar zatrzymał się – nastąpiła niespodziewana awaria. Oczekiwanie na naprawę skłoniło nas do wyjścia na drogę, a miejscowi przechodnie chętnie wdawali się w rozmowy. Przechodząca starsza osoba, wskazując ręką biejącą nieopodal budynek, powiada: *O, tu jest polska kapliczka. Zapytałismy: A jak się ta wieś nazywa? – Dźwiniaczka, wyjaśniła.*

Poszliśmy do kapliczki, oddalonej nie więcej niż 80–100 m. Na froncie nowiutka tabliczka metalowa informuje dwujęzycznie, że tu w latach 1895–1920 spoczywało ciało abpa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. Kapliczka jest świeżo odnowiona, bo jak przeczytaliśmy, otoczył ją opieką miejscowy proboszcz grekokatolicki (Polaków dziś tam nie ma).

Nie było już czasu na odszukanie dworu w Dźwiniacze ani kościoła. Czy istnieją? O dalsze informacje zwróciliśmy się po powrocie do Sióstr Rodziny Maryi w Krakowie. Dostaliśmy ksiązkę, obrazki, różańce z podobizną Świętego.

Do tematu wrócimy.

Andrzej Chlipalski

* zorganizowana przez Koło Stanisławowian przy Oddziale Krakowskim TMLiKPW

W dzielnicy Parkowej został wydzielony teren pod zabudowę willową pod nazwą Kapadocja. Miasto miało tu zyskać 1700 działek pod budowę domków jednorodzinnych. Park miał być zaadaptowany pod ogródek dziecięcy, a nowy park miejski miał powstać w jarach wzdłuż ul. Wertepnej. Zabudowę tej części miasta rozpoczęto w latach 1930.

ZARUDZIE

Położone jest w pn.-zach. części miasta, między dzielnicami Śródmieście i Parkowa, okolone ul. Sienkiewicza i nasypem kolejowym. Dzielnica ta miała charakter mieszkalny. Na jej terenie znajdowały się koszary 54 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, utworzonego przez Polaków-jeńców frontu włoskiego w czasie I wojny światowej, który do Polski wrócił w 1919 r. i brał udział w walkach z Ukraińcami. W dzielnicy Zarudzie znajdowała się przy ul. Niemcewicza Szkoła Zawodowa, a przy ul. Sienkiewicza bożnica. Ponadto miało tu swoją siedzibę Tow. Przyjaciół Muzyki, które wraz z chórem Bard i Towarzystwem Oratoryjnym oraz orkiestrą 54 pp rozpoczęły dawać koncerty, i jako wielkie wydarzenia w życiu miasta przeszły do historii miasta.

MIKULINIECKA

Dzielnica ta obszarowo jest jedną z największych w Tarnopolu i ograniczona jest ul. Szeptyckich i drogą prowadzącą do Petrykowa oraz ul. Tarnowskiego. Tu, oprócz znacznej liczby obiekty gospodarskich i budynków mieszkalnych, znajdował się szpital izraelski, dwie szkoły oraz rzeźnia miejska i wytwórnia wędlin, słynąca z jakości wyrobów. Przy ul. Ostrogskiego zlokalizowane były dwa stare cmentarze miejskie: chrześcijański i izraelski. Na tym pierwszym stoi dawna cerkiew pw. Wniebowzięcia NMP i w niej dzięki staraniom proboszcza wspólnoty rzymskokatolickiej ks. A. Górskiego w 1991 r. uzyskano zezwolenie na odprawianie mszy w obr. łacińskim i sprawowanie posług duszpasterskich. Wtedy, po jej gruntownym remoncie, zaczęło przychodzić coraz więcej ludzi i po niedługim czasie okazała się ona zbyt mała dla rosnącej liczby wiernych. W 1998 r. przystąpiono do budowy nowego, większego kościoła na terenie miasta (konsekracja w 2008 r., zob. CL 3/09)

PODOLE

Dzielnica położona między lewą stroną Seretu – od grobli do mostu na drodze do Petrykowa – następnie okolona ulicami: Szeptyckich, Ruską i Lwowską. Dużą część dzielnicy stanowi stary park Toplicze, ponadto wydzielone były dwa place: targowica bydłęca i zbożowa. Przy ul. Ruskiej stały dwa obiekty sakralne: grekokatolicka cerkiew pw. Narodzenia Chrystusa Pana i wielki neogotycki kościół parafialny pw. MB Nie-

Z TAMTEJ STRONY

OJCIEC SERAFIN KASZUBA

Ogłoszono oficjalnie, że szczątki Sługi Bożego Serafina Kaszuby (1910–1977), które spoczywają dotąd na Cmentarzu Janowskim we Lwowie, mają być przeniesione do Winnicy na Ukrainie.

Alojzy – w zakonie kapucynów Serafin – Kaszuba urodził się we Lwowie i po życiu spędzonym w dramatycznych warunkach na posłudze duszpasterskiej na Wołyniu i w Kazachstanie zmarł we Lwowie. Obecnie, w związku z zaawansowanym procesem beatyfikacyjnym, postanowiono Jego szczątki przenieść do Winnicy, ponieważ na ziemiach Ukrainy Jego kult ma znaczenie szczególne.

Dotarła do nas natomiast wiadomość, że Polacy lwowscy, katolicy, nie chcieliby dopuścić do zabrania grobu Sługi Bożego ze Lwowa. Powstał jakoby na tym tle konflikt. Dalsze informacje będziemy mogli podać po uzyskaniu ich ze Lwowa.

Ucrainica

◆ Niedawno (w CL 61) donosiliśmy, że władze białoruskie mają zamiar przekazać kilka zamków na terenie tamtego państwa

w celu ich rewaloryzacji i prawidłowego (?) użytkowania.

Obecnie przeczytaliśmy w „Kurierze Galicyjskim”, że władze państwa Ukraina chcą podobnie uczynić z dziewięcioma zamkami wokół Lwowa (nazywają to *rezewatem Korona Galicyjska*), poszukując pieniędzy na remont obiektów, doprowadzonych w ciągu ostatnich parudziesięciu lat w większości do daleko posuniętej, a nawet skrajnej ruiny. Chodzi o zamki w: Brodach, Dobromilu, Olesku, Podhorcach, Pomorzanach, Starym Siole, Świrzu, Złoczowie i Żółkwi.

Z wymienionych zamek w Starym Siole był już wcześniej ruiną, która jednak się nie waliła. Największą kompromitacją jest stan najcenniejszego zamku w Podhorcach, a także w Pomorzanach (oba w doskonałym stanie do II wojny, użytkowane jako siedziby właścicieli), których powojenne zaniedbanie doprowadziło do stanu katastrofy. Pozostałe są nadal użytkowane, jednak brak podstawowej dbałości o stronę techniczną i niewłaściwe traktowanie zabytkowej substancji domagają się natychmiastowej ingerencji techniczno-budowlanej i konserwatorskiej.

W Krakowie i dalej

Notatki

◆ 17 września przedstawiciele społeczeństwa krakowskiego zebrali się na patriotyczno-religijnej uroczystości, upamiętniającej **71. rocznicę agresji Rosji sowieckiej na Polskę w 1939 roku**. Uroczystość na Cmentarzu Rakowickim rozpoczęła w kaplicy cmentarnej msza św. w intencji wszystkich Ofiar Komuny i pomordowanych mieszkańców Kresów Wschodnich. Następnie uczestnicy złożyli kwiaty przy Symbolicznej Mogile – Pomniku Ofiar Komuny, a potem przeszli pod Pomnik Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polskiej Ludności Kresów Południowo-Wschodnich w latach II wojny światowej, gdzie odbyły się główne uroczystości – przemówienia, chwila zadumy, złożenie wieńców

Zamek w Pomorzanach, fragment dziedzińca.
Wg T. Polak: Zamki na Kresach, 1997



Uroczystość zorganizowały: Towarzystwo Pamięci Narodowej, Komitet Opieki nad Miejscami Zbrodni Komunizmu i Związek Piłsudczyków. Patronat objął Marszałek Województwa Małopolskiego.

◆ W ostatniej dekadzie czerwca odbyła się we Wrocławiu sesja naukowa pt. **Prawda historyczna a prawda polityczna w badaniach naukowych. Przykład ludobójstwa na Kresach południowej Polski w latach 1939–1946.**

Sesja ta miała się odbyć przed rokiem, jednak na skutek chwiejnej postawy rektora Uniwersytetu Wrocławskiego – gdzie była planowana – nie doszła do skutku. Skąd owa chwiejność: naciski... konsula ukraińskiego (szantaż?), niejakiego Ołeksandra Mocyka, który został już odwołany, ale zapewne nie z tego powodu.

Czy konsul RP np. we Lwowie odważyłby się wywierać jakiegokolwiek naciski na tamtejszą administrację ukraińską? Przecież antypolskie naciski są tam na porządku dziennym, a z naszej strony nikt dotąd nie reagował. Czy niezdecydowana postawa rektora (magnificencji!) we Wrocławiu była wynikiem jego osobistej postawy czy naciskały polskie władze w ramach „politycznej poprawności”? Chwała Bogu, od ubiegłego roku i zmiany politycznej w państwie ukraińskim sprawy układają się (w tym punkcie) nieco mniej dla nas kompromitująco.

W sesji wzięło udział szerokie grono naukowców i publicystów, badających i opisujących ukraińskie ludobójstwo na Polakach: pisarz S. Srokowski, prof. R. Szawłowski, dr A. Zięba, prof. Rudling (USA), dr B. Paż, prof. C. Partacz, dr L. Kulińska, gen. M. Hermaszewski, J. Orłowska, płk. J. Niewiński, prof. J. Winnicki, ks. T. Isakowicz-Zaleski, E. Siemaszko oraz prof. A. Czajkowski (Donieck), prof. I. Iliuszyn (Kijów), dr A. Kondracki (Kijów).

◆ Członkowie Rady Miasta Krakowa uchwalili wystąpienie do radnych *Lwiwa o potępienie ludobójstwa*, jakiego dopuścili się na Polakach ukraińscy nacjonaliści z UPA w czasie II wojny światowej. Bodźcem do wystąpienia stał się tamtejszy pomysł nazwania stadionu, budowanego na EURO 2012, imieniem Bandery.

W lipcu minęła kolejna rocznica Krwawej Niedzieli na Wołyniu, gdy w 1943 r. nacio-

ustającej Pomocy. Został on wybudowany w 1908 r. przez ówczesnego proboszcza tarnopolskiego, ks. Bolesława Twardowskiego, późniejszego abpa-metropolity lwowskiego. W dzielnicy tej była tarnopolska gmina izraelicka i Stara Bożnica. Działało Stowarzyszenie Pań dla niesienia pomocy ubogim Izraelitom oraz Dom Ubogich.

ZAGROBELA

W pd. części Tarnopola, po drugiej stronie Seretu, tuż za groblą, była usytuowana drewniana forteca, która przez stulecia broniła ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej przed napadami Tatarów. W dziele tym wielkie zasługi mieli Aleksander i Mikołaj Krosnowscy h. Junosza. W XVIII w. Mikołaj Krosnowski, wojewoda czernichowski, otrzymał prawem lennym od króla Augusta II starostwa petrykowskie i kutkowieckie oraz fortecę na Zagrobeli, którą w późniejszych latach przebudowano na zamek. W 1814 r. dziedzicem Zagrobeli był Marcell Wincenty Krosnowski, który ową rodową wiejską siedzibę przekształcił na klasycystyczny pałac okolony parkiem. To założenie stało się jednym z piękniejszych w dawnej Ziemi Halickiej.

Późniejszymi właścicielami pałacu na Zagrobeli byli: Feliks Cygenberg-Orłowski h. Chomonta, książe Ludwik Aleksander Radziwiłł oraz Tadeusz i Wiktor Czarkowscy-Golejewscy z Wysuczki. Po I wojnie światowej rodzina ta oddała część gruntów oraz pałac na szkołę rolniczą, tworząc fundację rodzinną. W czasie II wojny pałac został zbombardowany i przestał istnieć. Na miejscowym cmentarzu stała klasycystyczna kaplica grobowa, zbudowana przez W. Krosnowskiego, a jej podziemia służyły jako mauzoleum rodzin właścicieli Zagrobeli.

W 1926 r. Zagrobela została przyłączona do gminy miejskiej Tarnopola. W 1929 r., w okresie narastającej fali nacjonalistycznych sabotaży ukraińskich spod znaku „Tryzuba”, zostały w Zagrobeli spalone zbiory zboża. W 1931 r. otwarta została w Tarnopolu Wystawa Rolnicza, a jedną z imprez towarzyszących były różne imprezy sportowe. Jedną z nich były wyścigi konne na łąkach zagrobelskich, przeznaczonych na przyszły hippodrom.

GAJE WIELKIE

Nie były dzielnicą Tarnopola, lecz łącznie z kilkoma innymi przysiółkami były traktowane jako przedmieście miasta. W Gajach Wielkich mieścił się Polski Dom Ludowy w Tarnopolu. W Gajach W. 27 marca 1945 r. miał miejsce akt ludobójstwa ze strony nacjonalistów ukraińskich: w czasie jednej nocy zamordowano 68 osób narodowości polskiej i 3 ukraińskiej (tych za ostrzeżenie sąsiadów).

Hasła dot. Tarnopola opracował Henryk Kleinrok.

naliści zaatakowali ponad 100 polskich miejscowości, mordując głównie w kościołach podczas mszy około 100 tysięcy Polaków, a także Żydów, Czechów, jak również Rusinów, niesprzyjających bandom ukraińskim.

◆ Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi (nie mylić z warszawskim Muzeum Niepodległości!) otworzyło w maju br. **wystawę poświęconą Juliuszowi Słowackiemu i Krzemieńcowi**. Uroczyste otwarcie uświetnił program artystyczny, w nim jednak znalazł się występ chóru akademickiego uczelni łódzkiej, który odśpiewał wiązankę pieśni ukraińskich. Fakt ten wzburzył zebranych, oczywiście głównie krzemieńczan i innych ekspatriantów.

Kto wymyślił taki nietakt? Kto podpowiedział chórowi? Kto się na to zgodził?

Z kroniki żałobnej

◆ Z końcem czerwca '10 zmarli dwaj wybitni twórcy rodem z Drohobycza.

Prof. płk Tadeusz Zygmunt Lachowicz (ur. 1919). Ukończył studia chemiczne na UJ w Krakowie, od 1968 był profesorem, kierownikiem krakowskiego oddziału Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii. Ponadto pracował na Katolickim Uniwersytecie w Nijmegen w Holandii. W latach 1970. odkrył substancję bakteriobójczą – lek skuteczny w zwalczaniu gronkowca złocistego. Był kandydatem do nagrody Nobla. Zmarł w Krakowie.

Prof. Adam Zieliński (ur. 1929). Studia filologiczne ukończył na UJ i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. W 1957 r. wyemigrował do Austrii. Był płodnym pisarzem, tworzącym po polsku i niemiecku – jego dorobek liczy ok. 600 publikacji. W Wiedniu zajął się również działalnością biznesową, a to umożliwiło mu ufundowanie szeregu stypendiów dla naukowców z UJ, zakup aparatury do pracowni konserwatorskiej oraz licznych muzealiów dla UJ. Zmarł w Wiedniu.

◆ W lipcu tego roku **zmarł w Krakowie Jan Adamski**, aktor i pisarz. Urodził się w Buczaczu w 1923 r., po II wojnie znalazł

się w Krakowie, gdzie – obok prawa na UJ – ukończył Studium Dramatyczne Iwo Galla. Swoje aktorstwo rozpoczął w legendarnym Teatrze Rapsodycznym, potem grał w innych teatrach krakowskich, a zarazem pisał opowiadania, wydane w trzech tomikach.

Był postacią lubianą w środowisku artystycznym Krakowa lat powojennych. Poeta-Iwowiak Tadeusz Śliwiak napisał mu taki wiersz – o butach:

*Dzień dobry, Dziadku,
siedzisz tu i siedzisz,
jesteś już stary,
nie wychodzisz z domu.
Nie martw się Dziadku,
zamiast Ciebie pójdą
Twoje buty.
A dokąd, dokąd?
Tam, gdzie im rozkażesz.
Do Lwowa pójdą?
Pójdą Dziadku, pójdą.
A do Buczacza,
I do Kołomyi...
A wrócą stamtąd?
O, tego już nie wiem.
Ale jeśli nie powrócą,
to kupię Ci nowe...*



◆ Tak się smutno złożyło, że dwojgu lwowianom, którzy przekazali nam materiały do poprzedniego numeru kwartalnika (CL 3/10), nie było dane ich zobaczyć po wydrukowaniu. Odeszli z końcem sierpnia, przed wydaniem niniejszego numeru.

Pan **Zbigniew Szuperski** ofiarował nam do druku swoją *Opowiadkę*. Zmarł po długich cierpieniach. Jego notka biograficzna znalazła się po tamtym tekście – wypada tylko do niej dodać, że był również autorem drobnych form literackich oraz tłumaczem literatury rumuńskiej.

Drugą osobą była Pani **Krystyna Ewy-owa**, mgr chemii, która przygotowała dla nas materiały po niedawnej śmierci swego Brata, znakomitego lekarza i uczonego, prof. Tadeusza Chruściela. Pani Krystyna była wdową po Zygmuncie Ewy (zm. 1994), lwowianinie, profesorze fizjologii zwierząt na Akademii Rolniczej w Krakowie, znanym w swych sferach uczonej.

KULTURA NAUKA

KRAKOWSKI „SOKÓŁ” WIERNY TRADYCJI

W 100-lecie odświeżenia pomnika Grunwaldzkiego – związanego ówczesnie z 500-leciem Bitwy pod Grunwaldem (1410–1910) – a zarazem w 100-lecie **Ogólnopolskiego Złotu Grunwaldzkiego Sokółów w Krakowie** (1910–2010) krakowski „Sokół” wraz z Radą PTG „Sokół” w Polsce zorganizowały w swej siedzibie pod przewodnictwem druha prezesa Konrada Firleja ogólnopolską konferencję poświęconą tamtym wydarzeniom.

Konferencja miała miejsce 24 września 2010, a złożyło się na nią kilkanaście referatów i pokazów multimedialnych, dotyczących historii „Sokoła” w okręgach i miejscowościach całej Polski. Niestety nie został wygłoszony referat o *Działalności pierwszego na ziemiach polskich Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w latach 1867–1914 we Lwowie* z uwagi na nieprzybycie autorki, mgr Małgorzaty Łukaszek z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Został on natomiast opublikowany w pamiętniku z sesji pt. *100-lecie Ogólnopolskiego Złotu Sokółów w Krakowie – Złotu Grunwaldzkiego*, Kraków 2010, pod redakcją dra Andrzeja Łopaty.

Wydano ponadto wspaniałą reprint *Pamiętnika V Złotu Sokółstwa Polskiego w Krakowie w dniach 14–16 lipca 1910*, wydanego we Lwowie w 1911 r. nakładem Związku Polskich Gimnastycznych Towarzystw Sokolskich. Oba wydawnictwa omówimy dokładniej w następnym numerze CL.

W czasie konferencji poznaliśmy prof. dra Stanisława Zaborniaka, kierownika Katedry Historii Kultury Fizycznej na Wydziale

Socjologiczno-Historycznym Uniwersytetu Rzeszowskiego, który powiadomił, że na tej uczelni podjęte zostały prace doktorskie na temat dziejów „Sokoła”, a m.in.:

pod kierunkiem prof. S. Zaborniaka:

■ mgr Małgorzata Łukaszek: *Kultura fizyczna mieszkańców Lwowa (1867–1914)*;

■ mgr Justyna Glińska: *Działalność Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Okręgu V lwowskim w latach 1885–1939* (na AWF Warszawa);

■ mgr Maciej Ślisz: *Działalność Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Okręgu VII tarnopolskim w latach 1885–1939*;

pod kierunkiem prof. dra Kazimierza Obodyńskiego:

■ mgr Anna Kuchciak: *Działalność Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Okręgu IV przemyskim w latach 1885–1939*;

■ mgr Michał Baran: *Działalność Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Okręgu VI stanisławowskim w latach 1885–1939*.

Ponadto w katedrze prof. S. Zaborniaka powstaje praca dr Agnieszki Mirkiewicz nad całością działalności TG „Sokół” w Polsce w całościowym aspekcie jego organizacyjnej działalności, m.in. militarnej, patriotycznej, religijnej, higienicznej, skautingu, Drużyn Bartoszewych, wychowania fizycznego, sportu, medycyny, kultury – biblioteki, chóry, kina, zespoły wokalne, świetlice itp.

Kronika

◆ Młodzież ze szkół Dolnego Śląska – 93 osoby – wyjechała tego lata na tereny za jałtańskim kordonem, by wziąć udział w wielkiej **akcji renowacji 16 polskich cmentarzy**. Podjęto prace na nekropoliach w Drohobycz, Bohorodczanach, Tłumaczu, Kołomyi, Czyszkach, Brzeżanach, Komarnie, Chłopach, Tuligłowach, Podhajcach, Dawidowie oraz kilku miejscowościach na Wołyniu i Ukrainie.

Równocześnie prowadzone jest zbieranie pieniędzy na kolejne akcje porządkowania i odnawiania opuszczonych polskich grobów na tamtym obszarze. W kwestach



Budynek krakowskiego „Sokoła”

Druh Konrad Firlej





biorą udział 62 tysiące uczniów z dolnośląskich placówek oświatowych. Patronat nad akcją objął Dolnośląski Urząd Wojewódzki oraz Kuratorium Oświaty we Wrocławiu, zaś patronat medialny TVP 3 Wrocław.

Powyższe informacje przeczytaliśmy w „Kurierze” – Tygodniku Powiatu Wołowskiego z lipca br., którego kilka ciekawych numerów przekazał nam ks. Józef Pyrek. Serdecznie za to dziękujemy.

◆ Z końcem 2009 r. (październik) miała miejsce w Galerii „Wspólnoty Polskiej” w Krakowie **wystawa fotografii Aleksiego lutina**, zatytułowana „Testes muti”, co przekłada się z łaciny: *Milczący świadkowie*. Wystawa objęła kilkadziesiąt fotografii architektury, detali i resztek polskich pamiątek.

Aleksy lutin jest Rosjaninem, urodził się w 1940 r. w Gatczynie k. Petersburga. Po wojnie trafił wraz z rodziną do Lwowa i z tym miastem związał się już na stałe. Sztuka fotografii, odziedziczona po ojcu, towarzyszy mu od 10. roku życia.

Artysta mocno związał się z kulturą polską we Lwowie: z Polskim Teatrem Ludowym, którego życie dokumentuje od 40 lat, z Lwowskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych, z redakcją „Lwowskich Spotkań”. Za to wszystko otrzymał honorowe odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Dodajmy swój komentarz. A. lutin należy do tego grona Rosjan, którzy zapewne z przypadku, bez własnej woli znaleźli się po II wojnie we Lwowie, niewiele o nim wiedząc. Jednak poznanie tego miasta, wczucie się w jego atmosferę historii, sztuki, miejskiego krajobrazu i kultury pozostałych tam Polaków zrobili swoje: inteligentna część napływowych, niezwiązanych

z nowymi gospodarzami naszej utraconej Ziemi szybko rozpoznała autentyczne wartości zachodniej kultury. Postaci takie jak Walery Bortiakow, pani Kottobułatowa czy Aleksy lutin to ludzie, na których może liczyć europejskie miasto.

26 kwietnia br. odbył się we Lwowie, w Teatrze Wielkim, uroczysty pokaz filmu w reżyserii Andrzeja Wajdy **Katyń**.

Przy okazji informujemy, że w „Rzeczpospolitej” z 22–23 maja ukazał się obszerny artykuł na temat A. Wajdy *Reżyser zaangażowany*, pióra Igora Jankego.

◆ W Żydowskim Muzeum Galicja w Krakowie otwarto w czerwcu wystawę pt. **Miasto zapamiętane. Wspomnienia z żydowskiego Lwowa i Zagłady**. Wystawa ukazuje życie i zagładę społeczności żydowskiej Lwowa poprzez wspomnienia tych, którzy przeżyli.

◆ O podróży rekoniesansowej dyrektorów i nauczycieli historii z krakowskich gimnazjów do Wschodniej Małopolski i na Wołyń we wrześniu 2009 r. informował nas p. dyrektor Mariusz Graniczka z Gimnazjum nr 1 im. S. Konarskiego artykułem, który zamieściliśmy w CL 1/10*. Obecnie prezentujemy zdjęcie uczestników tej niezwykłej podróży. Cieszymy się, że wspaniałe przedsięwzięcie władz edukacyjnych Urzędu Miasta Krakowa doszło do skutku i zaowocuje przez kolejne lata wyjazdami młodzieży **dla poznania tamtej części naszej historii i kultury**.

* Wcześniej o zamierzonym programie wyjazdów młodzieży na Ziemię Wschodnie pisaliśmy w CL 2 i 3/09.



Książki czasopisma

Nowe książki

Trzeba pogratulować **Januszowi Wasylkowskiemu**, któremu po niezwykle uciążliwych i długotrwałych staraniach udało się wreszcie wydać XIV tom „**Rocznika Lwowskiego**” 2008–2009, co prawda jako podwójny, ale za to pełen ważnych i oryginalnych materiałów historycznych (Instytut Lwowski, Warszawa). Materiał, jak zwykle, podzielony jest na cztery części.

Część I obejmuje trzy serie artykułów, z czego pierwsza dotyczy w zasadzie starożytności Lwowa. Mowa o Ormianach w Polsce (B.S. Kasprowicz), o kościele św. Mikołaja i Trynitarzach (J. Smirnow), o Towarzystwie Strzeleckim (L. Kokociński), o muzyce w lwowskich kościołach (M. Piekarski). Druga seria to historia lwowskiego sądownictwa i adwokatury (T.J. Kotliński, A. Hillbricht-Ilkowska, A. Redzik), trzecia zaś przynosi materiały o lwowianach czasu I i II wojny (B. Nowożycki, K. Smolana, B.N i K.S.)

Część II to wiersze, opowiadania i wspomnienia różnych autorów. Część III, poza ważnym artykułem J. Smirnowa o powojennych losach lwowskich świątyń, przynosi kilka materiałów o *Lwowie poza Lwowem*: o Bytomiu, który stał się pepiniarą powojennej lwowskiej piosenki, o salonie pani Biniszewskiej w Kulówce k. Radziejowic, a wreszcie rozmowę z Janem W. Wingralkiem, który dziś nie rezyduje ani w Warszawie, ani we Lwowie, lecz w Żywieckiem.

Na koniec część IV to recenzje książek o Lwowie i ziemiach południowo-wschodnich. To ważna część wydawnictwa, bo daje

możliwość zapoznania się z książkami trudno osiągalnymi (ceny, brak w bibliotekach, brak miejsca w prywatnych zbiorach). I co niezwykle istotne: recenzje w „Roczniku Lwowskim” pisane są profesjonalnie i wyczerpująco, jak w żadnym innym periodyku naszego kresowego środowiska. Przykładem niech tu będzie pierwsze całościowe omówienie życia i twórczości dwóch kompozytorów lwowskich XX wieku – Mieczysława i Adama Sołtysów, spisane przez wnuczkę i córkę Marię Sołtys.

Jest w tomie, oprócz czarno-białych ilustracji, kolorowa wkładka. To seria lwowskich nalepek okiennych z całego XX wieku. Jedną z nich reprodukuje.

Rocznik 2008–2009, jak i poprzednie, jest niezwykle ważnym przyczynkiem do poznania i utrwalenia różnych wycinków historii, kultury i ludzi Lwowa. Aspektów, których nie mogą wszak ogarnąć liczne – tak, liczne – wydawnictwa o naszym Mieście i naszej Ziemi.

Dotarło do nas kolejne wydawnictwo Biblioteki Historycznej Archiwum Metropolii Lwowskiej ob. łac. w Krakowie, tom 10 (w istocie w dwóch tomach): **Inwentarz Akt Wydziałów i Studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do roku 1939**. Opracował i podał do druku ks. prof. Józef Wołczański, a wydało Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, Kraków 2009 (Seria A, Źródła i materiały).

We wstępie ks. J. Wołczański przypomina, że w 2011 r. przypadnie 350. rocznica erygowania Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Fakt ten czyni niezbędną publikację wszystkich inwentarzy i archiwaliów do dziejów lwowskiej Almae Matris, co ułatwi wytyczenie realnych planów badawczych na najbliższą przyszłość. Omawiany Inwentarz ma w zamierzeniach objąć kilka dalszych tomów, odnoszących się w pierwszym rzędzie do pięciu fakultetów UJK, potem zaś do innych jego agend.

Pozycja z cyklu *Książki, o których nie wiecie* to okazały album fotografii z lat 1859–1939 z zagłębia drohobycko-borysławskiego pt. **Dawno temu w Karpatach**, z tekstem pióra **Leszka Mazana**, wydany przez firmę Poszukiwania Nafty i Gazu Kraków (PNIgK – znany biurowiec z rotundą przy



ul. Lubicz), 2008. Album powstał dzięki inicjatywie i darom ludzi związanych niegdyś z wydobyciem ropy naftowej i ich rodzin, ale nigdy nie trafił do księgarń! Przypomina się, iż za czasów PRL dzieje zagłębia drohobycko-borysławskiego były przez cenzurę blokowane. Omawiany album pamięć o nim przywraca.

Album (o dużych rozmiarach) oglądaliśmy tylko z zewnątrz, bo jest starannie oklejony folią i bardzo drogi: prawie 140 zł. Nie możemy więc nawet pokazać okładki.

Wielu Czytelników posiada albo przynajmniej zna serię 8 książeczek **Witolda Szolginia** pod ogólnym tytułem **Tamten Lwów**, wydaną w latach 1990. w Oficynie Wydawniczej „Sudety”, Wrocław. Wobec wielkiego zainteresowania nowy nakład podjęło obecnie Wydawnictwo „Wysoki Zamek” w Krakowie – właśnie ukazał się tom 1: **Oblicze miasta** (2010).

W pierwszej z czterech części, zatytułowanej **Uroda miasta**, wyjaśnia autor położenie geograficzne Lwowa i wynikające stąd uroki jego niezwykłych krajobrazów. W drugiej części – **Zieleń miasta** opisuje kolejno liczne parki i skwery, charakteryzuje bogatą przyrodę. Trzecia część mówi o **Wodach miasta** – o Pełtwi i tworzących ją niegdyś potokach, których już praktycznie na terenie miasta nie ma; o wodzie dobrostańskiej z Roztocza i o innych źródłiskach, które zaspokajały pragnienie

całego miasta. A także o lwowskich wodociągach, kanalizacji...

Trzy wymienione części tomiku zawierają ogromną ilość informacji, szczegółów, wspomnień. Część czwarta to kilkanaście uroczych wierszy Witolda Szolginia, napisanych bałakiem. W książeczce jest wiele ilustracji.

Pan **Jan Białowås** (płk lotnictwa w stanie spoczynku) przysłał do naszej redakcji swoją interesującą i cenną książkę pt. **Pogrzeb po sześćdziesięciu czterech latach**. Pochodzący z Iłhownicy w wojew. tarnopolskim autor, któremu udało się szczęśliwie przeżyć krwawą Wigilię 1944 roku, wydał już kilka książek dotyczących wydarzeń, jakich był świadkiem w swojej i sąsiednich miejscowościach. Ponieważ stanowią one pewien cykl dokumentacyjny, warto przytoczyć ich tytuły:

■ *Zdawało się, że pomarli, a oni wciąż żyją* ■ *Wspomnienia z Iłhownicy na Podolu* ■ *Krwawa Podolska Wigilia w Iłhownicy 1944 roku* ■ *Żył i umarł dla innych. Wspomnienie o zamordowanym ks. Stanisławie Szczepankiewicz z proboszczu Iłhownicy.*

W omawianej tu najnowszej książce autor zawarł swoje kilkunastoletnie starania o godne upamiętnienie zamordowanych rodaków z Iłhownicy i sąsiednich miejscowości. Doprowadził do tego, że w czterech miejscowościach podolskich uporządkowane zostały zbiorowe mogiły zamordowanych przez UPA polskich mieszkańców. Zagłada Polaków przez nacjonalistów ukraińskich na tym terenie miała miejsce w 1944 r. przed nadejściem frontu, w okresie wycofywania się Niemców oraz po przejściu frontu na jego tyłach (przy cichej aprobacie NKWD). W Berzowicy Małej napad miał miejsce w nocy 22/23 lutego 1944. Zginęło 131 osób, w tym 40 spalono żywcem. Było wielu rannych i ciężko poparzonych. W Płotczy 8 marca 1944 (już w strefie frontowej) funkcjonariusze SS Galizien, namówieni przez nacjonalistów ukraińskich, rozstrzelali 43 Polaków za rzekomą współpracę z partyzantką sowiecką. W okresie działań wojennych nastąpiło względne uspokojenie napadów na Polaków. Ale po oddaleniu się frontu na zachód zbrodnicza działalność UPA odżyła na nowo. Tragiczną stała się Wigilia 1944 r. w Iłhownicy. 24 grudnia wieczorem zginęło 92 Polaków – w tym proboszcz ks. Stanisław Szczepankiewicz i lekarz zarabany siekierą. Przeżyli tylko ci, którzy zdolali uciec i ukryć się. Wśród nich był kilkunastoletni wówczas autor książki. Parę dni później ta sama sotnia Buriłaki w nocy 28/29 grudnia 1944 w czasie napadu na wieś Łozowa zamordowała 106 osób (w tym 12 narodowości ukraińskiej).





Większa część książki jest sprawozdaniem ze starań, przygotowań i z przebiegu uroczystości 5 lipca 2008 r. w Ihrownicy i w sąsiednich miejscowościach. Na zbiorowych mogiłach stanęły pomniki – krzyże oraz tablice z nazwiskami ofiar. Przybyli dawni i obecni

mieszkańcy wsi, organizatorzy uroczystości z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z sekretarzem Andrzejem Przewoźnikiem, księża i przedstawiciele miejscowych władz. Mszę św. odprawiło 7 księży, a homilię wygłosił ks. W. Waszczuk, proboszcz z Krzemieńca.

Ostatnie rozdziały książki to negatywny odzew w prasie ukraińskiej na uroczystości na Podolu, określone jako „nielegalne”. Zacytowane są artykuły Bogdana Huka w „Naszym Słowie” i odpowiedź na nie autora Jana Białowąsa.

Całość jest cennym dokumentem i odpowiedzią na ukraińskie próby fałszowania historii. (DTS)

Danuta Nespiaik

KRESY W PRACOWNIACH UNIwersYTECKICH

Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego sfinansował wydanie sporego tomu pt. **Prace Filologiczne**, T. LV, *Seria literaturoznawcza* (Warszawa 2008), poświęcone w całości badaniom naukowym w dziedzinie literatury kresowej.

19 autorów reprezentujących środowiska uniwersyteckie Warszawy, Poznania, Lublina, Krakowa i Polskiej Akademii Nauk podsumowało refleksje i oceny tej literatury w ujęciu historycznym, metodologicznym, geograficznym, narodowościowym i kulturowym. Książka ta wymaga od czytelnika, niezwiązanego z zawodem historyka czy polonisty, sporo wiedzy w temacie „Kresy”. Dotyczy to zwłaszcza zagadnień metodologicznych w literaturoznawstwie. Łatwiejsze w percepcji dla zainteresowanych tematem są takie rozprawy jak J. Kolbuszewskiego o dziejach pojęcia Kresy, które zresztą autor publikował już kilkakrotnie – dla przypomnienia: np. w książce *Kresy* (Wrocław 1998), zakończonej złowróżbnym rozdziałem *Podzwonne dla Kresów*. Rozprawa Kolbuszewskiego w omawianym tomie zamyka się w negatywnej ocenie literatury kresowej, licznie wydawanej po 1989 roku, jako pozbawionej większej wartości poznawczej, spetryfikowanej jako termin

historyczny, której znaczeń nie da się już uzupełnić i wzbogacić.

Janusz Tazbir w rozprawie *Rola Kresów Wschodnich w dziejach Rzeczypospolitej* raczej temu zaprzecza. Stwierdza, że Kresy stały się urodzajną glebą polskiej kultury, a dzięki dużej podaży literatury kresowej wzrasta społeczna wiedza na ich temat.

Warto odnotować, że autor następnej z rozpraw, Edward Kasperski, odniósł się do metody geograficzno-regionalistycznej, którą stosował i uzasadniał jej celowość we współczesnych badaniach kresowych prof. Bolesław Hadaczek z Uniwersytetu Szczecińskiego. Jego książka *Historia literatury kresowej* omawiana była niedawno na łamach „Cracovia–Leopolis”.

W omawianych *Pracach Filologicznych* znalazły się też dwie rozprawy wychodzące poza nużące, chwilami specjalistyczne, analizy pojęcia *Kresy* i ich znaczenia w twórczości Kraszewskiego, Sienkiewicza, Vinzenza i innych pisarzy, a koncentrujące się wokół Lwowa i jego znakomitego symbolu – Uniwersytetu Jana Kazimierza. Rozprawa autorstwa Katarzyny Kotońskiej pt. *Polski Lwów z perspektywy ukraińskiej* wychodzi zarówno naprzeciw polskim racjom, jak i niesie zaskakujące propozycje. Jak pisze autorka, w PRL-u

temat Lwów istniał wyłącznie w sferze prywatnej. Upadek ZSRR i zniesienie cenzury przyniosły niezwykle obfity wysyp literatury wspomnieniowej, ale też badań źródłowych i opracowań historycznych, mieszczących nieraz najdrobniejsze szczegóły z dziejów miasta. W latach dziewięćdziesiątych pojawiła się ukraińska narracja historii Lwowa, w której wydarzenia, znaczące postacie, opisywano jako zjawiska „tutejsze” oraz uniwersalnej „lwowskości”, omijając problem tożsamości narodowej. W ten sposób do obszaru „ukraińskości” XVII-wiecznego Lwowa trafił Józef Bartłomiej Zimorowicz, sławny autor łacińskiej kroniki miasta. Tymczasem, im bliżej do II RP, termin „tutejszości” już nie wystarcza stronie ukraińskiej. Jest np. nieprzydatny w sferze personalnej nauki – bo jak określić polskich profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, twórców szkoły matematycznej? Jako „tutejszych”? Więc zgrabniej mówi się o nich jako o obywatelach miasta.

Zamazywaniem polskiej historii Lwowa w sferze kultury zajęła się redakcja ambitnego czasopisma lwowskiego „Ji”. W numerze monograficznym ukazała się rozprawa, w 2004 r. rozszerzona do formy książki, pt. *Lviv, Leopoldis, Lwów, Lemberg, genius loci*, prezentująca modną wielokulturowość miasta. Książka ta jest mieszanką utworów literackich ukraińskich, polskich, żydowskich, rosyjskich, niemieckich, wśród których znalazł się i współczesny znawca Krakowa Leszek Mazan z opowiastkami adorującymi ciek monarchię austriacką. Nawet taki „mi-

schung” wywołał protesty ukraińskich elit Lwowa w stwierdzeniu, że publikacja zatarła odwieczną ukraińskość Lwowa. Ten stan rzeczy opisany przez autorkę zasugerował jej jednak odczytanie treści tej książki inaczej – mianowicie – nie jako fałszowanie czy dyskryminowanie polskiej narracji, ale ostrożną próbę włączenia jej w ukraińskie doświadczenie.

Sądzę, że metoda *włączania* może przynieść bardzo niedobre konsekwencje fałszowania prawdy w podstawowym problemie ochrony polskiego dziedzictwa kulturalnego Lwowa.

Druga rozprawa autorstwa S. Ciary pt. *Uniwersytet Lwowski – kresowa uczelnia w kresowym mieście* zawiera słuszną uwagę, że *kresowość* Lwowa, jako jego właściwość, pojawiła się wyraźnie dopiero po 1918 roku. Tego zdania był też nasz najwybitniejszy geograf prof. Eugeniusz Romer, który dowodził, że nie jest to adekwatne określenie tego miasta. S. Ciara przedstawił też konsekwentnie negatywne stanowisko elity profesorskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza w sprawie powołania we Lwowie uniwersytetu ukraińskiego. Proponowaną lokalizację tej uczelni w Stanisławowie odrzucili Ukraińcy, którzy utworzyli tajny uniwersytet powiązany z terrorystyczną Ukraińską Organizacją Wojskową. Autor w stanowisku przedstawicieli UJK nie dopatrywał się ciasnego nacjonalizmu, bowiem *genius loci* Lwowa i doświadczenia lat 1918–1920 czynił tę postawę naturalną i oczywistą.

FRANCISZEK SMOLKA

dokończenie ze s. 34

nickiego, usunięty po drugiej wojnie światowej przez barbarzyńców – komunistów ukraińskich, zaginął bez śladu.

Smolka ożenił się w 1840 r. z Leokadią z Bekierów (Backer von Salzheim) (1815–1861), pozostawił synów: Władysława (ur. 1841), Karola – dyrektora Galicyjskiej Kasy Oszczędności, i Stanisława (1854–1924) – historyka i publicysty, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i Katolickie-

go Uniwersytetu Lubelskiego, oraz córkę Jadwigę, zamężną Hubertową. Syn Stanisław wydał *Dziennik Franciszka Smolki 1848–1849 w listach do żony*.

Portret olejny Franciszka Smolki pędzla A. Rejchana z 1858 r. zaginął w Związku Sowieckim.

Nieznany jest los marmurowych popiersi Smolki w gmachach Sejmu Krajowego we Lwowie i w Parlamencie w Wiedniu.

* Tekst uległ skróceniu.

** (z niem.) Jeszcze Polska nie zginęła!

Wertując wydawnictwa

➔ Bardzo ciekawy i poważny kwartalnik wydawany w Przemyślu pt. „Głos z nad Sanu” (o którym już pisaliśmy) dołączył do swego nr 15–16/2010 8-stronicowy (w formie gazetowej), bogato ilustrowany okolicznościowy dodatek, poświęcony **70. rocznicy deportacji Polaków z naszych Ziemi Wschodnich** (luty 1940), zatytułowany *Na Nieludzką Ziemię*.

Wydanie związane było z głównymi uroczystościami krajowymi, jakie odbyły się w Przemyślu w lutym br. dla upamiętnienia tragicznej rocznicy. Honorowym Patronem uroczystości był śp. Prezydent L. Kaczyński, a Honorowy Komitet Obchodów tworzyli śp. Prezydent R. Kaczorowski, metropolita przemyski abp J. Michalik, śp. bp gen. T. Płoski, śp. prezes IPN J. Kurtyka i parę innych wybitnych osób.

➔ Od pewnego czasu spotykamy w krakowskim „Dzienniku Polskim” niezwykle ważne i ciekawe artykuły Anny Zechenter, pracownicy – jak informuje notka – krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. W numerze z 18 I br. znalazła się relacja zatytułowana *Do ostatniej minuty*, dotycząca **samego końca pobytu sowietów we Lwowie i Małopolsce Wschodniej**, kiedy to w ciągu paru dni zdążyli jeszcze dokonać niebывалych zbrodni, likwidując 20–30 tys. Polaków (dokładne liczby nie do ustalenia), więzionych po 17 września 1939 roku.

Masakra we Lwowie rozpoczęła się już 22 czerwca '41, w następnych dniach w innych miastach i trwała dosłownie do ostatnich godzin przed wkroczeniem Niemców w dniu 26 czerwca. We Lwowie zginęło w ten sposób 4–7 tys. ludzi w więzieniach na Łąckiego, w Brygidkach i na Zamarstynowie. Poza Lwowem autorka opisuje zabijanie więźniów w Samborze, Łucku, Sądowej Wiszni (tu dowieziono m.in. więźniów z Przemyśla i Mościsk), Augustowie (w Białoostockiem), ponadto wymienia Borysław, Drohobycz, Janów, Żółkiew, Stanisławów, Kołomyję, Stryj, Tarnopol, Czortków, Złoczów, Krzemieniec, Brześć, Grodno.

Autorka przytacza niektóre relacje świadków, zebrane w archiwum krakowskiego oddziału IPN. Wszystkie budzą przerażenie...

➔ „Rzeczpospolita”, jedyna dziś – pośród czołowych, ogólnie czytanych – gazeta stojąca na pozycjach narodowej godności i bezstronności politycznej, podjęła w tym roku wespół z wydawnictwem „Mówią Wieki” i pod patronatem „Wspólnoty Polskiej” edycję cotygodniowego 16-stronicowego dodatku pt. **Księga Kresów Wschodnich**, z podtytułem: *Dzieje, ludzie, pomniki polskości*. Projekt zamierzony jest na 49 kolorowych zeszytów. Do końca września br., kiedy piszemy te słowa, ukazało się ich ponad dwie trzecie (35). Od samego początku ideowe słowo wstępne pisał prezes „Wspólnoty”, marszałek Maciej Płażyński, zaś po jego tragicznej śmierci pod Smoleńskiem zadanie to podjął członek Zarządu „Wspólnoty” A. Grzeszczuk.

Czy możemy już ocenić dzieło, jakiego podjęło się grono historyków i publicystów (niestety wśród ich nazwisk nie wskazano odpowiedzialnego „szefa”)?

Niewątpliwym plusem jest tu sam fakt „ruszenia” tematu, dotąd nikanego z uwagi na „poprawność polityczną”. Minister Edukacji Narodowej Katarzyna Hall napisała jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru:

Kresy Wschodnie to dla Polaków nie tylko miejsce na mapie, ale również niezwykle ważny element naszej świadomości zbiorowej. Wschodnie tereny dawnej Rzeczypospolitej z ich wielonarodową kulturą są dla wielu z nas duchową Ojczyzną. Cenne są więc wszelkie próby zmiierzające do całościowej analizy fenomenu Kresów Wschodnich.

Zaraz jednak pisze, że nowoczesna edukacja wymaga także rozumienia, jak na historię patrzą nasi sąsiedzi. Tu jednak kryje się niebezpieczeństwo wspomnianej „poprawności politycznej”. Czy wyczuwa się ją w kolejnych zeszytach? Do tego problemu wrócimy po skończeniu edycji całej serii.

Dotkliwym brakiem wydawnictwa na samym jego wstępie – w numerze 1 – jest pominięcie w ogóle sprawy pierwotnego, przedruskiego zaludnienia na obszarze między górnymi biegami Bugu, Sanu i Dniestru. Dziś przecież wiemy, że na terenie tym żyli Słowianie zachodni, przede wszystkim Lędzianie, plemię prapolskie*, których zniszczył najazd Rusi w X wieku.

Pisaliśmy o tym dużo, cytowaliśmy teksty, a wreszcie zestawiliśmy autorów i tytuły ich opracowań w CL 11/09. Czy pominięcie tej wiedzy przez autorów omawianego wydawnictwa wynikało z faktu korzystania z dawniejszych opracowań historycznych, już zdementowanych, czy też właśnie z owej *politycznej poprawności*? Byłoby nie do wybaczenia, bo najważniejsza jest właśnie ta prawda, która udowadnia, iż napływ ruskiej ludności z jej rdzennych ziem naddnieprzańskich na słabo zaludnioną Ziemię Czerwieńską wynikał z niewoli mongolskiej, w jakiej znalazła się Ruś. Sprawę przypieczętował najazd księcia kijowskiego Włodzimierza (zwanego Wielkim) na ziemie prapolskie w 981 r. Potem próbowali je odbić Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały (to drugie imię w ogóle nie pada). Trudno teraz jednak rozwijać ten temat.

Podobnie postąpiono w Huculszczyznę. W numerze 2 znajdujemy artykuł o Huculach, ale mowa tam o... Vincenzu. Ani słowa skąd się we Wschodnich Karpatach wzięli Huculi**. Bo to nie Ruś zasiedliła owe górskie łańcuchy, lecz pasterze ze stadami wędrujący górami z Wołoszczyzny w poszukiwaniu nowych pastwisk. Byli prawosławni, jak wszyscy na Bałkanach, i tu, na północy, zetknęli się z prawosławnymi Rusinami, którzy wcześniej napłynęli ze wschodu na podgórskie niziny. Doszło więc poprzez religię do rutenizacji Huculów. Mimo to kulturowa odrębność huculska trwała do II wojny. Autorzy omawianego cyklu nie zajęli się tym problemem, a szkoda, bo przez takie właśnie zaniechanie utrwali się nie całkiem prawdziwy obraz Kresów Wschodnich.

* W numerze 1, s. 21, w artykule R. Jaworskiego, na mapie pokazano wadliwie położenie Łędzian. W artykule *Z Rzymu i Bizancjum* w ogóle nie wymienia się Łędzian, którzy żyli nad górnym Bugiem i górnym Dniestrem. O Łędzianach wspomina w nrze 4 prof. M. Barański, ale nic nie wyjaśnia.

** O pochodzeniu Huculów, Bojków i Łemków pisze w nrze 1 A. Brzozowski, dość powierzchownie.

➔ Część rodziny Reyów „z Nagłowic” żyła we wschodniej Małopolsce od początku XVI wieku, ród ten nie miał jednak średnio-wiecznych korzeni wiążących go z tą ziemią. Pierwszy taki związek – na krótko – nastąpił

gdy w 1505 r. w Żurawnie, majątku Żurawińskich – urodził się „ojciec literatury polskiej” Mikołaj Rey (dziś pisany Rej). Posiadał później majątki m.in. w Ziemi Halickiej i Chełmskiej, które pozostawały czas jakiś w rękach jego potomnych. Kolejny związek Reyów z tamtą ziemią nastąpił dopiero w drugiej połowie XIX w.: pozyskali oni – poprzez małżeństwa – Psary i Mikulińce.

Reyowie to więc szlachta najpierw Ziemi Świętokrzyskiej – z owych Nagłowic, później związana z różnymi okolicami Małopolski, przede wszystkim z Przeclawiem (koło Mielca), który w ostatnich paru wiekach stał się główną siedzibą rodu.

Ukazała się książka pt. **Reyowie. Wspomnienia z XIX i XX w.**, na którą składa się kilkanaście tekstów, głównie wspomnieniowych (10), spisanych przez osoby z rodziny. Zebrał to i opracował **Jerzy Skrzypczak**, a wydała Biblioteka Muzeum Regionalnego w Mielcu (2009). Książka traktuje o całej rodzinie, w szerokim ujęciu czasów i miejsc, nie mamy więc podstaw do uznania jej jako jeszcze jednej spośród *leopolitanów*, lecz – wertując – odnajdujemy fragmenty, które łączą się z naszymi wschodniomałopolskimi stronami. Trzeba tu zwrócić uwagę na trzy ważne związki.

Pierwszy to fakt urodzenia się najważniejszego z Reyów, Mikołaja, w Żurawnie niedaleko Stryja w wojew. stanisławowskim. Kolejne dwa związki to wspomniane już Psary w powiecie rohatyńskim (także wojew. stanisławowskie) oraz Mikulińce w powiecie i wojew. tarnopolskim. Jedne i drugie weszły do rąk Reyów przez małżeństwa (zob. CL 3/07 i 3/99) w 2. połowie XIX wieku i pozostawały do II wojny światowej. Autorzy wspomnień, związani z tymi majątkami, opisują tamtejsze życie, ludzi i wydarzenia.

Warto przypomnieć, że w naszych niedawnych czasach (lata 1990.) ambasadorem USA w Warszawie był Nicholas – Mikołaj – Rey, amerykańsin w Pol-



sce urodzony, w prostej linii potomek ojca literatury polskiej! Jego potomstwo to już nie-Polacy. Szkoda.

➔ Z okazji **wystawy fotografii Aleksego Iutina**, Rosjanina zamieszkałego i działającego we Lwowie, wydano niewielki katalog z licznymi reprodukcjami zdjęć o tematyce lwowskiej. O artyście piszemy szerzej w dziale *Kultura*.



➔ „Kurier Galicyjski” z 15–28 VI '10 zamieścił **rozmowę ze Stanisławem Kosiedowskim** z Gdańska, znakomitym popularyzatorem – za pośrednictwem Internetu – wiedzy o Lwowie. Niezwykle interesujący wywiad prowadzi M. Basza, korzystając z kolejnej wizyty swego rozmówcy we Lwowie, którego związki z naszym Miastem zapoczątkował 3-letni jego pobyt tam na studiach informatycznych. Wtedy właśnie narodziło się zainteresowanie Kosiedowskiego wszystkim, co dotyczy Lwowa, pomimo braku jakichkolwiek więzi rodzinnych z tamtymi stronami. Pochodzi z Pomorza Gdańskiego, do liceum uczęszczał w Kościerzynie, studia rozpoczął na Politechnice Gdańskiej. Do Lwowa trafił w 1973 r. jako stypendysta, nie wiedząc o nim nic, ale 3 lata pobytu tam odcisnęły na nim piętno na całe dalsze życie, przenosząc się nawet na trzech synów.

Stanisław Kosiedowski rozpoznał Lwów, jego historię dawną i nowszą, jego współczesne realia, ludzi z tamtej i tej strony kordonu, literaturę – jak nikt inny. Jako informatyk założył stronę internetową „Mój

Lwów”, która dla wszystkich dziś, interesujących się lwowską problematyką, jest niezastąpiona. Poznał twórców literatury i nauki – osobiście lub przez ich dzieła, kolekcjonuje leopolitana, w tym aktualne czasopisma. Wśród wymienionych znaleźliśmy: (miło, bo na pierwszej pozycji) „Cracovia–Leopolis”, „Rocznik Lwowski”, „Kurier Galicyjski”, „Lwowskie Spotkania”.

Wiele jeszcze ciekawych wątków porusza się w rozmowie ze Stanisławem Kosiedowskim. Jeżeli Czytelnicy nie zdołali tego numeru zakupić – warto go zdobyć lub wypożyczyć.

➔ Już parokrotnie pisaliśmy o najbardziej znanych lokalach krakowskich, które szczytą się **lwowskimi korzeniami**. W „Dzienniku Polskim” z 4 IX znalazł się artykuł M. Warszawskiego o kawiarni Noworolskich w Sukiennicach, gdzie przypomniano, że na przełomie wieków XIX/XX Jan Noworolski – rodem z Turki koło Kołomyi – prowadził znaną cukiernię we Lwowie oraz Cafe Union w Stanisławowie. Niestety tragedia rodzinna – śmierć młodej żony – skłoniła go do zmiany miejsca pobytu, wybrał Kraków, gdzie odkupił doskonały lokal w Sukiennicach*. Dziś kawiarnia kwitnie, prowadzi ją w trzecim pokoleniu Wojciech Noworolski**.

Dodajmy, że grobowiec Noworolskich, gdzie spoczęła żona Jana, matka czworga dzieci, istnieje nadal na Cmentarzu Łyczakowskim, a rodzina się nim opiekuje.

* Poprzednim właścicielem lokalu był Wincenty Kondolewicz. Jego syn przeniósł się do Lwowa i ożenił się z siostrą Szczepcia, Stanisławą Wajdówną.

** O krakowskiej historii rodziny i kawiarni Noworolskich pisaliśmy w pierwszym numerze naszego kwartalnika (CL 1/95): z Tadeuszem Noworolskim rozmawiał J. Paluch.

➔ W prasie krakowskiej wyczytaliśmy, że **w 1929 r. w Małopolsce Wschodniej** doszło do wielkiej powodzi. Woda zalała osady, drogi, linie kolejowe.

Okazuje się, że to był także dziwny rok, bo pamiętne były niezwykle mrozy w zimie **tego samego roku**. Lwowianie, którzy je przeżywali, opowiadali, że podobnych mrozów nie spotkali ani przedtem, ani potem.

Od owego roku dzieli nas 81 lat.



rys. Jadwiga Cieczkiewicz

Z okazji zbliżających się

ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA i NOWEGO ROKU 2011

składamy naszym Czytelnikom,

Dobrodziejom, Autorom i Współpracownikom oraz ich Bliskim

najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności w życiu osobistym, rodzinnym i narodowym.

Redakcja

Kolęda Łyczakowska

Pamiętasz śnieg najbielszy, ten śnieg
Łyczakowski
I zmierzch, co gwiazdę świecił na rogu
Wójtowskiej?

Za Gwiazdą na Krupierskiej, Piotra, z Paulinów
Naniosło kolęd w basach i pisków
w wiolinach.

Tam trąbek jałowieckich srebrzyste
wygrywanie
I zewsząd naszych lwowskich kolęd
śpiewanie.

Batiarskie „Bóg się rodzi” z placu Antoniego,
gdzie bije serce Lwowa ukochanego.

Kolęda stąd jedynką ruszała pod górę
Do Matki Boskiej Ostrobramskiej obłokiem
lub chmurą.

Dziecinę tam batiary serdecznie obsiedą,
By lulać Ją najśodszą ze wszystkich kolędą.

Słowa: Jerzy Masior

Muzyka: Kazimierz Wesołowski

Kolęda Lwowska

Urodziłeś się, Jezu, we Lwowie
w kościele świętej Magdaleny,
widziałam Cię w żłóbku na sianie –
a żłóbek był cały złożony.

W górze Ci do snu przygrywały
aniołki z jasnymi skrzydłami,
obok Matka Twoja i święty Józef
z miłością na Ciebie patrzyli.

Wokoło pasterze i zwierzęta
w pokorze klęcząc, chyliłi swe głowy,
a Ty – pamiętam – otwarte miałeś oczęta
i uśmiechałeś się do nas nimi.

I pamiętam Cię tej ostatniej Wigilijnej Nocy,
gdy przyszedł hołd oddać Ci znów;
miałeś wtedy zamknięte oczy –
nie chciałeś patrzeć jak krwią broczy
Lwów.

XII 1995

Autorka nie jest nam znana.

O tym wszystkim należało pamiętać i wszystko to – w takiej czy innej formie – znajdują Czytelnicy w tym numerze. Oczywiście nie tylko to, bo nie można żyć wyłącznie sprawami najpoważniejszymi. Jest więc trochę lwowskiej historii, nieco o kulturze i nauce, o książkach, trochę o współczesności po tej i po tamtej stronie jałtańskiego kordonu, o wydarzeniach, o ludziach, o życiu codziennym. Jak zawsze.

A więc do następnego roku! O życzeniach nie zapominamy – Czytelnik znajdzie je na końcu, razem z lwowskimi kołędami.

* W kraju istniało dotąd jedno naukowe pismo o tematyce *kresowej*: „Rocznik Lwowski” w Warszawie. Ostatnio pojawiło się drugie – „Krakowskie Pismo Kresowe”. Napiszemy o nim w następnym numerze.

LISTA OFIARODAWCÓW (2) na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

August Barabas, Wrocław; Jan Chlipalski, Kraków; Andrzej Chlipalski, Kraków; Ewa Cieńska-Fedorowicz, Łaski; Lech Czura, Nowogród Bobrzecki; Bernadeta Dejneka, Wrocław; Zofia Dudrówna, Kraków; Grażyna Golińczak, Toruń; Teresa Kondolewicz-Wilk, Kraków; Krystyna Kosiba, Wielka Brytania; Tadeusz Lewicki, Żywiec, Halina Mędrek, Wrocław; Józef Michalczak, Kraków; Paweł Należniak, Kraków; Danuta Nespiak, Wrocław; Helena Niwińska, Kraków; Anna Pawlak, Toruń; Danuta Różycka, Kraków; Maria Sajdak, Lubusza; Anna Stengl, Kraków; Mieczysław Tokarski, Włodawa; Tadeusz Tomasiuk, Dokudów; Lucyna Twardowska, Kraków, Andrzej Żaki, Kraków

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 700 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji KOLEJNY ROK MIJA	II	Krzysztof Bulzacki FRANCISZEK SMOLKA	29
Przemyślenia DROGA KRZYŻOWA Z POLSKIMI PRZESIEDLEŃCAMI	1	Archiwum SESJA NAUKOWA SPRZED 20 LAT	30
Archiwum ODEZWA RZĄDU RZECZYPOSPOLITEJ 1945	2	Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z BOLESŁAWEM I WIESŁAWEM OPAŁKAMI	35
Teresa Konopka TRAGEDIA KATYŃSKA Z 1940 r. ...	4	Archiwum GIMNAZJALIŚCI NA ULICY BATOREGO	43
Danuta Nespiaik JANUSZ KURTYKA – KANCLERZ NARODOWEJ PAMIĘCI	5	IMIĘ LWOWA ZAKAZANE?	44
Anna Potoczek CZY MŁODZIEŻ POLSKA POWINNA ODWIEDZAĆ KRESY?	6	Nasze rodziny Józef Juzwa, Marta Walczewska HISTORIA RODZINY JUZWÓW	45
Marian Hemar WOLA POLSKI	7	Tadeusz Józków O RODZINIE Z HUSIATYŃSKIEGO PODOLA...	48
Wspomnienia Adam Jerzy Chowaniec TAK BYŁO W JAREMCZU	7	Słownik geograficzno- -historyczny BUDZANÓW ♦ TARNOPOL (2), dzielnice	47
Mieczysław Limanowski TĘSKNIĘ DO LWOWA	8	Andrzej Chlipalski NIEZWYKŁE SPOTKANIE ZE ŚWIĘTYM	50
Adam Trojanowski OSTATNIE DNI W POLSKIM LWOWIE	14	Z tamtej strony OJCIEC SERAFIN KASZUBA	52
Bogusław Rogowski WARTO UTRWAŁAĆ NARODOWĄ TOŻSAMOŚĆ	16	UCRAINICA	52
Wiersze Edward Rydz-Śmigły *** (Już gorzej być nie może)	19	W Krakowie i dalej NOTATKI	52
Jerzy Masiór NA ŚWIĘTO ZMARŁYCH	22	Kultura ♦ Nauka KRAKOWSKI „SOKÓŁ” WIERNY TRADYCJI KRONIKA	55
Jadwiga Sibiga JESIEŃ W STRYJSKIM PARKU	22	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	57
Proza Miroslaw Żuławski MOJE WIGILIE	22	Danuta Nespiaik KRESY W PRACOWNIACH UNIWERSYTECKICH	59
Tadeusz Olszański JAK STANISŁAWÓW STAŁ SIĘ ZNOWU POLSKĄ	22	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	61
	23	Kolędy	64
	23	J. Masiór, K. Wesołowski KOLĘDA ŁYCZAKOWSKA	
	25	KOLĘDA LWOWSKA	
		LISTA OFIARODAWCÓW (2)	III